

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

DESIGN

Nr 2-4 (92-94) Zielona Góra 2025 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka





Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 2-4 (92-94)/2025

W numerze wykorzystano prace Jakuba Bitki

Copyright by

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2025

Redakcja

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji), Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Stale współpracują

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie

Andrzej Olewnik, Mirosława Szott, z archiwum Biblioteki Publicznej im. Pauksty w Kargowej, Jakuba Bitki, Łukasza Maciejewskiego, WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, ze zbiorów I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego w Kutnie i MiPBP im. S. Żeromskiego w Kutnie

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

GRAF MEDIA

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)

e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl

www.wimbp.zgora.pl www.prolibris.net.pl



www.facebook.com/prolibris.biblioteka.norwida



[@czasopismo_pro_libris](https://www.instagram.com/czasopismo_pro_libris)

Pro Libris

Od redakcji

Design to wieloznaczne pojęcie (lubimy takie wybierać!). Z jednej strony oznacza projekt, zamiar, zamysł, a z drugiej – fascynującą grę polegającą na zestawianiu, komponowaniu i kształtowaniu przestrzeni. Design jest jednak niewinny (a bywa okrutny lub jedynie uzasadniający cenę), jak przekonuje nas niejednokrotnie Marcin Wicha w książce *Jak przestałem kochać design*.

Dział literacki otwierają wiersze Łukasza Nicpana, poety i tłumacza literatury anglojęzycznej, który odpowiedział na nasze zaproszenie do publikacji. Znajdą też Państwo sporo nowych nazwisk: Justyna Kasprzyk, Katarzyna Meller-Rebelska, Adam Górski, Michał Borkowski, Szymon Florczyk, Marcin Wróblewski. Są także twórcy, którzy systematycznie z nami współpracują: Agnieszka Ginko, Magdalena Kalinowska, Edward Derylak, Mirosław Kuleba, Marcin Mielcarek, Czesław Sobkowiak i inni. Nie zabrakło też fragmentów dramatów (Agnieszka Olszewska, Przemysław Grzesiński).

W ZBLIŻENIACH bogaty materiał. Na początek rozmowa Mirosławy Szott z Józefem Baranem (to już trzecia z cyklu) – tym razem na temat jego wiersza. Następnie prezentujemy pokłosie Konkursu na interpretację wiersza Mieczysława J. Warszawskiego (jego rozstrzygnięcie nastąpiło we wrześniu 2025 roku). Poza krótkim podsumowaniem Konkursu mają Państwo okazję zapoznać się z pracami nagrodzonymi (Gaja Fijałkowska, Julia Mickiewicz) i wyróżnionymi (Marcin Głowa, Magdalena Wijatkowska, Iza Uroda, Mikołaj Talarczyk). Dalej – ważne odkrycia dotyczące kutnowskiego etapu życia Anny Tokarskiej i daty śmierci poetki – tego podjęła się Mirosława Szott i regionalista z Kutna – Andrzej Olewnik. Mamy nadzieję, że rozpoczęta współpraca na linii Zielona Góra – Kutno będzie rozwijana. Następnie relacja z uroczystego podsumowania Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Pauksztzy w Kargowej.

Do działu PRACOWNIA zaprasza nas Małgorzata Mikołajczak. Pod jej opieką dwie studentki (Zuzanna

Puls, Aleksandra Piątkowska) analizują tomik Roksany Bach *Śliwki w czekoladzie*. A zadanie nie było łatwe – wymagało nie tylko warsztatu, ale też empatii, bo tomik w dużej mierze jest o stracie człowieka i radzeniu sobie z tym doświadczeniem.

W VARIACH szereg ciekawych przemyśleń. Na początek Łukasz Maciejewski pisze o tegorocznym laureacie Grand Prix na „Kozzi Film Festiwalu” – filmie pt. *Sny pełne dymu*. Interesujący tekst *O designie w ruchu* przysłał Rafał Blecharz. Z kolei Beata Czuba przygląda się współczesnemu społeczeństwu, które według socjologów jest coraz bardziej skupione na tym, co zewnętrzne. Przykładem tego są słynne immersyjne wystawy poświęcone sztuce. Joanna Kapica-Curzytek pisze o *Wolfsbeeren* autorstwa Leonie Ossowski, a Patryk Żelazny pyta, czy możemy dożyć czasów, w których literatura zostanie tylko miłym reliktem przeszłości.

Wśród RECENZJI I OMÓWIENI prezentowane są książki lokalnych twórców (np. Jolanta Fainstein, Jolanta Fraszewska), jak i tych spoza regionu (np. Karol Maliszewski, Patrycja Purgał, Cezary Gawryś). Za każdym razem staramy się też wzbogacić dział o teksty krytyków i krytyczek niezwiązanych z naszym środowiskiem (w tym numerze szczególnie cieszymy się z obecności Soni Kamińskiej-Tarkowskiej – filozofki, tłumaczki i popularyzatorki nauki). Uważamy, że warto się otwierać na różne zjawiska i nawzajem je sobie pokazywać. Tylko tak możliwy jest rozwój.

W KRAJOBRAZACH LUBUSKICH prezentujemy tekst Marcelego Tureczka, wybitnego regionalisty związanego z Uniwersytetem Zielonogóskim, który wzięt na warsztat Kronikę Zacherta. To najważniejsze zachowane źródło historiograficzne do dziejów Międzyrzeczca.

Numer ilustrują zdjęcia murali Jakuba Biko Bitki – ciekawego i rozpoznawalnego artysty. Jego postać i działalność przybliży Państwu rozmowa, którą Ewa Mielczarek przeprowadziła z twórcą.

Liczymy na to, że jesienny numer „Pro Libris” sprawi Państwu wiele czytelnicznych przyjemności!

Spis treści

Łukasz Nicpan, Wiersze [Dwie cisze, Sunia i ja, Metoda na śmierć, Batory]	6
Paweł Sójkowski, Poczłtówka z wakacji	10
Agnieszka Ginko, Wiersze [Czarownice z Grünbergu – historie prawdziwe]	12
Agnieszka Olszewska, Sesja płatna z Krytykiem Wewnętrzny. Dramat psychologiczny na jedną głowę (fragment)	16
Adam Górski, Wiersze [*** „dłoi ma pięć palców...”, Z fotografii, W oświetlonych salach]	18
Kuba Kapral, Mokra plama	21
Katarzyna Meller-Rebelska, Wiersze [To, co po nas; Ojczce; Brzydkie słowo na R; Święta]	23
Sławomir Bączkowski, Decyzja	27
Marcin Wróblewski, Wiersze [słowo, współbrzemiienie]	31
Czesław Sobkowiak, Zapiski Jeszcze	33
Przemysław Grześniński, PanzerFaust	37
Czesław Sobkowiak, Wiersze [*** „zbliza się deszczowy niż...”, Urosły, Wszystko]	48
Edward Derylak, Taki duży chłopak	51
Karolina Talaga, Wiersze [I., II., III., IV.]	54
Marcin Waldemar Mielcarek, Święty Pirosmani	58
Michał Borkowski, Wiersze [1. na moim łóżku typu „king size”; 2. głos kobiety przed czterdziestką]	63
Andrzej Nowak, Ciupasem za czasem	67
Magdalena Kalinowska, Wiersze [w świetle latarni i przy płocie, i był sen, miłość]	68
Miroslaw Kuleba, Carmen z wachlarzem (z cyklu „Obrazki z wystawy”)	71
Szymon Florczyk, Wiersze [online, mówię co myślę]	75
Anna Błaszczak, Problemem jest natura, czyli rozmowy niekontrolowane	77
Anna Naplocha, Wiersze [Tryptyk inspirowany van Goghiiem]	82
Grzegorz Pul, Design Broadway	85
Justyna Kasprzyk, Wiersze [Impas, Dopełniaczem kocham, Cito]	88
Piotr Prusinowski, Czarna emalia (fragment)	91

ZBLIŻENIA

Czytelnia jednego wiersza. Z Józefem Baranem rozmawia Mirosława Szott	93
Konkurs na interpretację wiersza Mieczysława J. Warszawskiego	98
Gaja Fijałkowska, Idea wydestylowana z treści poetyckiego doznania	100
Julia Mickiewicz, Pozwolić się obrać	102
Marcin Głowa, Docieranie do prawdy	103
Magdalena Wijatkowska, Pamięć ciała	104
Iza Uroda, Do pestki skłania się pragnienie. Psychoanalityczna wariacja na temat wiersza <i>Obieranie jabłka</i>	106
Mikołaj Talarczyk, Obieranie jabłka	107
Mirosława Szott, Kutno – miasto wczesnej młodości Anny Tokarskiej	108
Andrzej Olewnik, Kutnowski okres życia Anny Goździalskiej	110
Ewa Mielczarek, Święto literackie w Kargowej	116

PREZENTACJE

Jakub Bitka	118
Naturalna forma komunikacji ze światem.	
Z Jakubem Biko Bitką rozmawia Ewa Mielczarek	119

PRACOWNIA

Małgorzata Mikołajczak , Mierzenie się ze stratą – dwa razy o <i>Śliwkach w czekoladzie</i>	123
Zuzanna Puls , Lekkość pióra, ciężar straty	124
Aleksandra Piątkowska , Intymny dialog z przeszłością	125

VARIA

Łukasz Maciejewski , Sny pełne Globisza (cykl „Ultima Thule“)	128
Rafał Blecharz , Nie tak się to rusza. O designie w ruchu	130
Beata Czuba , Upozowani w „społeczeństwie designu“	134
Joanna Kapica-Curzytek , <i>Wolfsbeeren</i> – Leonie Ossowski. Po drugiej stronie lustra	136
Patryk Żelazny , Parszywe wizje o umierającej literaturze	140

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Marceli Tureczek , Kronika Zacherta – rozpoznane od nowa źródło do dziejów regionu	143
---	-----

RECENZJE I OMÓWIENIA

Żeby rodzina nie zgasła... – o hybrydowym dramacie Jolanty Fainstein <i>Balony</i>	
Jolanta Fainstein, <i>Balony</i> (Katarzyna Krysińska)	146
Igrekowe smętymęty	
Karol Bosek, <i>Pierwsza cytrynowka</i> (Agata Kostrzewska)	148
Karol Bosek , Przeźrocza. Kilka komentarzy poety do recenzji	151
Literatura, która nie milczy. Maria Fraszewska w ogniu języka	
Maria Fraszewska, <i>Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem, refleksje zagajane eseistycznie</i> (Tomasz Ratajczak)	152
<i>Wierszoterapie</i> jako filozofia życia?	
Patrycja Purgał, <i>Wierszoterapie</i> (Sonia Kamińska-Tarkowska)	154
Pamiętnik wierszem	
Cezary Gawryś, <i>Niepisane</i> (Radosław Sztyber)	157
Odważny zachwyty	
Jarosław Barańczak, <i>Jeszcze stoimy</i> (Czesław Sobkowiak)	161
Poezja Eugeniusza Kolanki	
Jerzy Jarowiecki, <i>Eugeniusz Kolanko („Bard”), poeta i konspirator</i> (Piotr Gulewski)	163
Nie tylko szkice środowiskowe	
Karol Maliszewski, <i>Poeta jako krytyk (i inne szkice środowiskowe)</i> (Mirosława Szott)	165

KSIĄŻKI NADEŚLANE	168
--------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	169
-----------------------	-----

Dwie cisze

Językiem Boga ojczystym jest cisza
ktoś to powiedział ja tylko powtarzam
podoba mi się taka definicja
ma źródło w kwiatach obłokach i liściach
uchyla się od myśli opartych na językach
do uczuć się tylko i poezji skłania
bo choć poezja w językach się wyraża
jej ojczystym językiem jest cisza

Sunia i ja

Nie śpiewajcie mi sto lat
śpiewajcie żyj dopóty
dopóki będzie żyła mała Sunia
ma dziś trzy lata
cztery góra pięć
ile lat jeszcze pożyje
dwanaście? góra czternaście
więc żyj ty dopóty
dopóki ona
potem możesz wolny
od powinności opieki zasłać
upaść w sypialni
i przy Suni zasnąć

Metoda na śmierć

Co robić co robić ona co dnia bliżej
chciałoby się uciec schować pod podłogą
krzyknąć uciekajmy i rzucając sztucce
odbiec od stołu ale to za mało
to wszystko sposoby ucieczki dziecinne
niegodne starca bo jemu przystoi
psa albo kota głaszcząc na kolanach
jak najspokojniej odwracać się od okna
z uśmiechem w oczach pełnych przerażenia
które stopniowo gaśnie i trwożyć przestaje
rękę na zgodę wyciąga do nicości

Batory

Przy Nabrzeżu Francuskim w Gdyni
cumuje transatlantyk przed rejsem do Ameryki
jest rok 1960, środek lata
z zadartą głową, między rodzicami
stoi oniemiały z podziwu chłopiec z grzywką
tak z MS Batorym poznał się Łukaszek Nicpan

potężna fala tamtego spotkania
wciąż, po ponad sześćdziesięciu latach
rozchodzi się po wszechświecie
i na drogach swych napotyka
fale grawitacyjne z początków stworzenia

ojciec i matka już dawno nie żyją
transatlantyk dawno pocięty na żyłki
(tak ludzie mali mówią o kimś wielkim)
a fala podziwu w chłopczyku wezbrana
wciąż jak ministrant na stopniach ołtarza
podzwania wśród płonących gwiazd

Pocztówka z wakacji

To były słowa z zamierchłej przeszłości, która wydarzyła się, wybrzmiała, nie zmieniła absolutnie nic i zgasła, jak odpalana tysięczny raz zapalniczka, która przez tygodnie jest kompletnie pusta w środku, ale jakimś cudem wciąż działa. Dochodzi do tego, że nie chcesz jej wymienić i łudzisz się, że będzie cię ratować już zawsze.

Wtedy Janek mówił coś o jointach i właściwie tyle pamiętam, że te zlepki głosek wylatywały z jego ust i niezbyt nas obchodziły – jeśli było coś do palenia, to paliliśmy, ale nie, żebyśmy się na tym znali. Mogli dorzucać do nich oregano albo rozmaryn, zeschniętą domową roślinkę, namoczoną w wybielaczu i ususzoną na kaloryferze przy brudnych skarpetach. I tak byśmy się nie zorientowali.

– Znajomi przywozili mi te wasze warszawskie, no i w sumie tobym wołał, żeby nie przywozili, bo były za ciężkie. Widziałem wszędzie obłe potwory bez rąk i kręgosłupów, podchodziły tak blisko i prawie mogłem poczuć, jak ocierają się o mnie – ciągnął, a my uchylaliśmy się przed jego wzrokiem. Wszyscy myśleliśmy, że po prostu to właśnie on musiał trafić na ten wybielacz.

Obłe potwory bez rąk i kręgosłupów. Chciałem mu powiedzieć, że może to wcale nie przez jointy, bo taka jest większość ludzi. Sami nie byliśmy dużo lepsi, jakby tak spojrzeć na nas z boku, jak siedzieliśmy przy stole – jeden niewielki i zgarbiony, drugi nabity mięśniami, które wisały na nim jak skóra na psie, trzeci już w ogóle wielki i nieproporcjonalny, grubo ciosany, z gigantyczną głową i czubkiem z jasnych włosów, które wyrastały z niej jak liście.

Później wróć do jego słów, bo będą wśród rzeczy, które po nim zostały. W końcu kto mógł wiedzieć, że to nie skończy się dobrze?

– Po tych wrocławskich to siedzisz w miejscu albo tylko trochę się poruszasz, ale delikatnie, o centymetr albo dwa, żeby było jeszcze wygodniej. Roztapiasz się na kanapie, sięgasz po piwo, bierzesz ostatniego łyka, tak żeby coś zostało na dnie, potem wrzucasz tam papierosa, on wydaje ten odgłos, wiecie, takie psst...

No kto mógł wiedzieć? Świeciło słońce, był daleko od domu, uśmiechał się i prowadził ten mętny monolog, przekonany, że tylko wypełniania czas, którego zostało mu od cholery i jeszcze trochę. Będę to pamiętał dziesięć i piętnaście lat później, tę miękkość i rozluźnienie, ten stan, w którym człowiek nie spodziewa się tego, co zmierza w jego stronę, co czeka tuż za rogiem. Nieważne, ile masz w sobie uroku, którego nie da się wyuczyć.

W końcu wstaliśmy, trzeba było iść. Pies biegał między nami z patykiem w pysku, objął łydki i tłukł golenie. Wielkie czerwono-czarne mrówki przegoniły nas z serca lasu, dmuchaliśmy na nie papierosowym dymem, na ich wielkie głowy, na oczy jak guziki. Żyły za krótko, żeby to przyniosło skutek. Odeszliśmy, pokonani, cali w pocie i gigantycznych bąblach, ledwo widząc na oczy. Komary były jak ptaki, ich skrzydła łamały się z trzaskiem jak zapałki. Traciliśmy krew i energię, nasz strach dało się poczuć tak jak słodki zapach zgnilizny, rozkładu. Może to byliśmy my, może to były drzewa, ale coś na pewno nim emanowało.

Wszystko zamykało się wokół nas, tak jak dłoń zaciska się w pięść, ciała drętwiały od tego ciśnienia. Mogliśmy tylko zaciskać zęby tak, że aż krwawiły dziąsła. Las się kończył, wysokie trawy na polanie były jak żywe, falowały w rytmie naszych oddechów, chmury zmieniały kształty i każdy widział w nich coś innego. Ale nawet kiedy bardzo wyęźaliśmy wzrok, tak bardzo, że aż łzawiły nam oczy, żadne z nas nie zobaczyło tego, co nadchodziło.

Pod domem kundel robił kółko za kółkiem, rył w ziemi, niszczył grządki, skakał przez krzaki. Łapał w zęby ten cały świat, a kiedy już wyrwał z niego tyle, ile chciał, położył się na ziemi i ciężko dyszał. Wystarczyło mu pięć minut w cieniu, potem znów poderwał się i zniknął w lesie na kilka godzin.

Kiedy wrócił, śmierdział bagnem, pachniał mchem, piana kapała mu z pyska. Usiedliśmy naokoło niego, wyjmowaliśmy mu kleszcze jeden po drugim i paliliśmy je na paznokciach. Kurczyły się i wyginały, a potem były martwe już do końca. W nocy odgłosy rykowiska jeleni rozchodziły się na całe kilometry. Nie da się usłyszeć nic piękniejszego i nic bardziej niepokojącego jednocześnie.

Słońce zawisło kilka metrów nad naszymi głowami, prawie mogliśmy go dotknąć. Chroniła nas przed nim tylko skóra, brązowiejąca z każdą chwilą. Kiedyś matki smarowały nas kremem na plażach Kołobrzegu, Jastarni i Ustki. Teraz sami zajmowaliśmy się sobą, palce zagłębiały się w skórze tak, jakby miały ją przebić i wyjąć coś ze środka.

Dla Janka las był przerażający. Krzyczeliśmy za nim, żeby dał spokój, ale on tylko kroczył przez ciężkie, nagrzane powietrze. Pięćdziesiąt metrów przed pierwszymi drzewami usiadł na trawie, plecami do lasu. Nigdy nie siada się plecami do lasu.

Cieniutkie igły wbijały się w jego kark – czuł, że ktoś patrzy. Przeczesał wzrokiem drzewo po drzewie i w końcu zobaczył twarz, wychylającą się zza sosny. Był za daleko, żeby widzieć szczegóły, za blisko, żeby udawać, że to coś innego. Wyglądała jak tania maska na Halloween, bezkształtna i płaska. Nawet nie drgnęła. Próbował ją ignorować, ale z każdą chwilą rósł w nim niepokój. Spojrzenie odprowadzało go, kiedy odchodził pokonany.

Wieczorem rozpaliliśmy ognisko i patrzyliśmy na płomień – telewizję biednych ludzi. Mówiliśmy o strachach, na początku tych zwykłych, jak węże czy krokodyle, potem znacznie gorszych, o samotności i rozpywaniu się w nicości.

Kiedyś przyznał mi się, że jako dziecko bał się wszystkiego. Kiedy rodzice zostawiali go samego w domu, działy się potworne rzeczy. Torebki przemieszczały się z jednego miejsca na drugie, wyrzucały z siebie zawartość, puszki w śmietniku odginały się, by wrócić do dawnego kształtu. Szklanki ruszały się na suszarce, spadały talerze, wymięte plakaty odpadały od ścian, z których odchodziła farba, odstawiając nieznanne mu warstwy, życie, którego nie powinno być.

Tak, w końcu powiedział nam o tej twarzy. Przed niektórymi rzeczami można uciekać, ale nie można uciec. Na granicy nocy i dnia obudził się, szukał jej w ciemności. Siedział skulony przy zapalonym świetle. Ono zawsze pomaga, ale pomaga tylko na chwilę.

Wiatr porywał kartki papieru, zapalniczki, puste i pełne butelki, słowa. Następne miały być domy, krowy i krzyczący ludzie. Mieliśmy bilety na najlepsze miejsca apokalipsy. Wszędzie o niej trąbili, z radia rozlegał się głos: *zostańcie w domach, zamknijcie drzwi i okna, módlcie się, żeby zagłada przeszła bokiem...* Błyskawice rozdierały czarne niebo, wielkie krople deszczu uderzały o nasze czoła. Schowaliśmy się jak tchórze, wszystko po prostu przetoczyło się nad nami. Potem nastała cisza, ta niema, najgorsza groza. Wyszliśmy z domu, trawa była mokra i śliska. Skakaliśmy salta do dmuchanego basenu, pluskaliśmy się w nim i chlapialiśmy jak dzieci. Żyliśmy, jeszcze do końca lata. Te kilka późniejszych miesięcy to już inna historia, taka, której nie pisze się na pocztówkach z wakacji.

Czarownice z Grünbergu – historie prawdziwe¹

1640 – rozpalanie stosów

„Femina est animal deficiens”²

Kobieta to zwierzę niedoskonałe

*Co za dziwne i brzydkie stworzenia,
nie są z tej ziemi, nie są z naszej ziemi.
Żona wachmistrza i żołnierzy żony
będą sądzone.
Bo rzucały uroki i rządzić się chciały
te brzydule z rudymi włosami,
bo z diabłem nierząd uprawiały,
te pyskate i kłótlive stworzenia.
I patrzcie, patrzcie, co po kieszeniach miały:
nie grzebyki ani pomadki,
tylko łuski jaszczurki.
Co za dziwne i brzydkie stworzenia,
tak niepodobne do istot z tej ziemi.
Bo włosy miały rozczochrane
i pudrować się nie chciały.
I patrzcie, patrzcie,
jak źle wyglądały.
Mają brzydkie usta, pazury i nos,
na stos z nimi, na stos.*

¹ Cykl powstał w oparciu o autentyczne wydarzenia: znanych jest większość imion i nazwisk kobiet sądzonych o czary i pozbawionych życia w dawnym Grünbergu (Zielona Góra). Posiadamy jednak podstawowe lub szczątkowe informacje na temat przebiegu procesów. Opisane historie zostały poetycko odtworzone i rozwinięte.

² Cytat z *Młota na czarownice* (łac. *Malleus Maleficarum*) dominikańskich inkwizytorów, Heinricha Kramera i Jacoba Sprengera (1487) – podręcznika w procesach czarownic od XV do XVII wieku.

Anna Hasucka

„Ujawszy gromnice,
palił burmistrz z ławnikiem
na rynku czarownice”.

Ignacy Krasicki, *Pochwała wieku, Satyry*

Anna Hasucka,
która w Zawadzie i Polsce mieszkała,
dobrowolnie podczas tortur
maść czarodziejską wskazała:
z masła, słoniny i ludzkiego tłuszczu.
Sprzedalam cię, ziemio, łąko, lesie.
Sprzedalam was ziola:
Kolendro, ruto,
szałwio, mięto,
i ciebie, tymianku.
Chciałoby się, chciało schować w ciało,
ale ból wchodził do kości, po szpik.
Noc była mokra i czarna od krzyków.
I śmierdziało strachem.
Zabierz mnie, ziemio do swej miękkiej tkanki, otul.
4 listopada 1663 nad ranem
Anna Hasucka zmarła w więzieniu
przez diabła uduszona.
Kolendro i ruto,
szałwio i tymianku,
do was.

Anna Stach z Przylepu

„Kobiety są jak diabllice, porywają serca głupców.”

Anonim

Tak, to prawda, że diabeł mówił:
Pozdrawiam cię, Anno,
gdy się z nim w sposób przeciwny naturze łączyła.
Tak, ma ciało czarną maścią cuchnącą,
którą zły duch smarował jej piersi.
I kiedy zgolono jej wszystkie włosy z ciała,
znaleźliśmy bliznę na udzie,
którą zrobił jej zły duch na swój znak.
Tak, to prawda, że na rozkaz diabła
chętnie się obnażała
i diabeł przy tym sikał.
Tak, to prawda, ma ciało pulchne i świecące
od tańców z czarnym diabłem w czarnym ubraniu
i przez nią ucierpiało zboże.
A na Łysej Górze spotkała wielce szanowane:
Elżbietę Grasse, Dorotę Jeutche i Elżbietę Apelt.

Ostatnia – Elżbieta Grasse z Nietkovic

„Większość ksiązek o czarach podaje, że czarownice pracują nago.
Zapewne dlatego, że autorami tych dzieł są mężczyźni”.

Terry Pratchett, *Dobry omen*

Słońce paliło mnie w skronie, w suche usta,
kiedy biegłem, biegłem do niej.
Była taka drobna, że mogła wślizgnąć się pod ramię.
Czułem jej kruche, ciepłe kości,
kiedy krzyczała: *Precz!*
Mogła mierzwić mi włosy.
Jej odporność na ból wprawia mnie w zdumienie.
Ma taką gładką szyję i nie drży.
6 lutego 1665 Elżbieta Grasse, lat 52,
spalona została.
„Żonie mojej mogą przypisać wszystko,
co miłe, dobre i kochane”³.

³ Z pisma Krzysztofa Grasse do sędziów w obronie żony (*Extract protocolli Iudycij Grunbergensis ex actis Inquisitionibus et Processu criminali contra Malefacias de Annie 1663, 1664, 1665*). Pisma w obronie kolejnych oskarżonych mieszczanek zostały przesłane na dwór cesarski w Wiedniu, co poskutkowało odebraniem sądom zielonogórskim prawa do procesów czarownic.

Agnieszka Olszewska

Sesja płatna z Krytykiem Wewnętrznym

Dramat psychologiczny na jedną głowę

(fragment)

Osoby: ESTETYCZNA
OSZCZĘDNA
CIERPIĄCE
KRYTYK
JA
TŁUM 1
TŁUM 2
TŁUM 3
TŁUM 4

Scena I

Miejsce: Środek głowy. Rekwizyty postaci, krzesła. Na krzesłach na środku sceny siedzą kolejno od lewej: Estetyczna, Oszczędna, Cierpiące, Krytyk. Ja siedzi nieco z boku z prawej strony na czerwonej kanapie i czyta książkę. Pozostali ogrywiają własne rekwizyty. Krytyk skreśla coś w notesie, Estetyczna pisze wiersz, Oszczędna liczy, Cierpiące nerwowo odpina i zapina torebkę. Przez scenę z lewej na prawą przechodzi atrakcyjna kobieta w dopasowanej sukience. Wszyscy na nią patrzą, odprowadzają ją wzrokiem do kulis.

ESTETYCZNA: (z rozmarzeniem) Podoba mi się. Pójdę się przebrać... Błękitna będzie doskonała.

KRYTYK: (zwracając się do Cierpiącego) Siedź! Zapomnij! Dwa rozmiary temu to było...

OSZCZĘDNA: (oblicza coś na kalkulatorze i mówi, zwracając się do Cierpiącego) Szkoda czasu. Poza tym już się dzisiaj dwa razy przebierało. Twoje dzisiejsze ubrania na zmianę mogą ważyć około 2,5 kilograma. Będzie to dodatkowy wsad do prania, a pralkę mamy na 5,5 kilograma wsadu. To daje dodatkowe pranie raz na dwa dni, dodatkowe wydatkowanie prądu, proszku i czasu pracy. Obliczyć zmarnowany czas pracy i zrobić szczegółową kalkulację kosztów?

ESTETYCZNA: Nie, dziękuję.

Cierpiące wyraźnie kuli się w sobie na krześle.

KRYTYK: (do Cierpiącego) Wyśmiej ją, że po co znowu tak wystrojone wyszło. Żeby się komu pokazać? Że co, że kto na to popatrzy? Już się dość ośmieszyło, jak ubrało dresik jak żółtą pizamkę w szóstej klasie... Pamięta? Przypomnieć znów?

CIERPIĄCE: Nie!!! Proszę, nie!!! Nie chcę znów!!!

KRYTYK: To zapomni o błękitnej sukience.

ESTETYCZNA: (dalej z rozmarzeniem) Błękitna sukienka... Tu ten tak i tu takie, a tu tak, tak i tak.

Estetyczna wstaje i obrysowuje na sobie kształt sukienki z falbanami. Krytyk widząc to, przykłada gwizdek do ust.

CIERPIĄCE: Nie!!! Proszę.. Nie! Tylko nie to!

Krytyk gwizdże. Hałas. Wchodzi Tłum z krzesłami zza kulis z prawej strony. Cztery osoby z tłumu wyciągają Cierpiące siłą razem z krzesłem na przód sceny. Otaczają Cierpiące, siadając na krzesłach, pokazują Cierpiącemu coś w telefonach i komentują.

TŁUM 1: Piermodłęco.

TŁUM 2: No chyba, żółciu-cienkie jak skuj...

TŁUM 3: Weż, krumba, ale krindź.

TŁUM 1: A tu, popatrz tu, jak wygląda...

TŁUM 4: Nie, no nie mogę..

Cierpiące wygląda na coraz bardziej przestraszone, próbuje odwracać twarz, ale Tłum 4 wstaje i przytrzymuje mu głowę, żeby patrzyło.

TŁUM 3: Jak galwon w rompuku.

TŁUM 1: (do Cierpiącego) Ej, ej, patrz tu, uważaj, bo ci przyknie..

TŁUM 2: (do Cierpiącego) A to patrz, to po Spyrmodku masz czy co?

TŁUM 3: Krumba, ale chociaż..

TŁUM 1: Ja Piermodłę.. Ale skujowo..

Cierpiące wreszcie nie wytrzymuje. Wyrывa się, staje na krześle i wyjmuje z torebki szminkę. Maluje policzki na czerwono. Zza sceny słycać hałas. Jakby się coś zwałiło, jakby ktoś krzyczał zakneblowany. Tłum nastuchuje. Cierpiące siada na krzesło.

TŁUM 4: Dobra, idziemy, bo mu odpymdrala. Jakaś drama się robi, nie będę się w tym bździł potem, ja sprymdałam.

TŁUM 1: Idziemy... Skuj z bambikiem...

TŁUM 2: Idziemy..

Tłum zabiera krzesła i wychodzi za kulisy w prawą stronę. Cierpiące siedzi na krześle pomalowane, przestraszone. Estetyczna podchodzi do Cierpiącego, całuje je w czoło. Potem wychodzi na środek sceny przodem do publiczności i czyta wiersz ze swojego zeszytu z wierszami.

ESTETYCZNA:

Kret

Jestem

Dwunastoletnim

Grubym chłopcem

Który składa się z kata, skazańca i skandującego tłumu

Jedyna droga ucieczki

To zapaść się pod ziemię

Umiem drążyć podziemne korytarze

Uciekać głuchym tunelem

Przed rozchodzącym się tupotem stóp

Rozczarowanych gapiów

Estetyczna zamyka zeszyt i podchodzi do Cierpiącego.

ESTETYCZNA: Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam, że znów miałam życzenie błękitnej. Nie umiem tego pohamować. Nachodzi mnie to tęsknotą za wielkim błękitem. Przepraszam, działałam w zachwycie..

dłoń ma pięć palców
ta liczba jest skończona i przynosi spokój
ale nie patrz słuchaj
bębnia
ich odkształcony głos
przechodzi w modlitwę kobiet,
w metaliczne zwrotki a one
w dźwięczenie trzciny

w pukanie świata

dłoń ma pięć palców
ich liczba jest nieskończona

Z fotografii

budujesz to na swoją zgubę, patrz
na tę fotografię (dźwigasz na niej deskę)
na której jasność okropnie śmieje się z ciebie,
jak maskaron któremu architekt
dał najpaskudniejsze rysy, pozbawił szansy
stąpienia wśród innych grania
w tej samej grze, tym samym rytuale
teologii, dotyku, zrozumienia,
na której jasność śmieje się w twoich grubych okularach
śmiechem najgorszym, śmiechem śmietnika,
wystawiasz do niego przyłbicę
swoich szkieł swojej tarczy
na niej sam musisz się wznieść na najwyższe drzewo aby oglądać
jak kogucik na dachu jak piszczalki w świątyniach
zaklinają rytuał zamykania drzwi,
na której jasność śmieje się
nie zostawiając suchej nitki.
to wszystko runie na ciebie
te ogrody
ale między jednym a drugim
są robaki światła
sekunda która mówi

W oświetlonych salach

w oświetlonych salach patrzący
wkładają telefony w twoje rany
drogi przez południk
dokąd
gdzie są te miejsca
gdzie są te ciała
związane przez słowa spadające światy
słowa to domy
cień domu to coś
do czego zawsze można
wrócić

Mokra plama

Od piątku plama, w jaką zamienia się ojciec, powiększa się w zastraszającym tempie. W tygodniu jest to plama nieduża, niezbyt wilgotna, taki ciemniejszy placek na ścianie za krzesłem, na którym ojciec jada obiady. Ale w piątek plama robi się większa od telewizora, jest też wyraźnie mokra. Tapeta wybrzusza się, żylaste zacieki ruszają ku podłodze. Walczę z wielką chęcią, by tego dotknąć, chociażby widelcem, z którym się nie rozstaję, ale mama kategorycznie zabrania, mówiąc, że ojcu może stać się krzywda. Myślę, że w nocy ktoś jednak plamy dotyka, ponieważ w sobotę rano spory płat tapety zwisa smętnie ze ściany.

Walczę z wielką chęcią, by oderwać ten zwisający skrawek, ale mama kategorycznie zabrania, mówiąc, że może stać mi się krzywda. Można tylko patrzeć: rozpulchniony tynk przypomina starego kalafiora z poczerniałymi różyczkami. Wyciekające stamtąd brudnomleczne strużki nie docierają do podłogi, tylko rozpełzają się na dwie strony, tworząc zarys postaci z zaciśniętymi pięściami. Wygląda to niesamowicie, ustawiamy krzesła naprzeciw ściany i całą sobotę spędzamy na obserwowaniu plamy, podjadając z kuchni resztki wczorajszej ryby i chleb z margaryną. Mama nie siada z nami, stoi w drzwiach, wycierając dłonie w ścierkę.

Pod wieczór plama ożywa. Tynk, który od jakiegoś czasu coraz bardziej pęczniał, przez co – mamy wrażenie – zaraz z krzykiem odpadnie, zaczyna się w sobie zapadać. Bąble spłaszczają się, najpierw te w środku, potem te na obrzeżach. Przed dobranocką plama robi się wklęsła i, zdaje się, dość sucha. Podchodzimy bliżej, ja na czele, potem maluchy i na końcu mama, której wahanie wisi w powietrzu.

Wyciągam ku plamie widelec, ale ręka zastyga w połowie drogi. Nie mogę nic zrobić. Moje ciało jest jak z kamienia, tylko głową mogę ruszać. Oglądam się na mamę, ale ona stoi tyłem. Płacze albo śmieje się w rękaw fartucha, trudno powiedzieć, w jadalni jest ciemnawo, jedyne światło wpada przez niedokładnie zasłonięte okno, za którym wszyscy dobrze i źle wykształceni ludzie, z ich dobrze i źle wykształconymi rodzinami, z ich dobrze i źle wypełnionymi dokumentami, szykują się do snu.

Patrzę na plamę: w samym jej środku jest lejkowate wgłębienie, w którym coś się rusza. To coś próbuje przekopać się przez osypujący się tynk. Postanawiam, że jeżeli pojawi się tam oko, nawet jeśli będzie ludzkie, to zwariuję. Próbuję wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy się zwariuje, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to, że można wreszcie się wypaść i że koło łóżka jest szafka nocna, na której stoi... Wtedy wypuszczam z ręki widelec.

Jest to stary, wysłużony, ale piękny sztuciec, z duszą, jeśli można tak powiedzieć. Nieduży, jakby w dziecięcym rozmiarze, lecz ciężki, solidny, z perłową rączką zdobną w bladoniebieskie kwiatki albo siniaki i z bardzo ostrymi zębami, które nieraz wbijają mi się w udo, szczególnie jeśli za długo siedzę w jednej pozycji.

Nie dane mi jest, przepraszam, mu... Nie dane jest mu upaść na podłogę. Jakaś dłoń przechwytuje widelec w locie i zaraz wypuszcza. Kolejna pojawiająca się znikąd dłoń przechwytuje go i wypuszcza. I kolejna, i kolejna. Obliczam, że zanim osiągnę celu, minie druga, trzecia w nocy, a wtedy powinienem być już dawno w łóżku.

I faktycznie jestem. Z zimnym widelcem w gardle. Muszę leżeć nieruchomo, żeby nie wbijał się w krtań, oddycham ostrożnie, przez otwarte usta. Chce mi się płakać z ulgi, ponieważ kara nie jest tak straszna, jak się spodziewałem. Czuję wdzięczność, może nawet do kogoś, kto stoi przy łóżku. Walczę z wielką chę-

cią, by obrócić głowę, ale wtedy stanie mi się krzywda. Widzę tylko zarys postaci z zaciśniętymi pięściami. Leżę spokojnie, wiem, że widelec rozpuści się pod wpływem ciepła, jedyne, co mnie martwi, to, że znowu się nie wyśpię. Jest to jednak takie przyjemne zmartwienie, połączone z ulgą, że już właściwie po wszystkim, że teraz będzie już tylko dobrze.

Niedziela jest słoneczna, mroźna i niemal nieskończona. Podłoga w jadalni lśni, czysta i wypastowana. Krzesła wróciły do stołu, maluchy bawią się w kącie moimi starymi zabawkami. Plama na ścianie jest znowu niewielka i sucha, właściwie prawie jej nie widać. Podobnie rozdarcie tapety – trzeba zbliżyć głowę do ściany, by dostrzec łączenie. Puchnę, pęcznięję z dumy, nie każdy przecież może pochwalić się ojcem, który potrafi tak doskonale zreperować ścianę, na którą wszyscy dobrze i źle wykształceni ludzie, z ich dobrze i źle wykształconymi rodzinami, z ich dobrze i źle wypełnionymi dokumentami machnęli ręką.



To, co po nas

myśli –
krążą wokół poplątanych wątków
ulało się self-love
nie ma czasu na self-care
negacja na body-positive
wciągnęły nas ruchy na Insta
mobilność traci na znaczeniu
nadzieje w kolorze malin
zmieniliśmy na smak lukrecji

tylko niech te dzieci się udadzą
pierwsze pokolenie wychowane w miłości
widzę, że jesteś zły
mama i tata tracą cierpliwość
nie tracą wiary
że tak trzeba
ukoję twoje strachy
choćby nie wiem co

moje już dawno spuszczone ze smyczy

Ojcie

dobrymi chęciami rodzicieli
brukujemy krużganki niedowartościowania
traumy omawiam we śnie
z nierzeczywistym audytorium
wydali już wyrok
ich miny wyrażają rozczarowanie
siedzę na wymagowanym biurku i płacę

nie będzie puenty

Brzydkie słowo na R

To już nie jest tak
że sobie tego nie wyobrażamy

podobno wszyscy się teraz rozwodzą
nie dziwota
platformy streamingowe
ujawniają niekompatybilność i problemy z decyzyjnością
kiedyś to było
kiedyś był teleranek i Znachor
egzystencja tele info rozrywkowa jednowymiarowa
o co tu się kłócić
o co chandryczyć
nowoczesność dostarcza argumenty
dla rychłego końca
po wszystkim
ona obejrzy komedię romantyczną
on jakąś rozpierduchę

opieka nad małoletnim
naprzemienna

Święta

produkty deluxe oferują się w okresie przedświątecznym
obecnie letnia trufla leży na blacie obok szerniałych bananów
odległość między nimi jest mniejsza
niż między tobą a mną

jeśli milczenie jest złotem
to jutro możemy spłacać kredyt
zaufania nie
odbudujemy
przy wigilijnym stole
umiera dzieciątko Jezus
w warunkach bardziej profanum
deluxe jest tu tylko trufla

Decyzja

Nie pamiętał zbyt dokładnie, kiedy podjął decyzję, ale z pewnością było to na przełomie marca i kwietnia, w czasie, gdy uczniowie budzą się z zimowego letargu, a w pokoju nauczycielskim zaczyna robić furorę czasownik „przetrzeć”. Decyzja, jak zasiane dawno temu ziarno, tkwiła w nim głęboko, czekając na odpowiednie warunki. I właśnie kiedy za sprawą odgórnej regulacji dzień wydłużył się o godzinę, to maleństwo zaczęło wypuszczać pierwsze pędy, które w sprzyjających okolicznościach miały dać początek jego nowemu życiu.

Przez kilka ciepłych kwietniowych dni przyzwyczajał się do myśli, że już nie będzie pracował w szkole, co nie okazało się łatwym zadaniem, zważywszy, iż przez ostatnie dziesięć lat poświęcał tej instytucji niemal cały swój wolny czas i mnóstwo energii. Najdziwniejsze w tym było to, że w gruncie rzeczy nie lubił dzieci, które, odkąd pamiętał, napawały go odrazą. Był to jednak jego największy, najpilniej strzeżony sekret. Mimo tej awersji osiągał w swojej pracy znakomite rezultaty, bo lubił uczyć, a wrodzone zdolności aktorskie znakomicie ułatwiały mistyfikację. Dbał, aby stwarzać pozory zaangażowania i na pewnym etapie sam uwierzył, że mu zależy. Jednak nawet wtedy nie wyzbył się nawyku złorzeczenia na uczniów w czasie dyżurów na korytarzach. Oczywiście rzucanie kalumniami było procederem czysto mentalnym, który nigdy nie przybrał formy werbalnej. Z czasem odkrył, że charakter tych inwektyw staje się coraz bardziej wulgarny i coraz trudniej przychodzi mu zatrzymanie cisnących się na usta przekleństw. Innym symptomem głębokiej awersji do uczniów było metodyczne, acz starannie kamuflowane psychiczne dręczenie. Bardzo umiejętnie dobierał metody tak, aby ofiary nie mogły zdradzić się ze swoimi lękami i fobiami, narażając się tym samym na publiczne poniżenie i szkolną infamię. Był to, można powiedzieć, proceder kameralny, oparty głównie na zawołanych sugestiach i niedopowiedzeniach sprawiających, iż bezbronni uczniowie przeżywali katusze. Okazywało się to znacznie bardziej efektywne niż spektakularne poniżenie przed całą klasą, którego efekty często były krótkotrwałe i rozczarowujące.

Tak więc powoli przyzwyczajał się do myśli, że już niedługo będzie zupełnie wolnym człowiekiem, którego wyzwolona z jarzma myśl poszybkuje wysoko i wyda plon w postaci jakiejś wstrząsającej powieści lub zbioru opowiadań. To jednak należało do sfery dość odległej przyszłości. Na razie jak dziecko cieszył się upływającymi dniami, z których każdy przybliżał go do szczęśliwego finału. Po tygodniu zauważył z niepokojem, że dni uykają nieco zbyt szybko, zbyt nieuchronnie. Chciał zatrzymać na dłużej to poczucie lekkości i beztroski, ale im bardziej pragnął rozciągać czas, tym on bardziej się kurczył. Wreszcie machnął na to ręką i przestał się przejmować. Nie przygotowywał się do zajęć, tylko improwizował, co okazało się znacznie przyjemniejsze niż realizowanie precyzyjnie przemyślanego planu. Paradoksalnie, lekcje zaczęły mu dawać satysfakcję i po głębszym zastanowieniu uznał to za wysoce niepokojący znak. W samą porę nadszedł dzień męskiej rozmowy z dyrektorem szkoły.

Dyrektor przyjął go podczas dużej przerwy. Niedbałym gestem wskazał fotel i nawet nie przerwał czytania jakiegoś dokumentu.

– Proszę, kolego. Proszę śmiało. O co chodzi?

Nie wiedział, co powiedzieć. Setki razy wyobrażał sobie tę sytuację, cyzelował w myślach argumentację, analizował różne warianty spotkania, a teraz po prostu nie mógł wydukać ani słowa. Dyrektor zaczął coś pisać.

- Panie kolego, bardzo proszę, już jestem spóźniony.. – powiedział zniecierpliwionym tonem.
 - Nie zajmę dużo czasu, panie dyrektorze – przełamał wreszcie treść i poczuł nagromadzoną siłę.
- Chciałbym się zwolnić z pracy.

Dyrektor pisał jeszcze przez chwilę, ale długopis poruszał się coraz wolniej. Wreszcie zupełnie zniechęcił się.

- To niemożliwe.
- Możliwe, zapewniam pana. Jutro chciałbym złożyć pisemne wypowiedzenie – powiedział twardo.
- Nie złoży pan. – Policzki dyrektora z wolna przybierały purpurową barwę. – Ja panu nie zezwalam.
- Za przeproszeniem. – Nauczyciel uśmiechnął się naprawdę rozbawiony, bo czuł, że odzyskuje rezon. – Ja pana o zezwolenie nie proszę, tylko informuję.
- Nie! – wrzasnął dyrektor i poluzował krawat.
- Nie krzycz pan na mnie jak na gówniarza. I tak za długo tu pracowałem.

Dyrektor zmienił taktykę. Uśmiechnął się nieszczerze.

– Panie Mieczysławie – zaczął niemal potulnie – znamy się nie od dziś. Jestem pełen podziwu dla pańskiego zaangażowania i umiejętności. Zawsze się rozumieliśmy, a zdradzę, że w przyszłym roku miałem zamiar podnieść panu dodatek motywacyjny o dwa procent. I co kolega na to? – zamilkł i patrzył wyczekująco.

– Nic.

– Jak to nic?

– Po prostu już mnie to nie interesuje. Żegnam pana.

Odwrócił się na pięcie i uchylił drzwi na tyle, żeby dostrzec odskakującą sekretarkę. Dyrektor rzucił się do przodu i zablokował wyjście z gabinetu swoim obfitym ciałem.

– Nie! – wrzasnął. Nauczyciel dostrzegł kropelki potu perlące się na jego czole.

– Ależ tak – powiedział łagodnie.

– Panie, nie rób mi pan tego. Kto przejmie wychowawstwo 3b? Tylko ja zostanę? – Dyrektor zamilkł i chyba właśnie wtedy w pełni zrozumiał groźbę sytuacji.

– Na to wygląda – odpowiedział pogodnie nauczyciel i delikatnym, acz stanowczym ruchem odsunął dyrektora z przejścia. – Do widzenia! – rzucił pogodnie i wyszedł na wibrujący wrzaskiem korytarz.

Następnego dnia złożył pisemne wypowiedzenie, a potem było już z górki. Lekcje upływały na przyjemnych pogawędkach z uczniami, którzy nagle zaczęli uznawać pana od historii za bardzo fajnego. Rozdawał piątki na prawo i lewo, nie zwracał uwagi na bujanie się na krzesłach. Kilka razy z premedytacją doprowadził do bolesnych upadków, z których jeden zakończył się dość głębokim rozcięciem skóry na głowie. Oczywiście natychmiast interweniował – wzywał pielęgniarkę, ale nie mógł odmówić sobie tych kilku słów morału wypowiedzianych z lodowatym uśmiechem. Rodzice dzieci nie mogli wyjść z podziwu dla swoich pociech i naturalnie dla pana nauczyciela, dzięki któremu tak radykalnie poprawiły się wyniki w nauce.

Ostatnie zebranie było jego wielkim tryumfem – rodzice złożyli na ręce dyrektora prośbę o nagrodę kuratoryjną dla pana nauczyciela.

I tak, nie wiadomo kiedy, nadszedł dzień Zakończenia Roku Szkolnego. Nauczyciel stał nieco na ubożu, jak zawsze rozbawiony tą uroczystością. Przygotowane kilkanaście lat temu przemówienie dyrektora co roku okazywało się niezwykle aktualne, co stanowiło dowód na dynamikę zmian w szkolnictwie. Po dyrektorze wystąpił jękający się chłopina z Rady Rodziców, który życzył dzieciom „fajnych... eeee wakacji i eeeeeee... eeeeeee żebyście fajnie eeeeeee wypoczęli”. Na tym etapie nauczyciel stracił zainteresowanie i skupił uwagę na dyplomie trzymanym przez siedzącego przed nim ucznia. Chłopiec dostał go jako Mistrz Dobrego Słowa.

– I za co to dostałeś? – zapytał go.

– Nie wiem – odpowiedział uczeń.

Nagle nauczyciel usłyszał swoje nazwisko. Wyprostował się gwałtownie. Nie mylił się. Dyrektor nieco twardszym, zniecierpliwionym tonem wymówił jego nazwisko. Nauczyciel wyszedł na środek sali i stanął przed dyrektorem.

– W uznaniu zasług dla naszej placówki został pan uhonorowany nagrodą kuratorską – cedził przez zęby z tym swoim cynicznym uśmiechem. – Gratuluję. – Podał mu rękę, a nauczyciel odniósł wrażenie, że dyrektor przekazuje mu kawałek lodu. Nawet nie spojrzał na niego, tylko powędrował wzrokiem w kierunku jakiegoś wyjątkowo ciekawego zacieku na ścianie. Nauczyciel nachylił się i szepnął prosto do zarośniętego włosami ucha: „trzecia b”. Dyrektor odskoczył i spojrzał z nienawiścią.

Potem było jakieś wyjątkowo nudne przedstawienie, które ciągnęło się w nieskończoność. Mimo otwartych okien w sali było przerażająco duszno. Co chwila jakiś uczeń gwałtownie zieleniał na twarzy i – sflaniając się na nogach – wychodził na świeże powietrze. Wreszcie, jak wszystko na tym świecie, i ta atrakcja dobiegła końca. Nieliczni widzowie i aktorzy rzucili się do wyjścia, jakby w sali nagle wybuchł pożar.

Tak zakończył się ostatni dzień pracy nauczyciela.

Tydzień później był spakowany i gotowy wyruszyć do tej wymarzonej wsi, której nazwy nawet nie było w atlasie samochodowym. Cekał na bagażówkę w nie swoim już mieszkaniu, co chwila wyglądając przez przybrudzone okno. Wreszcie przyjechała i kierowca pomógł mu znieść paczki książek i inne drobne sprzęty. Postanowił nie zabierać mebli, bo dom, który kupił w wiosce, był ponoć całkowicie u m e b l o w a n y. Po przyjeździe okazało się, że znaczenie tego słowa ulegało najwyraźniej regionalnym modyfikacjom. Na miejscu zastał tylko stoczoną przez korniki szafę i rozklekotane łóżko, ale za to było tam niezwykle cicho.

Najpierw z pietyzmem wypakował swoje książki, co okazało się najmniej rozsądnym posunięciem, bo oczywiście nie było ich gdzie wstawić. Po naprędce skleconej kolacji postanowił zawrzeć swoje wrażenia w pierwszym napisanym tu opowiadaniu. Ostrożnie wydobył laptopa i podłączył go do gniazdka w największym pokoju. W momencie kiedy pisał tytuł, zgasło światło. Siedział w ciemności przez kilka minut. W oknach okolicznych domów pojawiły się mdłe płomyki świec i złowrogo wyglądające cienie mieszkańców. Przesiedział tak jeszcze godzinę i w końcu poszedł spać w ubraniu.

Dwa tygodnie później, już jako dumny posiadacz biblioteczki i biurka siedział pochylony nad laptopem. Od dłuższego czasu próbował zacząć swoje pierwsze opowiadanie. Pisał kilka zdań, odczytywał je na głos i w złości likwidował. Oszczędności topniały w zastraszającym tempie, bo poprzedni właściciel zostawił mu na powitanie kilka niezapłaconych rachunków. Życie na wsi wcale nie okazało się tanie – wszyscy mieli swoje kury i mleko, więc ceny w miejscowym sklepiu szybkowały wysoko, zbliżając się do poziomu obowiązującego w kurortach.

Przeczekał jesienne ulewy i do końca się zrujnował, kupując drewno na opał podczas wyjątkowo mroźnej zimy. Kiedy ziemia zaczęła odmarzać, odłożył laptopa na półkę i postanowił zająć się gospodarką. Przed domem aż hen do szosy rozciągał się kawał pola, które nabył razem z chałupą. W akcie desperacji zdecydował zorać swoją ziemię i zacząć jakąś dochodową uprawę. W stodole za domem znalazł starożytny pług. Uśmiechając się wyrozumiale, życzliwy sąsiad udzielił mu kilku lekcji orki i obiecał pożyczyć konia. Kilka dni później nauczyciel zabrał się do pracy.

Było ciężko. Nic nie wychodziło dobrze. Nie nawykłe do takiej pracy ręce natychmiast pokryły się pęcherzami, a plecy promieniowały tęnym bólem. Po godzinie nauczyciel zrezygnowany przerwał szarpaninę i smutno popatrzył na szarą ziemię. To nie miało sensu. Z czułością pogłaskał starego konia i westchnął. Nagle w oddali zobaczył srebrny samochód parkujący na poboczu szosy. Z limuzyny wysiadł elegancko ubrany mężczyzna i poszedł przez pole w jego kierunku.

– Dzień dobry, gospodarzu! – krzyknął z daleka.

– Dzień dobry, panu – odpowiedział nauczyciel. Uśmiechnął się sam do siebie, oceniając niedorzeczność całej sytuacji.

– Jak orka? – zapytał przybysz, ciekawie zerkając na starodawny pług.
– Ciężko. – Nauczyciel postanowił być oszczędny w słowach.
Człowiek ze srebrnej limuzyny urzeczony wpatrywał się w zabłocony pług.
– Wychowałem się na wsi – zaczął zmienionym głosem. W jego oczach pojawiły się łzy. – Ojciec miał gospodarę, ale sprzedał... Czy mógłbym... – nieśmiało podniósł wzrok i błagalnie spojrzał na nauczyciela – ...dotknąć?
– Ależ proszę.
Jego dłoń w kosztownej jesionce z czułością dotykał zardzewiałych części pługa i mrucał: „Taki sam... Dokładnie taki sam...”.
Po kilku minutach podniósł bryłkę ziemi i rozgniół ją w rękę. Otarł rękawem cisnące się do oczu łzy i wyciągnął portfel. Odliczył pięć stużłotowych banknotów i podał je nauczycielowi.
– Proszę to przyjąć. Znalazłem tu coś bezcennego... – wyszeptał. Popatrzył jeszcze raz na pług i odszedł w kierunku limuzyny.
Nauczyciel wpatrywał się osłupiały w pięć zielonkawych banknotów.
Tydzień później na poboczu szosy zatrzymał się van z przyciemnianymi szybami. Wysiadło z niego czterech eleganckich mężczyzn, którzy nie bacząc na wiosenne błoto, przeszli polem w kierunku zabudowań nauczyciela.
– Przepraszamy, gospodarzu – zaczął jeden z nich. – Na polu jest pług... – zawahał się. – Czy moglibyśmy go dotknąć?
Nauczyciel uśmiechnął się szeroko i skinął głową.



słowo

tego słowa jeszcze nie wymyślono.
kto wie, może za milion lat?
na pewno nie jutro.
mimo to zachowujmy się tak, jakbyśmy je znali.

udawajmy, że jest z nami od początku,
że w rankingu najpopularniejszych wyrazów
nigdy nie schodzi z pierwszego miejsca.

udawajmy dogłębne rozumienie jego znaczenia
we wszystkich znanych i nieznanach językach.

udawajmy ochronę słowa przed niepozorną
deformacją i interpretacjami, które mogłyby
mu zaszkodzić.

udawajmy poświęcenie i gotowość
do ponoszenia ofiar w imię słowa
wyszeptanego w twarz,
wykrzychanego w dłoń.

udawajmy wiedzionych mądrością słowa,
jakbyśmy dobrze wiedzieli czyje usta
pierwsze je wypowiedziały.

udawajmy proszę.

współbrzmienie

nie jestem swoimi myślami,
lecz każdym płatkim polnego kwiatu.
kamykiem na skraju drogi,
kroplą mgły dźwiganą przez źdźbło.
uschniętym liściem jabłoni,
zamkniętą w pąk pamięcią chłodu
skurczonej, jasnej nocy.
gdy czasu tak dużo,
że aż za mało.

Jeszcze

Podniosłem

Podniosłem kamyk ze ścieżki. Dałem wiarę kropli wody. Nie zgubiłem motyla ani pyłku trawy. Zgodziłem się z szelestem, smak owocu zapamiętałem, głód uznałem za istotę, światłu i podłodze ufałem, ból był mi brat najbliższy, od barw czekałem prawdy. I teraz cel już blisko. Gdzieś zapisany na innej kartce.

Wrotycz

Na dalekich polach jest sierpień i różne kwiaty w swoim dobrym czasie kwitnienia. Tam wrotycz kwitnie gromadnie, intensywnie żółto. Ma właściwości lecznicze. Ale należy zachować ostrożność. Nie pamiętam o tym. I nie obchodzę go z daleka, wręcz przeciwnie. Dotykam. Oglądam uważnie. Mnie leczy już samo patrzenie na skupisko kwiatów-ziół o twardych łodygach, którymi porosły sterty wysypanej ziemi. Chwała ich istnieniu. Jakiegokolwiek wysypisko odludne jest dla nich odpowiednie.

W pobliżu

W pobliżu jest trasa szybkiego ruchu, co wiedzie w stronę morza.auta pędzą. Jedne wyprzedzają inne. W jedną i w drugą stronę mkną auta. Mnie nic nie musi wyprzedzać i sam też nie chcę wyprzedzać, czyli być pierwszym. Kontemplacja nie zna prędkości. Ani bycia pierwszym. Jestem tu, gdzie chcę być, nie muszę donikąd zdążyć na koniec dnia. Cykoria wędrowna niebiesko świeci, wytrwale wytrzymuje upał i daje swoją obecnością to, co jest mi potrzebne w odruchu fascynacji.

Wiśnie

Wiśnie, nawet przed jabłkami, były i są mi najbardziej upragnione. Biegałem sto lat temu na wiejskie pustkowia, gdzie rosła niczyja, czyli bezpieczna wiśnia. Wspinałem się na drzewo, jadłem zachłannie, i do garnka rwałem, ile się tylko udało. Przy okazji rozsypywałem je, ale jakoś potem zaniósłem mamie do domu na stół ich smak i kolor. A tego roku spotkało mnie coś szczególnego. Zaprosił mnie Mirosław do swego sadu wiśniowego na szerokie pole w Świdnicy i mogłem tych owoców garściami sobie nabrać, ile tylko chciałem. I dużo by o tym pisać, jakie to uczucie warte poezji.

Niestety

Tak się składa. Czytam różne poetyckie zbiorki i przekonuję się ku pewnemu zaskoczeniu, że przenika je nastrój, klimat i myślenie abnegacyjne. Usilne zaprzeczanie sensu życia, negatywizowanie egzystencji. To smutne. Może to młodzieńczy bunt? Czy są jakieś powody? Pesymizm widać nie tylko w młodzieńczych arkuszach. Zastanawiam się więc. Czego kiedyś nie wiedzieliśmy, nie chcieliśmy wiedzieć, bo miało być tylko dobrze. Teraz dowiadujemy się natychmiast, czytamy i oglądamy rzeczy straszne, gorszące. Internet działa, ruiny miast i inne okropności odwiedzają nas. Nie spodziewaliśmy się od cywilizacji takiego obrotu spraw. A co z przyszłością? Wypada oczekiwać, że wszystkie niestety ulegnie pogorszeniu. Poeci to czują. Ich intuicja odgaduje. Kiedy jednak oglądam i biorę do ręki liść, żdźbło trawy, oglądam kroplę wody, to

udziela mi się jakaś mistyczna pewność, że fundament życia przenika niesamowita pozytywność mimo wszystko, jakby odwieczna, która fascynuje. Czy to w dramatycznym czasie ma być czymś nieodpowiednim? I nie ma być miejsca na żadną pozytywność? Tylko epatowanie brakiem sensu oznacza kapitulację. Problem nie w abnegacji i kojarzonej z nią złości oraz niechęci, problem w tym, że znaczenie wartości zostało odłożone do lamusa.

Begonie i inne

Białe, fioletowe, czerwone, różowe, gdziekolwiek są, dają z siebie wszystko piękno ziemi i światła. I nigdy im nie dorównasz.

Wysokie

Pojawiły się w krajobrazie na wysokich pędach chaber bławatek, facelia błękitna, żmijowiec zwyczajny, dziewanna, bniec biały i inne. Pojawiły się subtelnie złote kwiaty dziurawca, jakby ktoś tu i ówdzie rozsypał jego nasiona. Patrzę, szukam oczami. I maki spotykam w delikatnych czerwieniach. A płatki dziurawca są niepozorne. Skuteczne pomagają na różne wewnętrzne dolegliwości. Tak nam to wszystko trwa mimo różnych przeszkód.

Po

Pół wieku tworzenia, życia, skreśleń, poprawek, nowych wersji, zabiegania o druk. I nagle usiadłem na kamieniu w milczeniu. Jest chwila, że mógłby ktoś, mógłby coś, przyjść ze słowem, odezwać się przez telefon, dać stół i krzesło i czas na czytanie, lecz nawet nie pomyśli o tym. Twórca czuje się dziwnie, gdy jego nadzieja zostaje kopnięta na margines.

Wobec

Tworzenie to ważna sprawa. Pisze się kształt wolności zdecydowanie samotnie wobec całego świata, ba, wszechświata, Boga i galaktyk. Tak to jest. To działa jak motor, któremu przybywa poczucia obowiązku, woli pracy i świadomości, że tego swojego świata nie można zaniechać, schować pod korcem, rzucić do szuflady, bo swoim dziełem, całą jego wizją mówi do człowieka, więc nie powinien odwracać się do niego plecami. Wprawiać się w egotyzm, co niestety obecnie staje się regułą. Dokąd tak chcemy dojść bez współuczestniczenia.

Są

Są przyjazne wszystkie kolory, niepozabawione subtelności, jest podział na niebo i ziemię, jakieś konstrukcje natury zostały rozciągnięte. Natura zasiedla widok, ale ludzie to osobny temat.

Jeśli

Jeśli wyzbędziesz się uważności i zignorujesz racje natury, bliskiej, dookolnej, to również i człowieka zignorujesz.

Piszę

Piszę, czytam, co piszą inni. Jestem ciekawy ludzkiej mowy. Tak było od dzieciństwa. Wsłuchiwałem się, biegłem. To pamiętam. Świat mówi. Nie bądź nieczuły ani obojętny. Twoją polityką niech będzie wrażliwość i współczucie. Trzeba wiedzieć, że każdy z osobna musi do pewnych rzeczy chcieć dojść. Jest senny ranek, wstałem wcześniej, szare niebo, pojedyncze krople uderzają o blaszany parapet. Wystukują melodię przemijania.

Los widzi

Wdałem się w dyskusję, więc zapytano mnie o zdanie. Przeczytałem, że los widzi więcej niż światło. Refleksja poety jest taka, że byłoby dobrze wszystko mieć wysoko i pięknie w słowie, ale nie da się wszystkiego mieć wysoko i pięknie. Zwłaszcza w czterech ścianach domu. W ogóle w słowie, na kartce. Kto się łudzi, ten zapłaci cenę. Przeoczy ważne sprawy. Trzeba w pocie czoła zdobywać życie. W pocie czoła zapracować na chleb, urobić się nawet. Dźwigać kamienie. Ja to wiem w wystarczającym stopniu. Nie było nic lekko ani za darmo. Tak się układało i układa. Musi więc wystarczać nie za dużo, minimum. Owszem, nie pcham z marketu kosza załadowanego produktami. Nie jadę na wycieczki w różne strony świata – góry, wyspy i krainy. Słyszę, że wielu już na to stać. Mam inne problemy, które mnie obchodzą, a nawet sprawiają kłopot. Moi rodzice, prości ludzie, mieli ciężej i to dużo ciężej. Pamiętam ich milczenie i powagę przy stole. Przed wojną starczało im zaledwie na kromkę chleba, sól, kartofle. Wojnę przeżyli w niewoli pracy przymusowej (w Zatoniu). Nie najgorzej, mimo że podlegali Niemcom. Potem znosili biedę w PRL-u. Ojca niemal posłano do więzienia. Umierał, ale ocalał za sprawą modlitwy. A teraz nagminnie słyszę zawzięte z pretensjami dyskusje o pieniądzu, że za mało. No tak, przyszedł czas i czasy, że pieniądź stał się bożkiem. Z zagadnieniami piękna ma to mało wspólnego. A poza tym doszło jawne zaprzeczanie wartościom. Pytano mnie o zdanie. Łatwo o tym dyskutować się nie da. Cywilizacja już nie słuca żadnym mądrych dyskusji, rozsądku ani wyciąganych wniosków i ostrzeżeń. Nie ma mądrości. Jest czas jałowy. Pisał o tym sto lat temu T.S. Eliot. Degeneracja nabiera rozpędu. Głupota jest w cenie. To nas gdzieś zaprowadzi. Ja wiem gdzie, ale to inna sprawa.

Tak już

Place, chodniki, ścieżki równiutko wyłożone betonową kostką, niby to dobrze i potrzebnie. Jesteśmy dumni, nie potkniemy się. Niby tak.

Niedziela

Niedziela. Patrzę na akwarelę Adama Bagińskiego. Dobre takie patrzyenie, gdy dostrzega się piękno w przemianym układzie barwnych pasm, dotknięć, punktów, linii idących, podnoszących się ku górze. Na samym dole akwareli jest szeroko położony, subtelny, prawie niedostrzegalny błękit, nad nim fiolet już intensywniej przechodzi w mocny granat. To jakby pierwszy akt kolorystyczny. Pierwsze napięcie. A wyżej płaszczyzna już uwyrażnia się w ciepłym pomarańcu. Chce być dostrzeżona w nią wpisana otucha. Układ barw jest wznoszący. Pośrodku obrazu zaledwie dotknięcia. Jakby sennie, które wypełniają znaczny obszar. Całe w uciszeniu. Na samej już górze dynamicznie dzieją się rzeczy ważne. Granat decyduje o dynamice malarzkich form. O wielu impulsach. Przebłyskują przez nie sygnałnie ciepłe pomarańcze, które upominają się swoim światłem o obecność. Są jak dopowiedzenia sensu, który ma zwyciężyć. I zwycięża. Całość tej kompozycji ma jakąś niedefiniowalną treść. Dostrzegam poetycką urodę i ulotność, więcej – zwiewność. Ta całość daje obraz natchnienia, jakie Adama Bagińskiego naszło w akcie najpewniej porannego malowania.

Już coś

Już coś wyblakło, jakiś oddech, klimat, zrobiło się sennie, omijany sens, czas zjedzony, w piecu ciemność. Jednak szczególnego znaczenia ciągle są różne drobiazgi. Warto docenienia. Choćby i bardzo późno. To na przykład, że małe ptaki przylatują do słońca przytłumione do słońca przytłumione.

„Winiarz Zielonogórski”

Rok 2025 jest wyjątkowy. Zupełnie nieoczekiwane stało się coś niezwykłego, zupełnie wyjątkowego. Nawet mi trudno dojść, w jaki to sposób. Całość pisma „Winiarz”, które rozkrzewia mit i trwanie uprawy winorośli, tradycji już wiekowej, wznowionej (nr 65, lipiec 2025, wydanie bibliofilskie), szczęśliwym trafem wypełniła

garść moich wierszy o winie, winogronach i temu pobliskich tematach, tudzież są teksty o mnie. Na pierwszej stronie całkiem sporo napisał Mirosław Kuleba, np.: „Przewija się w nich [w wierszach – red.] motyw wina wpleciony w tkanę życia”. Tak właśnie. Jest także zdjęcie. Stoję z książką w ręku na tle obrazów Andrzeja Gordona, eksponowanych w naszym Muzeum. To fotografia wykonana (w latach 80. XX w.) przez Czesława Łuniewicza. Na drugiej stronie piękna grafika – miedzioryt Stanisława Pary. I na ostatniej sympatyczne słowo od Redakcji: „Dawno temu Czesław Sobkowiak urodził się”. Kapitalne. Mało tego. Kilkanaście ekslibrisów różnych artystów – Leszka Frey Witkowskiego, Wioletty Józefiak, Aleksandry Ogórkiewicz, Viktora Chrenko (że tylko te nazwiska wymienię) towarzyszy wierszom. Każdy ekslibris wyróżnia inna kreska i pomysłowe wykorzystanie barw. To wszystko razem wzięte daje świetny efekt. Jakąś elegancją i subtelnością edytorską emanuje ten „Winiarz”. Oby tak dalej. I jeszcze słowo ode mnie: dziękuję.



Przemysław Grześniński

PanzerFaust

Osoby:

PIERWSZA

DRUGA

TRZECIA

FRIEDA

PIERWSZA: Frieda...

DRUGA: Frieda...

TRZECIA: Frieda...

PIERWSZA: Obudź się...

DRUGA: Obudź się już...

TRZECIA: Nie śpij... Zobacz, co dla ciebie mamy..

DRUGA: Zobacz, co dla ciebie uszyliśmy...

PIERWSZA: Włókno lotosu, nie jakieś tam byle co.

TRZECIA: Nie, nie byle jaka nić. Specjalna. Najlepsza.

PIERWSZA: Halka jak marzenie.

DRUGA: Haleczka jak malowanie.

PIERWSZA: Długo wybierałyśmy nici.

TRZECIA: Długo szyłyśmy.

DRUGA: Długo dopasowywałyśmy.

PIERWSZA: Specjalnie dla ciebie.

TRZECIA: Dla nikogo innego. Wyjątkowe nici, dla wyjątkowej Friedy.

PIERWSZA: Daj spokój. Nie śpij już.

DRUGA: Obudź się.

TRZECIA: Obudź się już.

FRIEDA: Gdzie... Gdzie ja jestem?

DRUGA: Jak to gdzie? Tutaj.

FRIEDA: Kto? Kto tu jest?

TRZECIA: Jak to kto?

PIERWSZA: My.

TRZECIA: Zobacz. Zobacz, co mamy dla ciebie.

DRUGA: Zobacz, co dla ciebie uszyliśmy.

PIERWSZA: I jak? Podoba ci się?

TRZECIA: Przymierzysz?

PIERWSZA: Och! Jaka ty jesteś piękna. Jaka ona piękna.

DRUGA: Daj dotknąć. Taka... gładka.

PIERWSZA: Taka... jędrna.
TRZECIA: Taka nie taka jak my.
PIERWSZA: Nie, nie taka. Inna taka.
TRZECIA: Inna.
DRUGA: Odsuń się Uczeszę ją.
PIERWSZA: Ja... ja potrzymam ci grzebień.
TRZECIA: A ja... ja podam wstążki.
PIERWSZA: Umaluję ją!
DRUGA: Umalujesz!
TRZECIA: To ja, ja podam ci puder i pędzelek.
DRUGA: A ja... Ja podam gąbkę.
PIERWSZA: I jak?
TRZECIA: Jeszcze wisiołek. Pamiętaj o wisiołku z kamieni.
PIERWSZA: Pamiętajam, pamiętam.
DRUGA: Och!
TRZECIA: Ach!
PIERWSZA: Och!
DRUGA: A zatem Friedo, opowiadaj.
FRIEDA: Opowiadać? O czym?
DRUGA: Tak pięknie wyglądasz, że musisz nam coś opowiedzieć.
TRZECIA: Tak, tak, koniecznie. Prosimy.
DRUGA: Prosimy. Starych i brzydkich nikt nie słucha, ale ciebie..
PIERWSZA: Zamieniamy się w słuch.
FRIEDA: Kiedy ja... Naprawdę nie wiem. Nie mam nic do powiedzenia.
PIERWSZA: Taka piękna i taka skromna.
DRUGA: To idzie w parze, moja kochana.
TRZECIA: Dlatego my w trójkę. Nie do pary takie.
PIERWSZA: No, dalej.
DRUGA: Nie ponagłaj jej. Widzisz przecież, że dopiero co wstała. A ty już byś wszystko chciała. Więcej cierpliwości, moja droga. A może ona jest spragniona? Pomyślałaś o tym?
PIERWSZA: Nie. Nie pomyślałam. Wybaczysz mi, Friedo? Wybaczysz, że nie pomyślałam o tym, że chcesz pić? Ale ja tak bardzo, tak bardzo już czekam na twoją opowieść.
FRIEDA: Czy to pracownia krawiecka?
PIERWSZA: Widzisz? Poznaje!
FRIEDA: Pracownia krawiecka w „Der Treudank”.
PIERWSZA: Poznaje!
DRUGA: Ani przez chwilę w nią nie wątpiłam.
TRZECIA: A co ty się tak na mnie patrzysz? Ja też. Ja też w nią nie wątpiłam.
PIERWSZA: Napij się jeszcze. Jeszcze się napij.
DRUGA: Pracownia krawiecka..
FRIEDA: Tak. Teatralna. W Olsztynie. Ale ja, ja tu byłam tak dawno temu. I tylko raz. Kiedy to było? Nie pamiętam.
PIERWSZA: Przypomnisz sobie.
TRZECIA: Jesteś taka śliczna.
FRIEDA: Burczy mi w brzuchu.

DRUGA: Słyszałyście?! Ona jest głodna!
TRZECIA: Głodna!
DRUGA: Właśnie!
TRZECIA: A my ją ubieramy, malujemy, wypyujemy. Kiedy ona głodna!
DRUGA: Na pusty żołądek ma mówić? Przepraszamy!
TRZECIA: Przepraszamy, Friedo!
PIERWSZA: Już, już się tym zajmujemy.
TRZECIA: Może...
DRUGA: Może...
PIERWSZA: Może...
DRUGA: Może ciasto!
PIERWSZA: Właśnie!
DRUGA: Upieczmy jej ciasto!
PIERWSZA: Upieczmy ci ciasto!
TRZECIA: Chcesz?
DRUGA: Pewnie, że chce, głodna jest. Nie słyszałaś?
TRZECIA: Słyszałam.
DRUGA: To co się głupio pytasz?
TRZECIA: Sama jesteś głupia.
DRUGA: A ty nie lepsza, ale gorsza. Głupia! Głupia!
PIERWSZA: Przestańcie! Frieda na was patrzy! No już. Podajcie sobie rękę na zgodę i przeproście się.
TRZECIA: Przepraszam.
DRUGA: Ja też przepraszam.
PIERWSZA: Pomożesz mi upiec ciasto dla Friedy?
DRUGA: Tak. Tak. Pomogę.
TRZECIA: I ja też. Ja też pomogę.
PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA: „Backe, backe Kuchen, Der Bäcker hat gerufen. Wer will guten Kuchen backen, der muss haben sieben Sachen, Eier und Schmalz, Zucker und Salz, Milch und Mehl, Safran macht den Kuchen geh!! Schieb, schieb in'n Ofen ,nein“.
(*Upiecz, upiecz ciasto, Piekarz zawołał. Kto chce upiec dobre ciasto, musi mieć siedem rzeczy, jajka i smalec, cukier i sól, mleko i mąkę, szafran sprawi, że ciasto będzie żółte! Wsuń, wsuń do pieca*).
PIERWSZA: I gotowe!
DRUGA: Smakuje ci?
FRIEDA: Tak. Jest pyszne. A wy takie dobre dla mnie. To ciasto, to ciasto przypomina mi to z restauracji w leśnym dworku „Neu Wadang” Karla i Hermanna Oschinskich. Niedaleko wsi Wadąg. Tutaj, niedaleko. Wiecie, gdzie to jest?
DRUGA: Wiemy.
TRZECIA: Wiemy, wiemy.
FRIEDA: Dużo wtedy żartowaliśmy. Na tarasie w „Neu Wadang”. Z Benno Bohnem, Gretą, Albertem. Z innymi nauczycielami z naszego żeńskiego gimnazjum Luisenschule. I to ciasto drożdżowe. Takie jak teraz. Podobno, podobno, aby spróbować tego drożdżowego ciasta, ludzie przyjeżdżali aż z Wrocławia. Ale i lokalizacja dworku była piękna. Jeziora, czyste powietrze, lasy jodłowe...
DRUGA: Friedo...
TRZECIA: Nie przerywaj jej! Przecież mówi.
DRUGA: Friedo... Dlaczego przyjechałaś do Olsztyna?

FRIEDA: Dlaczego przyjechałam? Dlaczego przyjechałam? Właściwie to nie do końca był mój wybór. To był wybór pruskiej administracji. Wcześniej żyłam w Kassel, gdzie mieszkałam u siostry Elsy i jej męża. Po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Kassel szukałam pracy. Artystka, malarka, portrecistka, czyli ja – Frieda Strohmborg, do usług.

DRUGA: Brawo!

TRZECIA: Brawo!

FRIEDA: I chociaż nie powiem, że nie miałam zleceń, bo miałam i to całkiem sporo... Ale... Życie portrecistki, nawet docenianej, nie jest usłane różami... Dlatego zdecydowałam się zrobić kurs pedagogiczny, by móc uczyć w gimnazjum. Zawsze lubiłam dzieci. Miałam dobry kontakt z młodzieżą, więc...

DRUGA: Zostałaś nauczycielką.

TRZECIA: Nie podpowiadaj jej.

DRUGA: Nie podpowiadam.

TRZECIA: Podpowiadasz. Tak się nie liczy. Głupia.

FRIEDA: Zostałam urzędnikiem państwowym. I jako urzędnik państwowy Rzeszy Niemieckiej zostałam skierowana na wolną posadę do Prus Wschodnich – do gimnazjum w Olsztynie. To był październik 1910 roku.

PIERWSZA: I jak, podobało ci się miasto?

FRIEDA: Urodziłam się w Schweinfurcie nad Menem, a kształciłam w Monachium, Brukseli i Kessel, więc... Olsztyn nie proponował w 1910 wielu atrakcji kulturalnych... Ale byłam młoda.

DRUGA: Młoda...

PIERWSZA: My też... Też byliśmy młode...

TRZECIA: Co, co było dalej? Opowiadaj, Friedo. Opowiadaj, co było dalej, opowiadaj, co było wcześniej. Jesteśmy takie ciekawe.

DRUGA: Bardzo ciekawe.

TRZECIA: Takie wygłodniałe. Takie głodne twojej opowieści.

PIERWSZA: Jesteś jak to ciasto drożdżowe.

DRUGA: Taka wyrośnięta, pachnąca.

PIERWSZA: Taka świeża. Taka smaczna.

DRUGA: Opowiadaj...

FRIEDA: Kiedy... Nie wiem o czym... Mieszkałam w Olsztynie przy Langasse. Pracowałam w szkole. Udzielałam lekcji rysunku. Wiodłam zwykłe życie. Malowałam. A 8 lipca 1920 roku kupiłam sobie różową sukienkę w piwonie, bo w niedzielę 11 lipca był ważny dzień. Gorący poranek, słońce, delikatny wiatr. A my z Benno Bohmem poszliśmy do urn głosować w plebiscycie. Cały kraj był poruszony. Całe Niemcy.

DRUGA: Plebiscyt o przynależności Warmii i Mazur?

FRIEDA: Tak. Wielka akcja dyplomatyczna. Burmistrz Georg Zulch dwoił się i troił już kilka miesięcy wcześniej, żeby Olsztyn przypadł właśnie Niemcom. Polacy też mieli swoją akcję, ale to właśnie nam przypadły wówczas te tereny. Wszyscy byli tacy poruszeni. Dostawałam całe naręczka kwiatów. A w cztery lata później, w październiku 1924 roku August Feddersen, architekt, miał gotowy plan całego kompleksu. „Treu-dank-Gatstatten”. I tak powstał cały kompleks budynków – w tym teatr. „Der Treudunk” – podarunek dla mieszkańców, którzy wybrali przynależność do Rzeszy Niemieckiej. Czułam się wtedy dumna. Dumna i szczęśliwa. Czułam się...

DRUGA: Niemką?

PIERWSZA: Jeszcze wtedy była pani Niemką.

FRIEDA: Jeszcze wtedy?

DRUGA: Co było potem?

FRIEDA: Potem? Żyłam. Mieszkalam, tworzyłam. Moje obrazy trafiały na wystawy sklepowe, a później, odbyła się pierwsza premiera. 566 osób na widowni.

TRZECA: Faust.

FRIEDA: *Faust* Goethego. Moje prace trafiły do foyer teatru. To była ważna premiera. Nie tylko dlatego, że pierwsza. Zrobiona z rozmachem. Bankietem. Pięknymi strojami. Ernestowi Thielingowi gratulowano roli Fausta, a mnie wystawy obrazów. Czułam się ważna. No i oczywiście sam spektakl. Sam temat. Faust – filozof aspirujący do ważnej roli. Podobnie jak Olsztyn. Faust – poszukujący kamienia filozoficznego, wiedzy, Faust, który zawiera układ z Mefistofešem i w zamian za realizację swoich życzeń oddaje duszę.

DRUGA: A później wyjechałaś.

FRIEDA: Tak. W 1927 roku do Berlina. Poznałam Alberta i wkrótce zostałam panią Jacoby. Żoną pana stomatologa.

TRZECA: Wtedy jeszcze była pani Niemką.

FRIEDA: Słucham?

DRUGA: Mów dalej, Friedo.

FRIEDA: Chodziliśmy na długie spacery. Bardzo lubimy chodzić na długie spacery. Ja i mój mąż.

PIERWSZA: Lubimy chodzić?

FRIEDA: Tak? Lubimy chodzić na długie spacery. To takie zaskakujące?

PIERWSZA: Bardzo.

DRUGA: Niestety bardzo.

FRIEDA: Jesteśmy małżeństwem, nie mamy dzieci. Może nie jest to wielka romantyczna miłość, ale na pewno się cenimy i spędzamy ze sobą sporo wolnego czasu.

TRZECIA: Nie wierzę.

PIERWSZA: To chcesz nam powiedzieć? Że chodzicie razem na spacery? Teraz?

FRIEDA: No, nie w tej chwili, ale tak.

PIERWSZA: I co jeszcze robicie razem. Teraz?

DRUGA: Rozmawiamy.

TRZECIA: Rozmawiacie.

DRUGA: Rozmawiają.

PIERWSZA: Patrz. Rozmawiają.

DRUGA: A o czym? O czym, Friedo, rozmawiacie?

FRIEDA: Na przykład o Hercie Berlin.

DRUGA: O klubie piłkarskim. O sporcie. Ona interesuje się teraz sportem.

TRZECIA: Ja też! Kupiłam sobie koszulkę Realu Madryt. Chcecie pooglądać?

DRUGA: Koniecznie.

PIERWSZA: O Hercie Berlin.

FRIEDA: Mój mąż się interesuje. Byliśmy razem na stadionie.

DRUGA: Byliście razem w czasie przeszłym?

FRIEDA: I pójdziemy w czasie przyszłym.

Cisza.

PIERWSZA: Czy wtedy pani już rozumiała?

FRIEDA: Co takiego?

DRUGA: Że nie jest pani prawdziwą Niemką.

FRIEDA: Słucham?

TRZECIA: Głucha jesteś, szmato?

Maszyny do szycia jako maszyny do pisania.

Nazwisko?

FRIEDA: Słucham?

PIERWSZA: Przypierdol jej.

FRIEDA: Nie!

PIERWSZA: Nazwisko.

FRIEDA: Strohmberg.

PIERWSZA: Imię.

FRIEDA: Frieda.

PIERWSZA: Urodzona.

FRIEDA: Schweinfurt nad Menem.

PIERWSZA: Ojciec.

FRIEDA: Karol Strohmberg.

PIERWSZA: Matka.

FRIEDA: Amelia z domu Silberman.

PIERWSZA: Właśnie.

FRIEDA: Właśnie?

PIERWSZA: Nie było pytania.

FRIEDA: Nie?

PIERWSZA: Kim był ojciec?

FRIEDA: Bankierem.

PIERWSZA: Nie.

FRIEDA: Był bankierem.

PIERWSZA: Nie.

DRUGA: A matka?

FRIEDA: Matka. Matka zajmowała się domem. Co wy, co wy robicie? Dlaczego? Dlaczego tak się zachowujecie? Nie podoba mi się to wszystko. To ma być zabawa? Nic z tego nie rozumiem.

PIERWSZA: Bum!

FRIEDA: Co to?

PIERWSZA: Bum! Bum!

DRUGA: Wystrzał!

PIERWSZA: To panzerfaust. Niemiecki granatnik przeciwpancerny. Bum! Bum!

TRZECIA: Chować się! Strzelają z Panzerfausta!

DRUGA: Panzerfaust! Achtung! Bum! Bum!

PIERWSZA: Pakuj się!

DRUGA: Dalej, pakuj! Na co czekasz?

TRZECIA: Szybciej! Bo nie zdążysz!

FRIEDA: Już! Już! Pakuję! Gdzie ja jadę? Gdzie mam jechać?

DRUGA: Do Berlina. Do swojego męża.

TRZECIA: Będziesz chodzić do restauracji.

PIERWSZA: I na długie spacery.

DRUGA: I mecze Herty Berlin. Tylko się pośpiesz.

TRZECIA: Bo ci pociąg odjedzie.

FRIEDA: Dobrze. Odjadę. Już. Wsiadam. Ale.

TRZECIA: Nie ma żadnego ale. Wsiadaj.

FRIEDA: Tu taki tłok.

TRZECIA: Wsiadaj, bo tu zostaniesz. Z nami.

DRUGA: Chcesz z nami?

FRIEDA: Nie!

DRUGA: Więc wsiadaj.

FRIEDA: Ale.

TRZECIA: Nie ma żadnego ale.

FRIEDA: Tu śmierdzi. Tu nie ma przedziałów. Jest tłok. Dlaczego tu taki tłok?

TRZECIA: Wsiadasz czy zostajesz?

FRIEDA: Nie ma innego pociągu?

PIERWSZA: Nie ma.

FRIEDA: Wsiadam.

DRUGA: Dobrze. Zamykaj.

FRIEDA: Ten pociąg. On powinien tu skręcać. Widziałam tabliczkę na Berlin. Nie jedziemy do Berlina.

TRZECIA: Nie przejmuj się.

PIERWSZA: Nie martw się. To długo nie potrwa.

FRIEDA: Co długo nie potrwa. Ta podróż. Już tyle trwa.

PIERWSZA: Później. Później będzie już szybcitko! Ziuuuu.

FRIEDA: Ziu?

DRUGA: Ziuuuuu!

TRZECIA: Ziuuu!

PIERWSZA: Ziuuuuu!

TRZECIA: Ziuuuuu!

PIERWSZA: Ziuuuuu!

FRIEDA: Ja wiem. Ja wiem, co to znaczy. Wiem, co znaczy. Wiem, co znaczy ziuu. Wypuśćcie mnie. Wypuśćcie. Ja chcę stąd wysiąść. Chcę stąd wysiąść!

PIERWSZA: Kim był twój ojciec?

FRIEDA: Żydem!

PIERWSZA: Kim była matka?

FRIEDA: Żydówką!

PIERWSZA: Kim jesteś?

FRIEDA: Żydówką!

PIERWSZA: Czy już zrozmiałaś?

FRIEDA: Tak! Nie jestem prawdziwą Niemką! Wypuśćcie mnie.

PIERWSZA: Jedziesz dalej.

DRUGA: Jedziesz na mecz wyjazdowy.

TRZECIA: Hertha Berlin kontra Majdanek.

FRIEDA: Nie chcę. Błagam. Nie chcę. Ja. Ja chcę gdziekolwiek. Chcę do Belgii.

TRZECIA: Zatrzymaj pociąg. Zatrzymaj, mówię.

PIERWSZA: Czemu do Belgii.

FRIEDA: Nie wiem. Gdziekolwiek.

PIERWSZA: Gdziekolwiek, ale do Belgii.

FRIEDA: Tak. Do Belgii. Bo, bo się dało.

TRZECIA: Kiedyś? W przeszłości?

FRIEDA: Tak.

TRZECIA: Kiedy.

FRIEDA: Skończyły się spacery po Berlinie. Przyszli oni. Oni powiedzieli, że to my jesteśmy oni. I mamy się wynosić. Jeszcze zdążyliśmy. Wyjechaliśmy do Belgii. W 1936 roku.

TRZECIA: Więc nie chodzisz już na mecze Hertya Berlin?

FRIEDA: Nie.

TRZECIA: I nie pójdziesz w przyszłym tygodniu?

FRIEDA: Nie.

TRZECIA: Bo za słabo grają?

DRUGA: Mogłaś sobie darować.

TRZECIA: Mogłam. Ale nie chciałam.

FRIEDA: Nie, nie dlatego, że Hertha Berlin słabo grała.

PIERWSZA: Co było dalej?

FRIEDA: Byliśmy coraz bardziej oni, a oni byli coraz bardziej my. W Belgii i na całym świecie. I przyszli też do Belgii. Chcieliśmy uciekać do Francji.

DRUGA: Ale?

FRIEDA: Ale się nie udało. Albert zginął pierwszy. W maju 1940 roku, około godziny dziesiątej rano. Ja zginęłam kilka minut po nim. Bombardowanie. Wielkie ciężkie głazy bomb.

DRUGA: Tak się zastanawiam.

PIERWSZA: Nad czym?

DRUGA: Obok dworca są bardzo dobre zapiekanki. Myślicie, że mają z dowozem? Że dowiozą nam do teatru?

FRIEDA: Czy już? Czy mogę wysiąść?

PIERWSZA: Friedo, skarbenku... Naprawdę myślisz, że to, że zginęłaś w 1940 roku, w jakikolwiek sposób cię uratuje? Że to już koniec?

DRUGA: Jedzie pociąg z daleka...

TRZECIA: Na nikogo nie czeka...

PIERWSZA: Konduktorze łaskawy...

PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA: Byle nie do Warszawy..

FRIEDA: Nie!

PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA: Byle nie do Warszawy!

FRIEDA: Nie!

PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA: Byle nie do Warszawy!

FRIEDA: Wypuśćcie mnie! Błagam! Przecież ja nie żyję! Ja już zginęłam! Nie macie prawa! Nie macie! Zostawcie mnie!

PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA: Byle nie do Warszawy!

DRUGA: Pociąg! Staaaaać! Patrzcie, co znalazłam!

PIERWSZA: Czapka! Czerwonoarmisty!

TRZECIA: Masz tego więcej?

DRUGA: No nie, ta pracownia to jest jakaś skarbnica. Medal spod Lenino.

PIERWSZA: Pokaż. Autentyk.

TRZECIA: Ci to muszą mieć budżet!

PIERWSZA: Daj mi też ten mundur.

FRIEDA: Wypuśćcie mnie.

PIERWSZA: Gramofon!

Katiusza.

DRUGA: Jak zabawa, to zabawa!

FRIEDA: Zostawcie mnie! Ja nie żyję, do kurwy nędzy, już zginęłam!

PIERWSZA: A nam to nie przeszkadza!

DRUGA: Wyzwolimy cię!

TRZECIA: A potem cały pociąg!

PIERWSZA: A potem cały świat!

Pauza.

TRZECIA: Głowa mnie boli.

PIERWSZA: Mnie też.

DRUGA: Nic dziwnego. Wojna się skończyła.

TRZECIA: Wyzwolenie!

TRZECIA: Nie krzycz tak. Głowa pęka. Powachluj. Plakatem? Pierwsza premiera powojenna: *Moralność pani Dulskiej*.

DRUGA: O czym to było?

PIERWSZA: O kołtunach na głowie. A ja właśnie na te kołtuny na głowie coś mam. „Finezja”.

DRUGA: Jaka finezja?

PIERWSZA: Szampon „Finezja”.

DRUGA: Szampon. Rzeczywiście.

PIERWSZA: Pierwszy szampon PRL Lata 60., XX wiek.

TRZECIA: Klasyka znaczy.

PIERWSZA: Jeszcze jaka.

DRUGA: I co z tym szamponem?

PIERWSZA: Pomyślałam, że mogłybyśmy umyć Friedzie włosy. Ma kołdun. Kołdun. I trochę już przeszła.

Należy jej się trochę luksusu.

DRUGA: Zapytam jej, czy chce?

TRZECIA: Mamy taki szampon dla ciebie. Umyć ci włosy?

DRUGA: I co?

TRZECIA: Chyba się pogniewała.

DRUGA: Na kogo?

TRZECIA: Nie wiem. Nic nie mów.

DRUGA: To może umyjmy jej te włosy.

PIERWSZA: Ładnie się pieni.

DRUGA: Nawet ładnie, rzeczywiście.

PIERWSZA: Podaj wodę. Nie za gorącą, ostudź ją trochę. Grzebień. I jak?

TRZECIA: No, mogło być lepiej.

PIERWSZA: Ale mogło być też gorzej. Słuchaj, ja ci nic nie poradzę. Dziewczynę wypieprzył pluton Armii Radzieckiej, ty się ciesz z tego, co jest. I tak nie jest źle.

DRUGA: Tylko halka się podarła.

PIERWSZA: Rzeczywiście.

TRZECIA: Halo.

PIERWSZA: Frieda.

DRUGA: I co?

PIERWSZA: Gównno co. Nic. Nie mów.

DRUGA: Słyszę, że nie mów.

PIERWSZA: To co się pytasz.

DRUGA: Pytam, bo pytam, nie czepiaj się.

TRZECIA: Uciszcie się! Frieda nie dokończyła swojej opowieści. Musimy jej pomóc.

DRUGA: A co my innego robimy przez cały czas?

TRZECIA: Napišmy jej tekst.

DRUGA: Jaki tekst?

TRZECIA: Taki, który ją uruchomi. Coś optymistycznego. Na miarę naszych czasów.

DRUGA: Na miarę naszych czasów, ty siebie słyszysz?

TRZECIA: Przypierdolę jej zaraz.

DRUGA: No, już dobrze. Zgrywam się przecież. Już się tak nie denerwuj.

PIERWSZA: Mam. Wiem. Ten szampon to jest przeznaczenie.

TRZECIA: Zabierz stąd tę wariatkę.

PIERWSZA: To jest nić przeznaczenia. Frieda – premiera niemiecka *Fausta* – burza włosów, namiętność, piękno, pożądanie. Frieda – *Moralność pani Dulskiej* – Armia Radziecka i kołdun na łbie. I teraz – Frieda – kobieta naturalna, silna, wyzwolona. Kobieta, która używa szamponu dla kobiet, stworzonego przez kobiety, opracowanego przez kobiety, wymyślonego przez kobiety..

TRZECIA: Chyba najpierw wymyślonego, potem opracowanego, a potem stworzonego, co?

PIERWSZA: Będzie się teraz koleżanka czepiać każdego słówka, tak? Kierowniczka się znalazła. Posłuchajcie:

Ten szampon wybawi cię z grzechów przeszłości

Czy jesteś na diecie czy nie musisz już pościć

Brunhilda kłania się nisko.

DRUGA: 10 na 10 w skali krindź miesiąca.

PIERWSZA: Tak? To proszę. Spróbuj ty.

DRUGA:

Może dębowy, a może sosnowy

A może wykorzystasz nasz szampon brzożowy?

Bartel kłania się nisko.

PIERWSZA:

Brzożowy? To chyba można wypić zamiast małpki?

TRZECIA:

Cicho. Teraz ja.

Szampon jak marzenie, jak z raju westchnienie

Wywołuje radość i cebulek drzenie

Stosuj o poranku, stosuj także w nocy

Będziesz wystrzałowa jak kamyczek z procy

Gustebalda kłania się nisko.

FRIEDA: Kamyczek.

DRUGA: Odezwała się.

FRIEDA: Kamyczek. Kamień. Kamień filozoficzny. Kamień na kamieniu nie zostanie. Kurhan.

Wiem, kim jesteście.

Wiem, kim jesteście naprawdę, baby.

Baby pruskie.

Kamienne posągi znajdowane na Warmii i Mazurach od czasów średniowiecza.

Kamienne posągi, którym przypisuje

Kamienne posągi.

TRZECIA: Nasza historia nie ma początku.

DRUGA: Nie ma końca.

PIERWSZA: Tkamy sobie.

TRZECIA: Nasza historia jest wspólna i oddzielna jednocześnie.

PIERWSZA: Pruska baba to charakter. Nie zostajesz nią po śmierci. Lecz przy narodzinach. Może po śmierci zamienisz się w kamień. Ale śmierć nie jest końcem. Opowieść trwa dalej. Twoje kamienne ciało obrasta bluszcz. Twoje kamienne ciało obmywa deszcz. Twoje kamienne ciało jest przenoszone.

DRUGA: Wystawiane na widok publiczny jak w mauzoleum.

PIERWSZA: Żyjesz dalej. Czy swoim życiem?

TRZECIA: Lubimy to miejsce.

PIERWSZA: Rupieciarnio nasza.

DRUGA: Graciarnio nasza.

PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:

Rekwizytornio nasza.

Pracownio krawiecka nasza.

PIERWSZA: Jesteśmy takie wspólne, jesteśmy takie samotne.

DRUGA: Zostaniesz z nami, Friedo.

TRZECIA: Babo pruska.

FRIEDA: Tak sobie myślę, że... tak gadacie te smutne kawałki, bo... bo brakuje wam jednej do brydza.

DRUGA: Będzie do nas pasować.

PIERWSZA: Zawsze pasowała.

KONIEC

Utwór wyróżniony w konkursie literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

* * *

Zbliża się deszczowy niż i coś jeszcze
Od czasu do czasu jasne obłoki nieba
I słowom niekiedy się udaje nie ginąć
Nie jedną drogę przejść i dalej
Nie brzmieć pusto i głucho na progu

Tyle jest ile sylaby uniosą znaczeń
I uznasz wieczorem że to są owoce
I ręce gdy jeszcze nie osłabną z powodu
Lub krzywdy od kogoś ciebie nie złamią
Więc bywa trochę lepiej trochę mniej

Urosły

Wysoko w polu łądygi urosły
Mam dla nich tkliwe spojrzenie
Chciałbym mieć tyle światła
Wiary i cierpliwości i błękitu
A jednak zapominam co wyżej

Gdzieś obok drżą topole olchy
Powiadamia o sobie woda w kanale
To tylko drzewa choć nie tylko
Bo nie odstępują ani na chwilę
Od siebie znanych postanowień

Wszystko

Wszystko od spiekoty od śniegu i wiatru
Od ufnego patrzenia sobie w oczy
I od tych którzy nie mają dobrych intencji
Albo się łudzą bez rozwagi i pamięci

Wszystko zanim się nie zgubi nie popłącze
Jakaś cisza chwila i zwyczajna uroda dnia
I ktoś będzie chciał zagarnąć obiecany dar
Całą rację w układaniu codziennych spraw

Wszystko od tętna obiegu krwi i nadziei
Zgodzi się lub nie zgodzi pełnić straż
I ciało nie każdy pomysł mieć za własny
Lecz mieć nie do odrzucenia znak pogody

Taki duży chłopak

Stał przed lustrem i z uwagą wpatrywał się w swój prawy profil. W zarysie jego twarzy można się dopatrzeć znamion szlachetności. Jednak to nie narcystyczne pobudki kierowały jego zachowaniem dzisiejszego poranka. Przyczyna była nad wyraz prozaiczna: prawe ucho było nabrzmiąte, gorące i czerwone jak spirala rozgrzanego farelka. Ten palący rumień zataczał z każdym dniem coraz większe półkole (obserwacje prowadził od kilku dni). Dzisiejszy ogląd nie dawał żadnych złudzeń, że nastąpi samoistna poprawa. Karminowy pąs pełzał do środka policzka.

Czy się zatrzyma? A jeśli tak to kiedy? – pomyślał i poczuł niepokój. Niczego podobnego dotąd nie doświadczył. Zacerwienienia od ukąszenia osy, pszczoły, komarów czy meszek mijały szybko, wręcz niezauważalnie. Tym razem nie był to żaden z tych przypadków. Żeby jakichś powikłań nie było – po raz pierwszy się zaniepokoił. „To nie ręka czy noga, tylko okolice głowy, wszelkie stany zapalne mogą być niebezpieczne” – przywołał w pamięci zasłyszane powiedzenie. Gdy tylko mógł, to unikał lekarzy, prywatnie to co innego. Jednak tym razem bez lekarza pierwszego kontaktu się nie obejdzie – pomyślał i wreszcie się zdecydował.

Po piętnastym wybraniu numeru w telefonie usłyszał „słucham” pielęgniarki z recepcji i nazwę przychodni. I ledwie się odezwał, gdy ten sam głos wszedł mu w słowo z informacją, że dzisiaj limit zarejestrowanych pacjentów został wyczerpany.

- To na jutro – powiedział szybko, by zdążyć przed rozłączeniem rozmowy.
- Na jutro rejestracja jest jutro. Trzeba stanąć rano w kolejce...
- Tak, tak, wiem. Pierwszych dziesięć osób zostanie zarejestrowanych, a pozostałe dziesięć telefonicznie...
- Dokładnie tak.
- A jak nie będę miał szczęścia, jak dzisiaj.
- Trudno. Nic nie poradzę.

Nazajutrz w kolejce nie stanął, tylko zadzwonił. Miał szczęście. Załapał się na ostatni numer – dwudziesty. Uff, odetchnął z ulgą. Przyszedł o podanej orientacyjnej godzinie i okazało się, że jest mały poślizg: przed nim dwie osoby.

Gdy szczęśliwy znalazł się przed obliczem lekarza pierwszego kontaktu – lub rodzinnego, jak kto woli – ten wskazał krzesło z boku biurka i spytał, co mu jest. Powiedzieć, że ucho boli, to nic nie powiedzieć, ono pulsowało teraz od środka jak gejzer przed erupcją. Powiedział jedynie, że ucho i ujął w dwa palce małżoninę wielkości gruszki lekarskiej leżącej na szafce przy ścianie.

Lekarz podniósł się z krzesła i pochylił w jego stronę. Przechylił głowę w lewo, patrzył wnikliwie, potem zrobił to samo w drugą stronę i obejrzał ucho zdrowe. Chrząknął. Mężczyzna nie wiedział, czy lekarza coś załaskotało w gardle, jak się to czasami zdarza, czy to komentarz do tego, co widzi? Nic to pewnie nie dało, bo wstał i wyszedł zza biurka, pochylił się i delikatną, ciepłą dłonią, ujął jego podbródek i obrócił w jedną stronę, potem w drugą, jeszcze raz powtórzył to samo, jakby miał ocenić, który profil pacjenta jest ładniejszy. A jemu od tego patrzenia tak jakoś dziwnie się zrobiło. Poczuł, jakby to spojrzenie przeszło go na wylot i lekarz zobaczył więcej, niż powinien zobaczyć. Dlaczego tak długo? – zastanawiał się. Prze-

cież to lekarz mający opinię dobrego specjalisty. A taki to tylko spojrzysz i wiesz, co pacjentowi dolega. Jednak w jego przypadku nie wiedział. Skoro nie wie, to być może to wyjątkowy przypadek. Wyjątkowe przypadki nie dają nadziei szybkiego wyzdrowienia – pesymizm ogarnął jego myśli.

Lekarz pierwszego kontaktu wrócił za biurko. Ani słowa nie rzekł. Po chwili sięgnął po gruby tom w foliowanej niebieskiej okładce, chwilę kartkował, aż pewnie znalazł to, czego szukał. Poczytał, popatrzył na jakiś obrazek, potem znowu wychylił się zza biurka, polecił jeszcze raz odwrócić głowę w lewo. Znowu chrząknął – nie chrząknął. Zabrzmiało tym razem jak „mhm”. Ten cieszący się dobrą opinią laryngolog zachowywał się, jakby pacjent już wyszedł i został sam w gabinecie. Ale pacjent siedział na wskazanym po wejściu miejscu i miał wewnętrzną potrzebę się odezwać: „Halo, tutaj jestem”, a gdy lekarz podniósłby głowę, pomachał ręką. Ale nie powiedział i nie pomachał. Brakło mu zapewne śmiałości. Chyba większość pacjentów czuje się u lekarza bardziej nieśmiało niż na co dzień.

Lekarz odłożył ciężkie tomiszcze i zajął się scrollowaniem (wskazujący palec rytmicznym ruchem porusza się po rolce myszki). Kiedy skończył, odsunął się od laptopa, rozparł w fotelu i spojrzał na pacjenta. Ten znowu poczuł się nieswojo, spał się w sobie, skurczył. Bał się przełknąć zebraną w ustach ślinę, by odgłos nie przeciął wiszącej nad nimi ciszy. W kącikach ust lekarza dostrzegł – a może tylko tak mu się wydawało – uśmiech zażenowania.

– Wie pan co... czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Coś pełza pod skórą i wcinając tkankę od środka... Tak bym to określił – powiedział i zamilkł.

Wtedy on poczuł rozlewające się od środka takie dziwne ciepło, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Skoro taki doktor powiedział, co powiedział, to... do cholery, co mu jest? – pomyślał zaniepokojony. Co to znaczy „wcinanie”? – zastanowił się. Przecież to nie budyń czekoladowy, który będąc chłopcem, wcinął z apetytem. Nie miał czasu dłużej się zastanawiać, bo spadł na niego deszcz pytań: Od kiedy to ma? Czy boli? Jeśli tak, to kiedy? Czy chodzi na basen? Tak, chodzi? Jak często? On starał się odpowiadać najdokładniej, jak mógł. Pomoże lekarzowi zrozumieć tę niezwykłą przypadłość i postawić diagnozę. Muszą wzajemnie sobie pomóc – tak pomyślał.

– No tak, no tak... – Laryngolog pewnie prowadził w głowie jemu tylko wiadome analizy i się zastanawiał. I po chwili: – Mógł pan zarazić się na basenie.

Na basenie?! Przecież basen miał być panaceum na jego kłopoty z kręgosłupem.

– Tak mogło być! – Lekarz postawił diagnozę. Przebiegł palcami po klawiaturze, potem wydrukował i przybił dwie pieczątki. – Kieruję pana do dermatologa.

On wzięty do ręki skierowanie.

– A może jakąś maść, tabletki? Czasami to spać nie mogę – zagadnął. – Nie wiem, za ile dni czy tygodni dostanę się do dermatologa.

– Od razu. Jeszcze dzisiaj.

– Dzisiaj?! – nie krył zdziwienia.

– Kieruję pana do ordynatora dermatologii w szpitalu. Z tym skierowaniem zgłosi się pan na izbę przyjęć.

– Gdzie!? Do szpitala? – Miał wrażenie, że się przesłyszał. W szpitalu był parę razy na odwiedzinach, ale żeby on sam miał się położyć, co to to nie – pomyślał z niepokojeniem. – To chyba coś poważnego, skoro sam ordynator zajmie się diagnozą. A czy... czy przypadkiem nie będą chciały mnie położyć?

– Jest to... całkiem możliwe. Spodziewam się, że... raczej tak. – On odebrał, że to „raczej” stanowi tylko kruchą nadzieję, że nie warto się jej chwycić, że z pewnością go zatrzymają. Po chwili, jakby po namyśle, by pacjentowi nie robić złudzeń, lekarz dopowiedział: – Radzę wziąć pizamę i przybory toaletowe.

Pojechał. Jednak pizamy i przyborów nie wzięty. Pomyślał, że skoro nie będzie przygotowany, to go nie położą. Nie był gotowy tak od razu iść do szpitala. Jeśli będzie musiał zostać, to najpierw wróci do domu, przygotuje, co potrzeba i przyjedzie.

Na izbie przyjęć poszło gładko. Pokazał skierowanie, pielęgniarka postukała w klawiaturę i po chwili spytała, kogo upoważnia do dostępu do swojej dokumentacji medycznej.

– Blok numer osiem, na pierwszym piętrze – dodała.

Okazało się, że to nie pan, tylko pani ordynator; atrakcyjna, jak ocenił, brunetka. Spojrzała na to jego nieszczęsne ucho – jak stał, na środku gabinetu – i powiedziała zdecydowanie:

– Położymy pana na oddział... Tylko się upewnij, czy mamy miejsce. – Zakręciła się na pięcie i już była na korytarzu.

A jednak... – zdążył pomyśleć i ruszył za nią, wyznając zasadę, że nadzieja umiera ostatnia. Może miejsca nie będzie. Na schodach, pół kroku za panią ordynator, nieśmiało zagadnął:

– Tylko że... ja nie jestem przygotowany, by zostać.

Ona nie zwalniając, rzuciła przez ramię:

– A co pan potrzebuje?

– Nie wiem – odparł bezradnie jak sztubak.

– Oddziałowa panu wszystko powie.

Na drugim piętrze, na końcu korytarza urzędowały pielęgniarki dyżurne.

– Pani Edyto, będziemy mieć dla pana wolne miejsce?

– Mamy jeszcze jedno w trójce, tu obok. – Bez zastanowienia, jakby oczekiwała tego pytania, ręką wskazała pierwsze drzwi. – I będzie komplet – powiedziała półgłosem bardziej do siebie niż do nas, wymijając z szuflady książkę.

– Aha – zachnęła się pani ordynator. – Proszę powiedzieć panu, czego będzie potrzebował.

Pielęgniarka uniosła głowę.

– To, co jest potrzebne w szpitalu. Nie leżał pan w szpitalu? – spytała ze zdziwieniem.

– Niee... – wydusił, jakby się wstydził, że jeszcze nie leżał.

– Ooo! Taki duży chłopak i nie wie, co do szpitala potrzebne – powiedziała żartobliwie i pokiwała głową. – Piżama, kubek, sztućce, chyba, że woli pan aluminiowe. Ma kto panu przywieźć?

Przytaknął. Ona wstała i wyszła z za biurka.

– Zaprowadzę pana do sali. – Otworzyła drzwi na odległość wyciągniętego ramienia i oznajmiła tym w środku: – Macie pana do kompletu.

Wszedł niezdecydowanie, obejrzał się, jakby zamierzał wyjść, ale zobaczył tylko zamykające się za nim drzwi.

I.

tapeta w geometryczny wzór w stylu art déco
wszystko tu jest uporządkowane i symetryczne

siedzisz na krawędzi fotela
twoje spojrzenie zatrzymało się na moich dłoniach

obserwuję, jak linia światła
powoli przesuwa się po podłodze
w moją stronę

jakby wiedziała więcej
jakby wiedziała
o czym milczysz

interludium 1

każda relacja to układ przestrzeni

II.

dotykam własnego nadgarstka
tu, gdzie kończy się pytanie
cichy ruch
jak linia na planie
która później utworzy
ścianę nośną

interludium 2

między piętrami powstaje echo
minimalizm bywa najgłośniejszy

III.

jesteś na mojej dłoni
jak tekstura tkaniny mebla
który nigdy nie należał do mnie

interludium 3

strukturalizm
niektóre ramy istnieją tylko dzięki napięciu

IV.

widzę, dokąd uciekasz
tam patrzysz najdłużej
światło przez żaluzje przecina
przestrzeń jak w brutalizmie na
przed i po

interludium 4

czasem najtrwalsze konstrukcje
to te nigdy niewybudowane

Święty Pirosmani

Stał w łazience z gumolitem na podłodze zamiast płytek, ze ścianami wyłożonymi spłowiałymi kafelkami, których fugi dawno poczerniały od grzyba. Stał i wpatrywał się w pęknięte u rogu lustro. Oglądał stan swojego uzębienia. Trzonowiec po prawej, drugi od końca, miał równie czarne jak te fugi wąwozy. Wychodziło na to, że telewizja kłamie. Mył przecież zęby dwa razy dziennie.

Potem poszedł do pokoju zadzwonić do jakiegoś stomatologa, to znaczy umówić się na wizytę. Kiedy wziął telefon do ręki, ktoś wparował do jego pokoju. Mieszkał w akademiku, takie rzeczy zdarzały się tutaj na okrągło. Mimo to musiał zachowywać czujność. Wyjrzał więc przez uchylone drzwi. To był jego dobry kumpel, Patryk.

Patryk w dużym skrócie był świrem.

– Chłopie, co ci mówi ten obrazek?! – zapytał go z szałem w głosie i oczach.

Zwykle nie mówił, tylko niemal krzyczał, bo miał problemy ze słuchem. Taka fraza jak głucha trąba całkiem do niego pasowała. Pokazał mu jakiś magnes na lodówkę, prostokąt sześć na cztery centymetra. Przedstawiał faceta w czerwonej kurtce i chyba żółtym kapeluszu, ale nie miał pewności, czy to na pewno kapelusz. Był też napis „Pirosmani”.

– Nie mam pojęcia – powiedział zgodnie z prawdą.

– Aha! – rzucił triumfalnie Patryk. – Czyli nie wiesz?!

– No nie.

– Bardzo dobrze! Skoro ty nie wiesz, co to takiego, to nikt na świecie się nie połapie! A już szczególnie na tej pierdolonej wsi!

– Dzięki za komplement.

Patryk przez chwilę stał i tłumaczył, że to obraz jakiegoś gruzińskiego malarza z XX wieku, niejakiego Niko Pirosmaniego i nosił tytuł – ten obraz – *Rybak w czerwonej koszuli*. Bardzo był tym faktem podniecony, sprawiał wrażenie, jakby odkrył kolejny pierwiastek, czy coś w tym stylu. Po chwili namysłu zrozumiał, że Patryk przecież zawsze tak wyglądał. Tkwił w stanie permanentnego podniecenia. Jakiś lekarz na pewno zdiagnozowałby to jako zespół nadpobudliwości psychoruchowej.

– No ale zobacz go! – prawie krzyknął, wskazując tego małego gostka na obrazku. – Coś ci przypomina?!

– Nie bardzo.

– No, a to żółte wokół głowy?!

– No to jest chyba kapelusz, tak mi się wydaje, ale wygląda jak... Sam nie wiem... Może jakaś aureola?

– BINGO!

Potem kolejne pięć minut opowiadał, że wpadł na pomysł, co z tym fantem zrobić. Nadawał jak jakiś klecha. Z tym że Patryk przylażał do niego w samych białych gaciach i gumowych kłapkach i wyglądało to co najmniej komicznie. On mieszkał na czwartym piętrze, Patryk na parterze. Musiał więc w takim stanie wejść po schodach albo wjechać windą.

– Pamiętasz, jak była taka akcja w necie, że wnuk jakiejś baby chyba, czy ktoś taki, wziął plakat z Obi-Wanem Kenobim, to znaczy z Ewanem McGregorem, i wmówił tej starej kobiecie, że to plakat z Jezusem

Chrystusem?! Na pewno pamiętasz! No to wpadłem na pomysł, że wykorzystam obrazek tego Pirosmianiego do zrobienia świętego obrazka na tekturce, takiego z modlitwą, wiesz, bo modlitwę też już wymyśliłem! No i nadrukuję tego trochę i będę rozdawał u mnie na wsi pod kościołem w niedzielę! Nieźle, co?!

Dał mu do zrozumienia, że to świetny pomysł i że ma go informować na bieżąco o postępach. Wymigał się jednak od dalszej rozmowy tym, że musi wykonać bardzo ważny telefon.

– Do babki?! – zapytał poważnie Patryk.

– Co?

– Pytam, czy do babci będziesz dzwonił?! Do swojej babci dzwonisz, tak?!

– Tak.

– Cholera, też powinienem to zrobić! Starucha siedzi sama, na końcu Polski, w drewnianej chacie na Podlasiu! Prawie nikt jej nie odwiedza, a trzyma się pieprzona i nie chce puścić! Chyba dziewięćdziesiątka do niej! Masz rację, trzeba pamiętać, my też kiedyś będziemy starzy! Zadzwoń!

Wyszedł i wrócił, znaczy po kilku sekundach wrócił, łapiąc się scenicznie za głowę.

– KURWA, PRZECIEŻ ONA NIE MA TELEFONU! W TEJ JEBANEJ DZIURZE NA KOŃCU ŚWIATA NIE MAJĄ NAWET PRĄDU! ZAPOMNIAŁEM!

Pokazał Patrykowi gestem, że już z kimś rozmawia, ale oczywiście wcale jeszcze tego nie robił. Patryk poszedł sobie w końcu – prześwitujące gacie, człapiące klapki po wspólnym korytarzu i zostawione otwarte na oścież drzwi. Pomyślał sobie nagle, że prędzej czy później cieć dobierze się Patrykowi do tyłka za taki hipisowski manifest.

W końcu znalazł numer do poradni stomatologicznej, czyli wybrał pierwszą lepszą i zadzwonił. Recepcjonistka miała ton, jakby pracowała za karę, zupełnie jakby samo odebranie telefonu było czymś, za co człowiek powinien być dożgonnie wdzięczny. Najpierw jednak musiał czekać w kolejce, pół godziny automat powtarzał, że jest pierwszy do odstrzału. Włączył wtedy na głośnomówiący, zostawił telefon na biurku, a sam położył się do łóżka. Patrząc do góry, zdał sobie sprawę, że na suficie pajęczyny mają chyba ze sto lat, były szare i gęste. I tak nie zamierzał nic z tym zrobić.

– No dobrze, ale co panu dolega w takim razie? – zapytała kobieta, kiedy w końcu się dodzwonił i przebrnęła przez grę wstępną.

– Nic – odparł. – Po prostu chcę skontrolować stan swojego uzębienia.

– Skontrolować? To był pan już na wizycie?

– Nie.

– Nie rozumiem. Mówi pan skontrolować, czyli co?

– Po prostu chcę się zapisać na pierwszą wizytę. Zrobić rekonesans, takie rozeznanie. Żeby lekarz obejrzał moje zęby. Wie pani, tak prewencyjnie.

– To tak nie działa, proszę pana.

– A jak to działa?

– Musi mieć pan powód do wizyty, skoro mamy pana przyjąć na NFZ.

– A co z profilaktyką?

– My jesteśmy od leczenia, proszę pana.

– Nie lepiej jest zapobiegać, a nie leczyć?

– Proszę pana, jeżeli nic panu nie dolega, to proszę nie blokować linii.

– No to niech będzie, że mnie boli. Bardzo boli. Tak że nie mogę wysiedzieć z tego bólu.

– W porządku. Niech pan chwilę poczeka... Tak... Dobrze... Wizyta za dwa miesiące.

– Za dwa miesiące?

– Taki jest najbliższy termin.

– Mam wytrzymać dwa miesiące z takim cholernym bólem?

– Zawsze może pan spróbować gdzieś indziej, ale podkreślam, że mamy najlepszą opinię w mieście.

Ostatecznie i tak się zgodził, bo nie miał przecież wyboru, a na leczenie prywatne raz, że nie było go stać, a dwa, to wcale mu się nigdzie nie paliło. Wrócił do łóżka i znowu popatrzył na te zakurzone pajęczyny. Wyglądało to okropnie, już prawie zebrał się, żeby coś z tym zrobić, nawet myślał o tych włochatych szczotkach do kurzu, żeby na przykład jakąś kupić albo pójść na dół do tych miłych pań od sprzątania i pożyczyć jedną. Nie zrobił nic z tych rzeczy. Leżał, po prostu sobie leżał, aż za oknem zrobiło się ciemno. Nie wiedział, czy spał, czy po prostu śnił mu się jego własny pokój.

Patryk wpadł do niego po dwóch tygodniach, a on właściwie to już zapomniał o tej jego chorej akcji z Pirosmaniam.

– Świętym Pirosmaniam! – poprawił go zupełnie jak nauczyciel. – Chłopie, mówię ci, co za jazda! Wydrukowałem, rozumiesz, że sto tych tekturek, wcale dużo za to nie dałem, może gdzieś pięć dych, zamówiłem na necie i przyszło raz dwa! No i byłem o ósmej rano na pierwszej mszy, potem na drugiej o dziesiątej i przed dwunastą też stałem przed kościołem. Cała setka poszła, bo rozdawałem to za darmo! Ludzie, rozumiesz, brali, patrzyli i dziękowali! Jedna babcia nawet zaczęła przy mnie czytać modlitwę na głos! W przyszłym tygodniu też idę, już zamówiłem całe trzysta sztuk!

Wręczył mu jedną. Z jednej strony ten sam obrazek co na magnesie, ale z drugiej znajdowała się modlitwa. Szło to tak:

Święty Pirosmani, patronie starców, patronie chorych i cierpiących, patronie kobiet, patronie dzieci, patronie kapłanów i kierowców, módl się za nami do Boga na wysokościach, módl do Pana naszego Jezusa Chrystusa, wstaw się za nami u Najświętszej Paniienki Zawsze Dziewicy Maryi. Miej nas w opiece Święty Pirosmani i obdarz nas łaską wstawiennictwa u Boga Jedyneho, abyśmy mogli dostąpić chluby wiecznego zbawienia. Amen.

– Nieźle, co?! – wydarł się zadowolony.

– I nikt się nie połapał? – zapytał podejrzliwie, bo nie chciało mu się wierzyć, że to naprawdę przeszło.

– Nikt! Ludzie to są takie naiwniaki, że głowa mała! Jeszcze mnie ksiądz zaczępił, a ja mu powiedziałem, że to taka inicjatywa chrześcijańska! Zapytał mnie, co to za jeden ten cały Pirosmani, to mu wytłumaczyłem, że to gruziński męczennik i że nasz papież go beatyfikował, a Franciszek go kanonizował!

– Uwierzył?

– Chyba tak, bo wziął też jeden obrazek i kazał Bogu zapłacić!

Potem Patryk powiedział, że leci, bo ma do odebrania przesyłkę z paczkomatu, właśnie te święte obrazki, cały karton. Tym razem włożył koszulkę, ale był bez spodni. Te same śmieszne, gumowe klapki gadały na korytarzu same ze sobą. Świr jakich mało, ale zawsze to lepsze niż rozjeżdżanie ludzi na chodnikach czy wysadzanie się w powietrze. W pokoju w akademiku mieszkał sam, bo nikt nie potrafił wytrzymać z nim dłużej niż tydzień. Składało się to z wielu czynników, ale głównie dlatego, że łaził tam na golasa. Lubił też przesiadywać po nocach i słuchać bardzo głośno do białego rana *V Symfonii* Beethovena. Książki czytał na głos, robił to nawet na wspólnych zajęciach. Nie jadł nic innego oprócz ruskich pierogów. Miał różowego fiata seicento, którym zjeżdżał do domu na każdy weekend, ale nie posiadał prawa jazdy, przeglądu w aucie ani tym bardziej ubezpieczenia i jakimś cudem policja nigdy go nie dorwała. Nie interesowały go takie zagadnienia i osiągnięcia ludzkości jak seks, piłka nożna, polityka, hazard, literatura, social media, wegetarianizm, pacyfizm, ekologia, centra handlowe, narkotyki, spowiedź święta, alkohol, kredyt czy śmierć.

Oczywiście nikt nie miał pojęcia, skąd mu się to wszystko brało. Nie ciągnęło go do używek, nie sprawiał wrażenia uzależnionego od cukru albo pornografii. Patryk właściwie miał pewną teorię na temat swojego szaleństwa, oczywiście całkowicie z czapy. W dużym skrócie: w wieku siedmiu lat został porwany przez kosmitów i to powinno robić za podsumowanie genezy jego szaleństwa.

Po jakimś miesiącu, kiedy on był na spacerze, zobaczył pod kościołem Patryka. Było coś około pierwszej po południu, msza się skończyła, ludzie rozchodzili się albo rozmawiali w mniejszych grupach. Patryk, ubrany niczym prawdziwy ksiądz, stał i rozdawał obrazki ze Świętym Pirosmanim. Podszedł więc do niego, by się przywitać.

– Jak leci, stary? – zapytał. – Skąd masz taki elegancki strój?

– Kupiłem w sklepie internetowym dla księży! Normalnie każdy może coś takiego kupić, nie sprawdzają, czy ty ksiądz, czy nie! A jeżeli chodzi o obrazki, to rozdałem tego badziewia w całym mieście chyba tysiące! – odparł Patryk, krzycząc jak zawsze. – Mało tego, znalazłem kilka osób, które rozdają owe obrazki w innych miejscowościach! Oni nawet nie łapią, że to zwykła ściema, robią to z dobroci serca! Zrobił się z tego prawdziwy kult! Teraz wyłapałem jednego ziomka w akademiku, co zajmuje się Wikipedią i mamy zamiar oficjalnie wprowadzić świętego do kanonu, zrobimy mu oficjalną stronę i tak dalej!

Proboszcz, który wyszedł właśnie z kościoła, popatrzył tylko w stronę Patryka. Na jego twarzy malowało się coś jakby skonsternowanie, ale najwyraźniej uznał, że wszystko gra, bo odwrócił się i poszedł do swojego drogiego samochodu.

– Luz! – powiedział Patryk. – Wcisnąłem im kit, że jestem diakonem z drugiego końca Polski!

– Nie połapał się?

– Co ty! Za dużo ich w tej gildii, żeby się wszyscy znali!

Minęło kilka dni, zanim dostał esemesa od Patryka, że Święty Pirosmani zadebiutował w sieci. Dwa artykuły i strona wyglądały naprawdę profesjonalnie. Nie było możliwości, żeby ktoś połapał się, że taki święty jest tylko wymysłem chorego umysłu.

Dwa tygodnie później, kiedy wracał z wizyty u stomatologa, przypomniał sobie o Patryku i postanowił do niego zajść. Drzwi jednak otworzył mu ktoś obcy, jakaś dziewczyna.

– Jest Patryk? – zapytał.

– Kto?

– No Patryk. Taki, co łąził nago, w głupich kłapkach i miał nierówno pod sufitem.

– Zabrała go ostatnio policja.

– Że jak?

Dziewczyna wytłumaczyła mu – najlepiej jak potrafiła, bo sama nie była w temacie – że aresztowano go w związku z jakąś dziwną działalnością. Podziękował jej i wrócił do swojego pokoju w akademiku. Zaczynał odczuwać ból, znieczulenie powoli puszczało. Okazało się, że stomatolog wykrył coś w jego uzębieniu i nie obyło się bez borowania.

Na drugi lub trzeci dzień – nie pamiętał, bo głowę zaprzętały mu kolokwia na uniwerku – Patryk wprowadził do niego bardziej nakręcony niż zwykle, to znaczy w jego przypadku wyglądał jak na dragach. Łaził w tę i z powrotem, krzyczał prawie.

– To koniec! Koniec! Wszystko szło za dobrze, za łatwo! Ponoć dowiedział się jakiś biskup o całym tym moim procederze! Święty Pirosmani został uznany za herezję! Powęszyli, posprawdzali i policja dobrała mi się za to do dupy! Zawinęli mnie na areszt, a tam musiałem wszystko wyśpiewać. Mało tego! Całe tysiące obrazków, które trzymałem w kartonach, poszło do pieca! Zacząłem nawet drukować plakaty i specjalne obrazy! Zarabiałem na tym, rozumiesz?! Sprzedawałem to! W sieci, pod kościołami! Moja rodzona babka, opowiadałem ci o niej, rozprowadzała towar po niemal całym powiecie! Miałem nawet kilka zamówień wśród kurii! Ale znalazł się ten jeden, cholera, chyba bystrzejszy! Pewnie sam chce położyć łapę na moim interesie! Ponoć będę miał postawione zarzuty, cała litania tych cholernych zarzutów! Niby mogą trafić za to wszystko do paki!

Powiedział mu, żeby się nie martwił, że na pewno wszystko się jakoś ułoży. Jego słowa jednak wcale nie podniosły go na duchu, przynajmniej nic na to nie wskazywało. W końcu wyszedł, a towarzyszyło mu gumowe mlaskanie tych przeklętych kłapków.

Nigdy już więcej jednak ich nie usłyszał. Nigdy więcej już nie widział Patryka, nie zamienił z nim chociażby zdania. Nie miał pojęcia, co się z nim stało.

Jakiś czas później, kiedy był na spacerze, padał rzęsy deszcz. Nie przeszkadzało mu to, lubił taką aurę, bo na chodnikach prawie nie było ludzi. Chodził dookoła akademika, właściwie myślał nad kolejną wizytą u dentysty. Podczas któregoś okrążenia zobaczył przy jednym z koszy jakąś zgniecioną, wilgotną kulę kolorowego papieru. To były te obrazki ze Świętym Pirosmanim.



1. na moim łóżku typu „king size”

piastowska la cucaracha
miękkie lądowanie
wypad z bazy milcz gnido
na przemian z kochanie wyłącz światło

maselnica z wątróbką po wróżbie na poślizg
rodzą się marzenia o zadbanych emerytach
którzy dalej nie pójda i czują jakby
znaleźli swoje miejsce już po krzyku
błazenady wiecznego odpoczynku
dopóki moja pokojówka nie zapyta ich
jak sobie jajka życzą

Il pane apre tutte le bocche / przez żołądek do serca
mam zaklepane wielkie powodzenie
z zestawem głośnomówiącym
do podlizywania się Bogom
nie dziwota kopie jak diabli
długie czerwone rozpalone pręty
zębatki wyobraźni poruszane na pstryk
z rekordem świata w łajdaczeniu się
przyciągają typy spod ciemnej płyty
szamoczące się wokół wolności
z wyciśniętej do cna jałowej chwili

jakby zdjęli z wysokości zbawiciela jakiegoś
i położyli na to cudo toby mu się szarpania
odwizdiało tak wygodnie

jestem rozkołysany jeszcze ciepłutkim
pragnieniem podwójnej nocy polarnej
by ochłodzić sobie nieco pełne apetytu
członki zgwałcone wolą
kombinowaniem jakby się wywinąć
od serca pożądającego Świata
od „Lazurów! Lazurów choćby i ciemnych”!*
na których w sam raz zmieści się niejedno bydle
zadoścuczynienia

przypadek nietuzinkowy
na przemięciutkiej leżance za kilka tyśi
coś nie do wiary jak mi wmawiają dziecko
w brzuch że to bez sensu, że tak się nie da
tak nie można przecież do końca życia!
ci co chcieliby zostać przyspawani na amen
kiedy już trzeba sobie iść

nie mają zielonego pojęcia
jak ciężko dostać pościel do takiej
Bitwy pod Grunwaldem
albo dobrać kolor zasłon
do mahoniowego baldachimu
uwielbiam perłowy bo jest najbardziej
podobny do moich myśli

żeby trochę można je stuningować
zamówiłem do zestawu wypoczynkowego
masywne sprężyny hydrauliczne
by znosiły ciężar moich wspomnień

i oto są dni, spowalniające na wyrku
które by się nie wydarzyły oj nie
gdyby nie zrobiony na specjalne zamówienie
podłokietnik pod moje opadające ręce
gdybym nie pracował w pocie czoła
i nie rzucił kurwą w kluczowym momencie
i o mały włos jakiś niedorajdek nie powiedział mi
mogłeś to zrobić w dużo prostszy sposób
na 3 zmiany 7 akordów w 2 ognie na czarno i brawo
by spocząć na eleganckim kieszeniowo-piankowym
materacu z serii „laguna Erebu”

sam sobie zapewniłem to wygodne legowisko
sam położyłem przed sobą czerwone dywany
by nie skamleć za wiecznością
sam ukręciłem na siebie bat
„Tabernakulum burz daremnych”!*
sam zapracowałem na swoje kłęski
zebrząc w zaświatach po „coś więcej”
sam dałem się przybić do krzyża dziwolągom

sam odrąbałem się od krzyża dziwołagów
sam zdemontowałem swój krzyż dziwołagów
sam pogoniłem dziwołagów, którzy chętnie mnie przybijali
sam przeprosiłem drzewo z którego został zrobiony
sam przerobiłem ten krzyż na próg mojego domu
żeby stworzyć swoją pierwszą granicę
sam pocałowałem klamkę niejednego domu strachów
zanim zrozumiałem, że to mnie mają się bać
sam wygnałem się z rajy maruderów
sam naważyłem sobie piwka i je wysiorbałem
na oczach nieskończonych pustek szkół
sam dostawiłem sobie pod łóżko nocnik i kaczkę
by zmówić bez pośpiechu modlitwę na czarną godzinę
sam odszedłem od zmysłów by nie dać wiary rozumom
sam posłałem sobie tak elegancko
że śmierć by sobie na chwilę odpoczęła

i ta wielka niezależność wygody gdy ledwo się mieszczę
skarb spędzający sen z powiek gnuśnościom
by „nie było zastępców”, „nie było wykrętów”^{**}
na którym trochę mi szkoda kłaść kobietę
dla poczucia maleńkości zejść na Ziemię
w pocie czoła prawie z niczego
przygotowywać słodki skład lzy
najwyraźniejsze pragnienie
mój uśmiech.

* Marina Cwietajewa, *Z cyklu Chłopiec*, fragmenty.

** Czesław Niemen, *Z pierwszych ważniejszych odkryć*, fragment.

Michał Borkowski

2. głos kobiety przed czterdziestką

jęk rozkoszy
wołanie o pomoc
głos matki moich dzieci
głos rozsądku stu pięćdziesięciu dwóch perspektyw
głos zasuwający bajeczki duńskie
zderzacz andronów
chyba oszalałeś!
głos co daje znać na progu chwili
Gegrüßet seist du, Maria, ahoj!
voll der Gnade! Na hejał serią z pepeszy
głos poganiającej mnie burdelmamy
no już już już jezu idę
zaraz cię kurwa stąd wyprowadzę
głos egzystencjalnego zatroskania jestestwem
ważny głos w sprawie
zdarte gardziolko
pizdowata piszczała
chryпка po felatio na mrozie
czy ktoś mnie tutaj w ogóle słucha
czas apokalipsy w slow motion
głos do zapamiętania
głos niesłyszalny
ale ja jestem brzydka
o mały włos
daj mi święty spokój
mocniej proszę mocniej
jota w jotę
dwugłos
głos do zapamiętania
mam się odpierdolić
głos szarej codzienności
słowa prawdy
głos podstawiony
słyszający głosy
umieram
już mi lepiej
nagłos
daj głos
daj głos
hau hau
aport

Ciupasem za czasem

Nareszcie. Poznałem metodę pozyskiwania czasu. Nie jest to zadanie łatwe, ale wykonalne. Trzeba działać metodycznie. Oto krótki kurs wyzyskiwania czasu.

Przystępuję do realizacji planu na najbliższy tydzień. Podejmuję pierwsze zadanie. Wykonuję pracę do momentu jej zakończenia albo kiedy zmęczenie uniemożliwia kontynuację. Przerzywam ją wtedy i udaję się na drzemkę.

Najlepiej, kiedy sen trwa kwadrans. Piętnaście minut powinno wystarczyć na zregenerowanie sił życiowych. Nie warto spać dłużej, ponieważ traci się kontakt z częścią dnia, w której praca ustała. Po dłuższym wypoczynku trudniej kontynuować to, co rozpoczęte.

Kończę drzemkę i podejmuję pracę w miejscu, w którym ją przerwałem.

Jeżeli wykonam zadania pierwszego dnia, rozpoczynam prace zaplanowane na dzień następny. Jeżeli uda się zamknąć zadania dnia drugiego, wykonam plan dwóch dni w ciągu jednego. Dzień pierwszy i drugi w jednym. Zyskuję dzień.

Jeżeli zacznę w poniedziałek, to wykonam plan poniedziałku i wtorku. We wtorek – środy i czwartku. W środę – piątku i soboty. Od czwartku mogę mieć wolne i nic nie robić. Nie biorę jednak wolnego, bo w niedzielę i tak będzie niedziela, i będzie to dzień wolny. Sobota również.

Przy stosowaniu tej metody, ktoś, komu się nie chce pracować, może mieć od czwartku do niedzieli wolne. Cztery dni. To jakby cztery niedziele, jedna przy drugiej. Pojawia się możliwość zastosowania trzydniowego tygodnia pracy.

Pracuję dalej, w połowie dnia śpię, potem znów pracuję. W połowie tygodnia wykonuję plan całego tygodnia. W ten sposób przez tydzień wykonam normę dwóch tygodni. W ciągu dwóch tygodni – plan miesiąca. Przez miesiąc – dwóch miesięcy, przez pół roku – roku i tak dalej, i tak dalej.

Oto cała idea. Proszę nie rozgłaszać pomysłu lekkomyślnie. Informacja może dotrzeć do pracodawców, wtedy oni zechcą zwiększyć normę o sto procent, ponieważ zadania całego miesiąca można wykonać w ciągu dwóch tygodni. Mogą też wpaść na pomysł, żeby zmniejszyć wypłatę o połowę, skoro miesięczną pracę można wykonać przez pół miesiąca. Każdy z przedstawionych wariantów jest, moim zdaniem, nie do przyjęcia. Cieszy jedynie myśl, że otrzymam wypłatę za dwa miesiące, a przepracuję tylko miesiąc.

Zaoszczędziłem miesiąc. Mam miesiąc w zapasie. Mogę przehulać dwie wypłaty.

Metodę, którą tutaj zaprezentowałem, odkrył mój przyjaciel. Praktykuje ją od wielu lat. Dzięki niej stał się młodszy ode mnie o kilka dekad, prawie o połowę, jak dotąd. I o połowę bogatszy.

Kiedyś byliśmy rówieśnikami. On nadal młodziej. Ja jeszcze nie.

7 lipca 2024, godz. 16:30

w świetle latarni i przy płocie

w nocy maciejka wyciąga plecy
jak dłonie do gwiazd, co
tu i teraz już nie istnieją
w obrazie przesłanym

z odległych galaktyk
jak ty w ciemności
chronią się łodyżki
przed prędkością

światła, z którą znikasz z jej myśli
sniłaś jej się wczoraj umysł dzikie
zwierzę, *wychłostać je, jak to tak*
bez pozwolenia, żwawo, skocznie

jak twój kot, chomik,
świnka morska albo pies

uśmiechnięty
od ucha do ucha
bez pozwolenia
i bez pragnienia

i był sen

napisała wiersz o śnie, wtedy przyszłaś
śmieszne, w zasadzie sobie nie życzyła
sama była zdziwiona jak zgrabnie
uczucie zamknięte w słóiczku

po dzemie z czereśni dojrzałych
co rosły w ogrodzie dziadka
zbierane wczesnym latem
listki się trzęsą na wietrze

widzi w nich zarys postaci
myśli, *może zaraz się*
odwrócisz, śni
o człowieku

po co, po co
ciało rządzące umysłem
czy tęsknota wychodzi z głowy
czy może jednak z ciała

miłość

*myślała, jesteś piękna,
prosta taka, wysoka do nieba
pozwalająca się dotknąć
powiedziała ci nawet,*

było w tym ryzyko

to nie mogło skończyć się dobrze:
w dwudziestym pierwszym wieku
człowieka można kochać tylko
miłością romantyczną

a ona bardzo przy grekach,
ich starożytnych główkach,
które wiedziały wszystko
cztery tysiące lat

wcześniej

jak dziecko małe, nierozumiejące
głupie w sumie, bardzo naiwne
i bardzo bez płci, kochające
swoją śmieszna miłością

człowieka

Mirosław Kuleba

Carmen z wachlarzem

(z cyklu „Obrazki z wystawy”)



Kasper Pochwański (1899-1971), *Carmen z wachlarzem*, olej na tekturze, 39,5 x 29,5 cm

Drzwi otwierają się niespodziewanie i do pracowni malarza wbiega prosto z mrozu i zamieci kilka kobiet, roześmianych i głośnych. Młody artysta, jeszcze zanurzony w ciszy swego sanktuarium, patrzy zdumiony na gości. Kobiety schroniły się do cieplej izby przed śnieżycą, na ich płaszczach i futrzanych czapkach lśnią płatki śniegu. Lecz kiedy zrzucą zimowe odzienie, nie są już podobne do zwykłych ludzi. Mają na sobie szaty utkane ze światła, jakie mogą nosić tylko święci. Od tych nieważkich materii bije blask niezemski i czystość nieskalana. Teraz je rozpoznał: to święte panny z jego płócien, które malował na kościelne ołtarze.

Lecz artysta pamięta coś jeszcze. Wszystkie były jego kochankami, które pozowały do obrazów. To jego modelki, muzy minionych lat, które on zamienił w święte. Obiecał im chwałę.

I nie wie już, które z nich stanęły teraz przed nim, szukając w jego wyobraźni schronienia przed zimową nocą: kochanki-modelki, czy święte. W istocie, wszystkie są jednym i drugim. Święte grzesznice.

Na płótnach miałem czego zapragnąłem,
wszystkie kochanki, które już umarły.

Wenus, olimpijskiego świata córka fortunolica, jego kochanka. Artystka i modelka. Święta ikona. Wszystko razem.

Kasper Pochwalski otwiera tą sceną swój dramat *Odnowa*, którego nikt nie przeczytał. Jego malarstwo też zostało zapomniane. „Twórczość tego zapoznanego artysty jest zjawiskiem dziwnym, wyłamującym się z ram historycznego procesu, skłóconym z aktualnym życiem sztuki, utwierdzającej swe uniwersalistyczne tendencje” – napisze o nim Tadeusz Dobrowolski, kolega z lat studenckich, wybitny krytyk sztuki.

Był artystą totalnym. Pozostawił tysiące obrazów i rysunków, dwieście utworów literackich – poezji i dramatów – z których żaden nie został opublikowany, a kiedy nie malował i nie pisał, zajmował się konserwacją dzieł starych mistrzów. Mehoffer uważał go za najzdolniejszego ze swoich uczniów, jako stypendysta studiował w paryskiej Akademii Ranson u Maurice Denisa. Wśród polskich malarzy niewiele dorównałoby doskonałości i pięknu jego kreski – Matejko, Malczewski, Mehoffer (Wyspiański jest poza wszelką konkurencją), Piotr Stachiewicz, dzisiaj Starowieyski. W 1933 roku powierzono mu restaurację największego skarbu katedry wawelskiej, Czarnego Krucyfiks k rólowej Jadwigi.

Jego poglądy na sztukę też były totalne. Nie pociągała go sztuka „utwierdzająca uniwersalistyczne tendencje”, kolejne -izmy, „narkotyzujące zblazowane nerwy ludzi XX wieku”. Zżywał się na Picassa, którego nazwał dynamitem na tradycyjne malarstwo. „Picasso, Van Gogh, Gauguin i cały szereg modernistów, zieją zjadliwością życia, kanałem, rozszczepieniem, tchnieniem zatrutym, ciesząc rzekomo wzbogaconą, a w gruncie rzeczy kakofoniczną paletą” – pisał w swoich rozważaniach o Sztuce.

Zawsze chciał malować tylko świat swojej wyobraźni, często osadzając przedstawienie w literackim kontekście. „Apostołowie boleją w aureoli, nad nimi błękity, a w dole ciemności oczy”. Dzieło sztuki miało być świadectwem uduchowienia, nie ornamentem. „Malarstwo, sztuka, to sprawozdanie za milczącego Boga – napisze u schyłku życia. – Sztuka rozmawia z duszą”. W Paryżu uczył się malarstwa u nabyty Denisa, poznał awangardowe pracownie Montparnassu, ale prowadził własne studia malarstwa w Luwrze. Odporny zarówno na młodopolski symbolizm Mehoffera, na paryską awangardę jak i na inne, modne w jego czasach maniery malarskie, znalazł własny, rozpoznawalny styl. Już w młodości miał świadomość swojej wartości jako artysty. „Nie uczmy śpiewać ptaków z płyt gramofonowych” – napisał ironicznie o kolegach malarzach. Oryginalność fantazyjnych scen widoczna jest w nurcie symbolicznym jego malarstwa, w kolejnych wersjach *Przeprowadzki artystów*, *Odnowy czy Miłości na dachu*, w scenach religijnych, ale nawet wtedy, gdy malował tematy z klasycznego repertuaru, martwe natury, pejzaże czy portrety, osadzał je w tajemniczej nierzeczywistości marzyciela. Tylko tam mógł istnieć ten pejzaż wspianiały – „ziemiostan rozfalowany wzgórzami”, tylko tam spływały „blade wodospady rozdzwonionej ciszy”. Początkowo stosował śmiały koloryt, jakby uwiedziony radykalizmem fowistów, u schyłku życia doszedł do fantazyjnej, jaskrawej feerii barw i wiotkich form, a jego mistyczny manieryzm nabrał nieco naiwnej, jarmarcznej ekspresji.

Zawsze wierny własnej drodze artysty, siłą rzeczy musiał znaleźć się w opozycji do nurtów dominujących w sztuce jego epoki. I – przegrać, z czego zdawał sobie sprawę. „Lubię prawdę i mijam się z karierą, która powstaje z kłamstwa”. Był to jednak świadomy wybór, świadectwo siły charakteru, o czym pisał w wierszu *Nie chcę wejść w nowe kołnierze*.

Nie chciał stroić się w „nowe kołnierze”, nawet szamerowane gwiazdkami, z galonem i orderem w klapie, jeśli to miało oznaczać przystąpienie do „nowego kierunku”. Można domniemywać, że chodziło tu o wspierany przez władze socrealizm. Jego szczególną niechęć wzbudzał jednak modernizm, w którym widział tragiczny powrót do sztuki jaskiniowej Neandertalczyków, wytwory „podwórkowych śmieciarzy”, ludzi o zgrabiających rękach i pędzlach podobnych do miotły, którą warto by ich wymieść. Jego zdaniem kryła się za tym tylko buta i bufonada kawiarnianych rycerzy, wspieranych przez płatną reklamę i śmiejących się w duchu z ogłupiałego klienta. Taki oto dał przepis na obraz nowej sztuki: „bierze się litr dziesiątej wody po kisielu, kamień z linii Maginota, dwa jaja syntetyczne, cynamonu oraz farbki do bielizny, tłucze się w moździerzku głową o mur, podstawiając płótno”. I receptę na sukces takiego dzieła: „posyła się na wystawę, gdzie się ma już zawczasu wybraną przez siebie szajkę jury, złożoną ze starych snobów, kabotynów i ich kondotierów, rozgoryczonych

nieuków wypranych z talentu, którzy występują w roli katów innych kierunków, czyli oprawców – aby broń Boże nie dostała się inna myśl i nowe tchnienie do tej przestarzałej ultra moderny”.

Triumfalnemu marszowi nowoczesnej sztuki, wyrastającej jego zdaniem z tradycji „Murzynów i ludów pierwotnych” i rozpowszechnianej przez „barbarzyńskich najeźdźców z całego świata”, w szczególności z Mińska (główny kontyngent École de Paris), przeciwstawił jasną i czystą, apostołską sztukę, mającą swe źródła w Grecji. Sztukę braci Gierymskich, Rodakowskiego, Michałowskiego, pełnią maestrii i duchowej wielkości. Stawiał na piedestale malarstwo Wojciecha Kossaka, tę „epopeję dzielności”, jego styl „płynący z rasy doskonałego malarza i doskonałego człowieka”.

Podobnie jak Wyspiański, Witkacy czy Bruno Schulz, Pochwalski rozszerzył swoją artystyczną aktywność na literaturę. Niewerbalny przekaz malarstwa, skierowany do wrażliwości, intuicji i estetycznego wyrobienia odbiorcy, w sferze poezji zyskuje całe bogactwo nowego języka, czysto intelektualny aspekt. W jego poezji, pisanej do szuflady, uderza szczerość i prostota. Młodzieńczym przemyśleniom często brakuje formy, ocierają się o grafomanię – z czego autor zdaje sobie sprawę, ale jego późne wiersze to dojrzała refleksja nad pięknem, życiem i śmiercią. W wierszu *Notre Dame* z 1950 roku paryska katedra jawi się niczym w tragicznej, proroczej wizji, jako gorejące niebo artysty:

Gdy kiedykolwiek jeszcze to się zdarzy,
że mnie wicher losu przed ciebie przyniesie –
Kłęknię przed tobą, jak w świętym gdzieś lesie – Notre Dame!
Ty wzgórze świątynnych ołtarzy!

Błysk słońca może przetnie wtedy chmury –
I cała załńsz podniosła w pryzmacie –
W koronacyjnej świętej, celebralnej szacie!
Rzeźb całe święte ogrody i góry!

[...]

Ale gdy błysnie nagle pierwsze słońce –
stajesz mi w oczach, wyrastasz potężna!
Labirynt szczęścia dla oczu! Gorejące
niebo artysty! Piękna arcyksiężna!

W kobiecych aktach Pochwalskiego widoczne są dwa aspekty: doskonałość rysunku i magiczna aura jakiegoś tajemniczego dramatu, który rozgrywa się w tle.

Nie patrzył swoim modelkom w oczy. Nagie kobiety odwracają głowę, pokazują plecy, dostrzegają coś interesującego w oddali, lecz nie widzą jego. Taka jest siedząca młoda dziewczyna z rysunku zrobionym wirtuozowską, brązową kredką, który kupiłem na jakiejś aukcji. Siedzi zwrócona bokiem do malarza i patrzy przed siebie, opierając ręce na zgiętych kolanach. Widać, że to była piękna istota. Dlaczego nie chciał pokazać jej twarzy, jej oczu i ust? Była w tym jakaś jego wstydlivość, którą odnalazłem w tym, co pisał.

Istotę swego usposobienia odkrył kiedyś w wierszu, który napisał jako 26-letni mężczyzna:

Nie mam szczęścia do kobiet bywając płochliwy,
trwożny, a wszystko z dumy do zbyt płytkiej toni.

Z młodzięcżą wrażliwością wyznaje, że religia kultywuje miłość. Wspomina dziewczęce piersi swej modelki, ze wstydem zakryte. „Modelka się uśmiecha przez łyż, kojąc w końcu romans z sztuką”.

Pojawiły się wtedy te kobiety ze śnieżnej zamieci, o których napisał dramat *Odnowa*. „To są te same anioły-diable-żuczki, przewodniczki drogi samotniczki, wyimaginowane, wyidealizowane, które były aktorkami ożywionymi – zasypiały i budziły się z letargu, w którym dawno trwały. Pocieszycielki, gosposie – dziewczynny upadłe i kobiety dojrzałe, rozumiejące wszystko, służki swego twórcy, odgadujące przenikliwie iluzje i intencje swego mistrza-alchemika-magika, schodzące dostojnie z obrazów”. Jego modelki-święte-kochanki.

Lata później, dobiegając pięćdziesiątki, ciągle w kawalerskim stanie, zgorzkniały, zapisze gniewne słowa: „Idealizujemy przesadnie kobietę na szkodę jej samej – zwierzątko ono, ani złe ani dobre, głupieje do reszty, wbijając się w pychę, która czyni ją okrutną”. Zaraz potem ożeni się i zostanie szczęśliwym ojcem Zuzi.

W sztuce także doznawał fal przyptywu i odpływu, powodzenia i upadku, tej niszczącej nerwy artysty pulsacji, przywiązanej do wszelkiej twórczości. Na swoich obrazach malował ciągle krajinę światła i kolorowej harmonii, lecz w tym, co miało pozostać zakryte dla innych, pisał o swoim smutku i rozczarowaniu. „Nie łatwo imponować chamom subtelnością. Delikatność – rzecz nikła, prawie nierealna!”.

Zdawało się, jakby ten barwny świat jego płócien wyrastał z mroku, który panował po drugiej stronie kwiecistej draperii. Jakby anioły, unoszące się pośród rajskich pejzaży, miały za chwilę umrzeć. Może to brak uznania sprawił, że stał się cyniczny. „Kultura może się zićić, gdy dobrze skryjemy zwierzę”. W końcu zakwestionował rolę samej sztuki: „To poeci walczyli, by wszystkim wszystko odebrać”.

Pociechy szukał w religii, w obrazach, które wyrastały z jego mistycznego usposobienia, w restauracji kościelnych ołtarzy i starych rzeźb. Założona przez ojca, słynna pracownia konserwatorska na Mikołajskiej w Krakowie, była jego i brata Stanisława, malarza i konserwatora zabytków, cichym i świętym sanktuarium, gdzie dokonywało się misterium cudownych ozdowień dzieł skazanych przez czas na zagładę. Ale też miejscem, które pożerało jego własny czas, co znosił z coraz większym trudem. „Kiedy pochmurnymi, jesiennymi dniami, pochylony nad strzępami starych płócien, skrobałem je, łykając woń trumiennej stęchlizny i strychowy kurz, budziła się we mnie rozpacz i wściekłość”. To w takich chwilach wyobraźnia podsuwała mu twórcę pustelniczki samotności, nawiedzające go zwidy i mary urojone, które widział w „zwierciadle duszy”.

Jedną z tych jego mar urojonych była może Carmen z olejnego obrazu, który do mnie trafił. Próbowałem dociec, kiedy ją namalował. Kolorystyka i styl przypominały raczej malarstwo jego stryja Kazimierza, jednego z najwybitniejszych polskich portrecistów. Byłbym mu to dzieło bez wahania przypisał, tak nie przypomina całego *œuvre* Kaspra, gdyby nie był opatrzył obrazu wyraźną sygnaturą ze swoim imieniem.

Przytłumiona tonacja też jest daleka od jego pełnych światła kompozycji. Tu panuje półmrok, w którym nikną czarne włosy dziewczyny. Carmen nie przypomina triumfującej uwodzicielki z opery Bizeta. Jest raczej projekcją zahamowań malarza, jego dziwnej mizoginii; to portret neurasteniczki, prowadzącej jakąś przebiegłą grę. Jak na wielu swoich aktach, namalował ciało kobiety z niezwykłym mistrzostwem. Odległe, rozproszone światło ogniska bądź świecy dobywa z cienia zarys jej szczupłych ramion, pokazanych z takim realizmem, że chce się je dotknąć dłonią, by poczuć aksamitną gładkość skóry. Mógłby to być półakt, gdyby nie skryła się za pysznym wachlarzem, w którym dostrzegłem tony *caput mortuum*, fioletowego pigmentu uzyskiwanego ze sproszkowanego hematytu. Sięgał po ten kolor przez całe życie, nie mógł więc postąpić do datowania dzieła. W rogu obrazu, za wachlarzem, widać jednak plamę zieleni Veronesa, może niebiesko-zielonego viridianu. Najchętniej sięgał po ten szmaragdowy pigment w młodości, widać go na wielu jego obrazach, na autoportrecie olejnym z 1920 roku, na paryskim portrecie mężczyzny z dzieckiem z 1923 roku. Namalował moją Carmen za młodych lat, może w Paryżu, gdzie mógł zobaczyć operę na scenie.

Teraz ja czekam, kiedy Carmen wyjdzie z obrazu i stanie przede mną, przesłonięta tylko przezroczystym wachlarzem. Pojawi się i zagarnie powietrze, całe powietrze, i całą przestrzeń, i czas, jednym ruchem wachlarza w kolorze *caput mortuum*, martwej głowy.

online

wystygła kawa. gwiazdy toną
w kwarcowym lustrze, wyciętym z czerni
jak otwarte okno. świerszcze brzęczą, wyczekując
drgnięć pod taflą.

możemy niemal zetknąć dłonie; w pustce pomiędzy
rodzą się myśli, przepływają tysiące węzłów
i giną w okach sieci.

potem *klik* i horyzont maleje do punktu
na mapie bez współrzędnych. jak duch
rozpływasz się w obwodach.

w mroku majaczy
poblask spod półprzymkniętych powiek.

skojarzenie muzyczne:

Lech Janerka – *Pieśń mijających się wielorybów*

mówię co myślę

a może
myślę tak jak

mówię
więc jestem

na końcu języka

Problemem jest natura, czyli rozmowy niekontrolowane

Znali się od zawsze, chciałoby się rzec, albo żadne z nich nie przywiązywało uwagi do dat, aby wybrać którąś za start. Różnili się od siebie, może to ich tak połączyło i spłotło ich drogi na życie. Heri był najstarszy z całej trójki. Nie lubił nowości i trwał w swoich przyzwyczajeniach czy sądach jednostronnych. Zawsze powtarzał, że nowa to może być bielizna lub dziewczyna, a tylko to, co znane, jest bezwzględnie dobre i lepsze być nie może. Czasami przypominał bojową fortecę i skarbnicę mądrości dawno zapomnianej, która nie raz uratowała pozostałej dwójce skórę.

Hodie była środkowa wiekiem i tylko tyle by jej z wyważenia pozostało. Potrafiła być zmienna i kapryśna, aż męką stawało się przebywanie w jej towarzystwie. Surowa w swych sądach i patrząca na ręce każdemu. Miała cięty język i szorstkie obycie, które było skutkiem wiecznego szukania swojej drogi, a może zbytniego podążania mylnymi drogowskazami najgroźniejszych.

Najmłodszym i ostatnim z paczki był Cras. Chodzący wulkan energii i generator pomysłów. Co będą jutro robić? On już to wie albo jeszcze wymyśli. Ile to razy pozostała dwójka musiała jego śmiałe idee ściągać do realiów ziemskich, tego świat nie zliczy. Jednak to on nieraz horyzont im inny pokazał albo i o kilka milimetrów przesunął.

Siedzieli jak co wieczór przy tym samym stoliku w barze za miastem. Lubili go, każdy na swój sposób. Był jednym z niewielu kompromisów, jaki udało im się osiągnąć w krótkim czasie.

[Heri:] Mówiłem, zamówcie mi kawę – burknął, patrząc podejrzliwie na porcelanę. – Co to ma być?

[Cras:] Spóźniałeś się, to zamówiłem ci wodę. Kawa by ostygła. – Wzruszył ramionami. – Woda jest zdrowa. Powinieneś i tak rzucić ten konsumpcyjny bebecz. Za sport byś się wziął. A jak ci tak zależy, to sobie zamów tę kawę, a nie krytykujesz wszystko.

Machnął ręką w kierunku mężczyzny, z dezaprobatą patrząc się na jego kolejne fale frustracji. Jak można robić aferę o taką pierdołę, myślał.

[Heri:] Nie będę zamawiać drugi raz. Zawsze zamawiam raz i zawsze zamawiam kawę. A to nie bebecz, tylko oznaka dobrobytu. W moich czasach wiedzieliśmy, co to dobrobyt, a nie niepewność zmian młodych. Jaką ja mam pewność, że jutra dożyję? – Wymachiwał rękoma, chcąc dodać dramaturgii wypowiedzanym słowom – No właśnie, czerpię z życia pełnymi garściami.

[Hodie:] Garściami – poprawiła go automatycznie.

[Heri:] Tym też, czym się da.

[Cras:] Dobrze by było, jakbyś coś zostawił też dla innych – upomniał go.

[Heri:] Inni jakoś nie pamiętali, by zamówić mi kawę!

Donośny głos Heriego jak zawsze niósł się falą, angażując w ich rozmowę ludzi okupujących inne stoliki. Ich uszy nie mogły pozostać obojętne na kolejne przepychanki słowne i stuki nerwowo odkładanych filiżanek.

[Cras:] Zamówię ci tę kawę!

[Heri:] Teraz nie chcę!

Odwrócił teatralnie głowę i nadymał poliki, które ciśnienie zabarwiło buraczanym kolorem. Wyglądał jak obrażone dziecko lub chłopstwo z historycznych filmów, zgrywając się z pastewnym obyciem.

[Cras:] To po co robisz problemy?!

[Heri:] Nie robię! To wy robicie, zmieniając to, czego nie trzeba zmieniać! To przez takich jak ty się spóźniłem. – Uniosł się dumnie z miejsca, przypominając małego wodza z obrazów. – Nadawali tych samolotów, teraz każdy lata. To na działkę. To do marketu. To do kochanki. Każdy narzeka, a taki dobrobyt, że nie ma gdzie auta zaparkować, bo nastawiali tych pudeł ze skrzydłami i moje miejsca parkingowe zajmują! I jeszcze kawy mnie chcą pozbawić! – Nabrał powietrza. – Stare dobre auta. To pozamieniali na te ekologiczne trumny na kółkach. Wielofunkcyjne! I na grzyby pojedziesz, i grilla zastąpisz, a jak masz szczęście, to i kremację ci za darmo zrobi, co by się rodzina nie kłopotowała. Prawdziwe auto przyszłości! Ja podziękuję. Mój dziadek na rowerze jeździł, to i ja będę, a to tego elektrycznego pudła nie wsiądę. Znieśli krzesła elektryczne, to wprowadzili samochody, tak chcą nas sposobem wyeliminować. Za wolno im szło, to teraz samolotów nadawali.

[Hodie:] No rower to by ci nie zaszkodził. – Uśmiechnęła się krzywo.

[Cras:] Czy ty siebie słyszysz? To jest postęp, a nie skansen. Czy twój dziadek by na tym rowerze do Ameryki dojechał? A samolotem kilka godzin i już się może na Miami Beach opalać – bronił.

[Heri:] Dojechałby!

[Hodie:] Przez ocean? – Uniosła pytająco brew.

[Heri:] Trochę by mu to zajęło, ale dałby radę.

[Cras:] Przestać nawet takie głupoty pleść. – Westchnął, załamując ręce.

[Hodie:] Zastanawialiście się czasem, czy jest w tym jakiś większy sens? – wtrąciła, wchodząc im w słowo. – Wiecie w tym wszystkim, w tym postępie, w tym rozwoju... w tym wszystkim, no wiecie... Czy jeszcze jest w tym człowiek?

[Heri:] Jak to jest jedna z tych nastoletnich dyskusji pod tytułem, czy ja jestem inna, czemu te dziewczyny są popularniejsze, mamona ona ma większe cycki ode mnie i świat mnie nie rozumie, to ja odpadam. Bez kawy tego nie pociągnę.

Hodie poprawiła się na krześle i zaczęła ruszać ustami, jakby czekając na wylatujące z nich słowa. Miała zbyt dużo myśli, a za mało znanych sposobów, aby oddać ich sens. Za mało w życiu książek przeczytała, to fakt. Zawsze były ciekawsze rzeczy do zrobienia. Może tych myśli za dużo się zebrało, aby naraz je do słów dopasować.

[Hodie:] Zawsze wszystko mierzymy swoją miarą. Wiecie, że coś jest ludzkie, nieludzkie, że jesteśmy cywilizacją rozwiniętą, górującą nad innymi. Wiemy, co jest dobre, a co złe. Niby się rozwijamy, latamy do „Zabki” i w kosmos, zamiast polować z dzidą i patrzeć w gwiazdy. Mamy łatwiej, a i tak wszystko komplikujemy. Mamy cały ten postęp, krainę mlekiem bez laktozy i miodem płynącą, a tak naprawdę, co my robimy? Budzimy się z ręką w nocniku i narzekamy, że nocnik za płytki, bo za mało naszego...

[Heri:] No! – upomniał ją.

[Hodie:] ...pomieścił. – Przewróciła oczami. – Spójrzcie, zaczęliśmy żyć pełnią życia, ale życie wokół zanika.

[Cras:] Jesteś zbyt pesymistyczna. Trzeba patrzeć z optymizmem w przyszłość! Rozwój! Czwarta rewolucja przemysłowa już za rogiem.

[Hodie:] Ale, co za tym idzie, zastanawiałeś się? Ostatnio kłóciliśmy się o to, czy zmiany klimatyczne to nowomoda, czy realny problem. Fakt jest taki, że aby o tym rozmawiać, każde z nas jakoś się znalazło w tym miejscu. Ubrani, w miarę najedzeni i na miejsce w ten czy inny sposób dostarczeni. To wszystko wymaga energii. Zużywamy jej masę i nie jesteśmy w stanie tego ani pominąć, a tym bardziej wymazać. Ona też skądś się bierze. Co kosmiczna energia?

Poprawiła się na krześle i zmierzyła ich wzrokiem.

[Cras:] Już od dawna mówię, że ludzie muszą zmienić swój tryb życia. To wszystko przez paliwa kopalne, wykończą nas. Właśnie przez twoje kopzące samochody i ludzi takich zakonserwowanych nasza planeta umiera. – Wytknął palcem siedzącego obok Heriego. – Trzeba to raz na zawsze ukrócić. Im szybciej zerwiesz plaster, tym krócej poboli.

[Heri:] Ropa, gaz, węgiel... Czy ty siebie słyszysz, człowieku? Jak chcesz od tego odejść? I co niby takiego złego ci robi jedna bryłka węgla? – Zaśmiał się lekceważąco.

[Cras:] Co mi robisz? – oburzył się. – Co nam robisz, chciałeś powiedzieć. Zatrąwa środowisko. Są to zasoby nieodnawialne, dewastujesz naturalne środowisko, gołocząc je do zera jak beczelny złodziej.

[Heri:] Ale lasy sadzę! – Uderzył pięścią w stół.

Filizanki i szklanki ustawione na stoliku poprzewracały się, wylewając swoją zawartość. Hodie burknęła z dezaprobatą na pozostałą dwójkę, która dalej się kłóćąc, pozostawała obojętna na ściekające z blatu na posadzkę płyny. Chwyliła szybko za serwetki i ratując, co się tylko da, ścierała kolejne centymetry. Widząc zaniepokojone spojrzenia pozostałych gości lokalu, posyłała im przeproszający uśmiech. Przecież nie zapadnie się pod ziemię, choćby i tego teraz chciała.

[Cras:] Tylko po to, by je później porąbać i spalić albo na komodę z Ikei przerobić.

[Heri:] A myślisz, że na czym siedzisz? Co szyszka w cztery litery nie uwiera?

[Cras:] Zdeprawowaliście środowisko naturalne, zwierzęta przez was straciły dom. My nigdy byśmy do tego nie dopuścili! Truliście dzieci i kobiety. Kobiety nawet bardziej, bo zabieracie im tym samym prawo do oddychania czystym powietrzem.

[Hodie:] Też jesteś mężczyzną – wtrąciła z przekąsem, na nowo zajmując swoje miejsce.

[Cras:] Ale przyszłościowym.

[Hodie:] Co ty za bzdury wygadujesz? Nie powinieneś walczyć o ogólne dobro?

[Cras:] Walczę! Lodowce się kurczą, temperatura idzie w górę.

[Heri:] Sam kiedyś mówiłeś, że ocieplenie klimatu to coś naturalnego i kiedyś też tak było.

[Cras:] Ale nie w takim szybkim tempie. Chcesz się wrócić do ery wielkich paproci i widłaków?

[Heri:] Lubię paprocie.

[Cras:] Podnosi się poziom oceanów, mamy susze i coraz gwałtowniejsze zjawiska atmosferyczne, z którymi nie poradzimy sobie. Życie w niektórych rejonach Ziemi stanie się piekłem albo całkiem przestać istnieć. Czy ty to rozumiesz?

[Heri:] Jakoś w telewizji o tym nie mówią?

[Hodie:] Nie mówią, bo nikt by ich nie oglądał. Redakcje tego nie łykną. Wiesz, wizja nieuchronnej zagłady przysłuży się tylko trumniarzom, a oni raczej w telewizji swoich reklam nie puszczaają. Reklamy wyścigów, nowych butów czy pięknych buziek raczej się do tego nie klasyfikują. Myślisz, że do porannej kawy ktoś wybierze sobie wykład o tym, jak popełniamy zbiorowe samobójstwo, czy o Kim Kardashian, która poleciała na godzinkę do Paryża spróbować jakiegoś sernika. Ludzie nie chcą myśleć. A czego nie widać, tego nie ma, proste. Dla nich bardziej namacalna jest Kim i jej sernik niż gazy cieplarniane.

[Cras:] Politycy o tym mówią!

[Hodie:] Kto dzisiaj ogląda polityków? Pięć minut w wiadomościach? Daj spokój. – Machnęła ręką. – Oni też. Prawda jest taka, że im większy show zrobią, tym dłużej będą na świeczniku. A nie zawsze popiszą się czymś godnym pochwały. A potem jeden z drugim zobaczy takiego w telewizji i pomyśli, że to jest jego wzór do naśladowania.

[Heri:] Przecież skądś się ci ludzie tam biorą.

[Hodie:] Wierz mi, jakby ktoś do wyborów zgłosił dla żartów owcę, toby ludzie głosowali na owcę. Śmieszny żart, prawda? Ciekawe, czy prawdziwy. Zobaczymy – przedrzeźniała.

[Cras:] To trzeba ich edukować!

[Hodie:] To nie kwestia edukacji, tylko interesów. Chorągiew tam zawieje, gdzie lepsze wiatry. Słucham, jakie masz pomysły?

[Cras:] To tak jak z lekarzami. Najpierw musisz pokonać szkoły, gdzie cię będą edukować z najbardziej potrzebnych w polityce zagadnień i ta da! Człowiek świątły i gotowy. – Klasnął w dłonie.

[Hodie:] To chyba już trzeba nowych zacząć szkolić – powiedziała z przekąsem. – Nie twierdzę, że tych nie należy edukować. Możesz dobiec się do ich głosu rozsądku. Nie twierdzę, że nie będą słuchać, ale ci, którzy mówią najgłośniej, często nie potrafią słuchać. Ja bym zaczęła jeszcze niżej. Bo ktoś tych ludzi tam posadził. Zacznij od społeczeństwa. Od najmłodszych.

[Heri:] Jak tak was słucham, to sobie myślę, że problemem nie jest człowiek, tylko natura.

[Hodie:] To jest głos rozsądku w twoim domu! – Parsknęła śmiechem.

[Heri:] No co nie mam racji? To ona sobie nie radzi z nami, a nie my z nią. Ja to w ogóle uważam, że to całe gadanie to spisak.

[Cras:] No patrz. – Westchnął zrezygnowany. – Jeszcze powiedz, że światowe rządy jednoczą się, aby dokonać depopulacji.

[Heri:] Bo to prawda!

[Cras:] To tylko teoria spiskowa. Bajka dla takich jak ty, co łykają wszystko, tylko nie naukowe fakty.

[Heri:] Kiedyś naukowym faktem było, że Ziemia jest płaska i Słońce krąży wokół Ziemi. I co? Dzisiaj nauka tego się wypiera. Jaką ja mam pewność, że kiedyś i tego się nie wyprzecie, jak znów się wam coś ubzdura. – Rozłożył ręce w pytającym geście.

[Cras:] To się nazywa rozwój i postęp.

[Hodie:] Fakt faktem teorie spiskowe to złoto. – Zaśmiała się. – Pomyślcie, jak łatwo zdegradować nawet najwybitniejszą prawdę jednym sformułowaniem. Od razu przestaje być wiarygodna. To dzisiaj też dotyka nauki.

[Cras:] Tak czy siak człowiek musi odejść od kopalnianych źródeł energii w trybie natychmiastowym. Jak dla mnie od jutra mogliby wszystko zmienić – mówił stanowczo.

[Hodie:] Na przykład? – Uniosła pytająco brew.

[Cras:] Farmy wiatrowe. Idealne rozwiązanie.

[Heri:] Szpeci widok.

[Cras:] Ale prąd daje? I to w czystszy sposób niż twoje elektrownie opalane węglem czy piec, do którego wsadzisz stare buty.

[Heri:] Raz tylko wsadziłem stare kalosze, bo nie wiedziałem, co z nimi zrobić! Przecież wiesz, że ja naszym, czystym, zdrowym drewnem palę – oburzył się.

[Hodie:] A co potem? – Przewróciła oczami, widząc ich miny. – Z wiatrakami. Huk, zabijanie ptaków, nietoperzy, życia w ziemi, bo wibracje odstraszaają wszystko. Są zależne od wiatru, więc jak nie wieje, to nie masz prądu i wracasz do punktu wyjścia. Wyobrażasz sobie, że dostajesz komunikat, teraz prądu nie będzie, bo za słabo wieje? Nie potrafimy też magazynować nadmiaru energii. Sama ich produkcja wymaga energii i tworzywa, którego nie potrafimy jeszcze utylizować, co rodzi kolejne problemy.

[Cras:] Panele fotowoltaiczne – trwał przy swoim.

[Hodie:] Super. Do ich wyprodukowania potrzebne są minerały, które również nie są studnią bez dna. Wydobywa się je, dewastując przy tym środowisko naturalne i często w mało bezpiecznych warunkach. Cały rynek produkcyjny obsługują Chiny, które ściągają surowce z innych miejsc. Chcesz uzależnić gospodarkę światową od jednego kraju? Co w przypadku wojny? Myślisz, że się ludzie dogadają? Wracając. – Machnęła dłonią. – Masz panele. Masz całe połacie terenów, na których je ulokowałeś. To nie były kosmiczne ruiny, tylko miejsca, w których też istniało życie, które trzeba było zlikwidować i pociągnąć całą kosztowną instalację. Myślisz, że lecący nad taką farmą ptak się nie zapali, gdy tysiące luster będzie odbijać promienie.

Mamy ziemską Gwiazdę Śmierci. A potem co? Przecież wszystko ma swoją żywotność. Nie potrafimy obniżyć kosztów, naprawa się nie opłaca. Wyrzucamy to jak stare zabawki, tak by rodzice i oczy kamer tego nie widziały. Afryka jest naszym śmietnikiem. Przecież nikt się nie skarży. Gdzie oni, a gdzie my. Co nas będzie obchodził ich los, jak nam ostatni odcinek serialu w telewizji przepadnie. Jak nie mają czystej wody, to niech butelkowaną piją. Ja tu cierpię, bo mi Marek w *M jak Miłość* dokonuje zdrady.

[Cras:] Energia jądrowa? – dodał już mniej pewnie.

[Hodie:] Kusząca, ale droga i wciąż niepewna. Jak z niej korzystasz, wydaje się być nieinwazyjna, ale każdy błąd zostawia długotrwałe blizny, także na psychice. Dobrze też by było wiedzieć, co zrobić z odpadami. W beczki i do kopalni to krótkotrwałe chowanie syfu. To tak jak goście wpadną, a ty po szafach chowasz cały bałagan. Kiedyś trzeba będzie otworzyć tę szafę albo, co gorsza, sama się otworzy, a my nie będziemy gotowi.

[Cras:] Przecież coś trzeba robić! Nie można przecież trwać w miejscu i czekać na śmierć!

[Hodie:] Problem jest w tym, że ludzie często mają dobre chęci, ale działają po omacku. Jak dzieci. A najgorsze, że my zawsze czegoś chcemy. Za dużo chcemy, a za mało dajemy. Heri wiele mnie nauczył. Widział to, czego ja nie widziałam i nauczył rzeczy, które już się nie wydarzą, oby. Ty, Cras. – zwróciła się do drugiego z mężczyzn – Pokazujesz mi, jak może być. Twój optymizm i pośpiech bywają czasem męczące, jednak masz dobre chęci. Chcesz zmian. Stojąc w miejscu, nigdzie się nie zajdzie. A nawet najgorzej wybrana droga czegoś nas nauczy.

[Heri:] Ta, zawrócić i nie oglądać się za siebie.

[Hodie:] Może... Zawsze się kłócimy, co trzeba zrobić teraz, ale nikt tego nie wie. Nikt o tym nie myślał wczoraj, a jutro już o tym zapomni. Nie da się zbudować domu w jeden dzień bez fundamentów. I dla kogo ma być ten dom? Dla pierwszego planu? Co z aktorami z drugiego, trzeciego, a nawet z czwartego planu? Oni często nawet cegieł nie mają. Życie, ten cały proces nieustannych zmian, to nie promocje w marcecie, gdzie bijemy się o zwłoki karpia. Nie da się zerwać plastra na raz, bez uszkodzenia skóry wokół rany. Rozmawiamy dzisiaj o paliwach kopalnianych, fakt – trzeba od nich odejść, ale nie da się tego zrobić w jeden dzień bez przygotowania. Trzeba zmniejszać ich zużycie, a potem przy dobrych wiatrach zrezygnować całkowicie. Ocieplać domy, częściej wybierać komunikację zbiorową czy własne nogi. Jeść, a nie zreć. Kupować, a nie okupować. Żyć, szanując kogoś jeszcze oprócz siebie.

[Cras:] Ale nie ma na to czasu!

[Hodie:] Czasu nigdy nie było. Zawsze się spieszyliśmy. Szybko się rodziliśmy. Szybko żyliśmy, to i umierać przyjdzie nam szybko. Dla całości zegara nie jesteśmy nawet sekundą. Spiesząc się, popełniamy coraz więcej błędów, które skracają nam i tę sekundę. Upewniliśmy się, że ten problem jest nasz, to znaczy, że musi być rozwiązanie. Zamiast się kłócić, powinniśmy się zebrać i nauczyć się znajdować rozwiązania.

[Cras:] Kupię ci tę kawę i sobie chyba też – zwrócił się po chwili do Heriego.

[Hodie:] Chciałabym, żeby życie było łatwe. Może jest, tylko moja głowa usilnie stwarza problemy, w kółko odgrzewając te same przejadłe kawałki, aby maltretować się na nowo. Jak myślicie? Może jestem masochistką? Zastanawiam się, czy ludzie mają łatwiej albo czy znają bardziej etyczne sposoby radzenia sobie z tą przypadłością niż lobotomia. Bo to nie jest normalne, że my w kółko wałkujemy te same tematy, a one i tak giną pod kolorem majątek Dody.

Od autorki:

heri (łac.) – wczoraj

hodie (łac.) – dziś

cras (łac.) – jutro

Tryptyk inspirowany van Goghiem

Imię

Imię
Otrzymane po dziadku
Musi przylegać do ciała
Jak znoszony sweter
Dużo w nim dziur
I łat złożonych z czyichś pragnień
A może i błędów
I tak miotasz się w życiu
W tych zużytych złudzeniach na lepsze jutro
Jak w za dużym swetrze
Od imienia
Odziedziczonego po dziadku
Gorsze jest tylko imię otrzymane po zmarłym bracie
Dlatego między pociągnięciem pędzla
A zamoczeniem go w farbie
Twoja ręka drży
Jak pauza
Jak wielokropek
Jak ciche westchnienie
Gdybyś był muzykiem
Stworzyłbyś nokturn
Ale zamiast tego
Zagłębiasz się w
Gwiaździstą noc bólu
Może szukasz tam ręki brata

Ucho

Gdy byłeś młody
Ucho
Niczym muszla
Łowiło szum płynącego kanału
Przyjemny szelest wiatru
Głos matki
Wraz z upływem lat
Ucho stawało się nieposłuszne
Zbierało za dużo
Złych wiadomości
Kumulowało dźwięk na szyderstwach
Podwajało ciche podśmiewanie ludzi
W końcu
Zbuntowało się na tyle
Że samo tworzyło dźwięki
Budowało słowa i myśli
Podobno nie twoje –
Nie pomagało jego
Czyszczenie
Ani zatykanie rękoma
Głos przeszedł z ucha
Do mózgu
Do serca
I nie wiedziałeś już
Co jest twoje
A co nie pochodzi od ciebie
Może myślałeś że
Jego odcięcie w czymś pomoże
Dlatego zostawiłeś sobie chociaż jedno ucho
Żeby nie przeoczyć
Mogących nadejść pochwał
Lub bicia dzwonu

Domysły na temat słoneczników

Pewien krytyk miał rację:
Słoneczniki stały w garnku
Wielka sztuka salonów
Brzydzi się bylejakością
Czy nikt nie zauważył światłocienia
Bijącego z ich kwiatów
Ani zgrabnie oddanego przechylenia
Główki pełnej płatków?
Czy pasji w ruchach pędzla?
A słoneczniki
Przybliżały cię do nieboskłonu
Wprowadzały radość
W pochmurny dzień
Jak prywatne słońce
Być może rosły w rodzinnym domu
Być może były bólem zerwanej miłości
Lub radością zwykłego
Letniego popołudnia w Żółtym Domu
Gdy życie pękło
Jak zużyty dzban
Jak nadtłuczone ucho w glinianym garnku
Zostały tylko słoneczniki wspomnień
Opadłe jak umęczone życiem ciało
Nikt nie zauważył światłocienia
W twoim życiu
Tego kontrastu wyborów –
Tylko słoneczniki
Przechyliły główki pełne płatków
Czy przybliżyły się do nieboskłonu?

Design Broadway

Kurzowe paproszki żeglują przez rzeki słonecznych smug, tańcząc na wstęgach papierosowego dymu, z każdym moim oddechem kręcąc bezsensowne piruety na granicy światła i cienia. Byle jak ociosane, zarośnięte czasem sosnowe belki mruczą i jęczą drewnianym językiem. Stodoła gada, opowiadając skrzypiące historie. Siedzę w pierwszym rzędzie zbitej z oheblowanych desek widowni. A rzędów jest sześć, sześć pięter dla gości w moim teatrze, offowej scenie zbudowanej w wiekowej, wyrosłej w gąszczu sosnowego lasu stodole.

Jestem sam. Palę i patrzę na wirujące kurzynki. Wdeptuję tytoniowy popiół w klepisko sceny i wtedy otwierają się małe boczne drzwi. Wchodzą gęsiego. Leżą, jakby każdy ruch sprawiał im okropny wysiłek. Przypominają burfaków z obrazu Repina. Moi aktorzy, zbieranina rodem spod wiejskiego sklepu. Ubrani byle jak, oberwani, zarośnięci, nieuczesani. Krystian, Adam, Marek i Grzegorz członkowie offowej trupy suną pierwsi. Za nimi wloką się Madzia – choreografka, oświetleniowiec i dźwiękowiec w jednym oraz Waldemar scenarzysta, narrator i odjechany dramaturg. Kurzą niemiłosiernie, drapiąc noskami butów klepisko sceny i wlepiają się w ziemię, jakby szukali tam zagubionych podczas ostatniego spektaklu krasnoludków.

– Szefie – zaczyna Waldek. Pewnie strzelił coś na odwadę. – My rezygnujemy – dodaje.

Reszta przytakuje, nie podnosząc wzroku. Wstają. Czas działać.

– Kochani – zaczynam swoje przemówienie – wiem, że wczoraj padło tu zbyt wiele niepotrzebnych słów. Zbyt dużo słów na „k”, na „s”, na „ch”, zbyt dużo złych słów, zbyt dużo złych emocji – przemawiam. Do uszu dochodzą pomruki satysfakcji. – Wyzwałem was od idiotów, kretynów, wszelakiej maści niedorozwojów – kontynuuję. – Przepraszam najmocniej, jak potrafię – mówię dalej i widzę wpatrzonych we mnie dwanaście par ciekawskich oczu. Tego się nie spodziewali. – Dziś mieliśmy grać próbę generalną, ale wiem, co było wczoraj. Ile bólu sprawiły moje wulgarne słowa. – Celowo podnoszę ton, zabarwiając głos lekko płaczącą nutą. – Jeszcze raz przepraszam i obiecuję, że z moich ust nie padnie w waszą stronę już żadna obelga – dodaję drżącym od emocji wokalem. – Proszę was, proszę może po raz ostatni. Zróbmy to razem. Zagrajmy tę sztukę – podsumowuję i teatralnie skrywam twarz w dłoniach.

Zapada tak głęboka cisza, że słyszę, jak nerwowo przetykają ślinę. Przez rozchylone palce widzę, że patrzą po sobie, próbując złapać nić porozumienia. Szepczą cicho. Wygląda to na naradę.

– Dobra, zagramy – odzywa się po chwili Waldek – ale pod warunkiem, że szef nas już nie obraża.

Teraz już jestem na sto procent pewny, że na bank coś dziabnął.

– Gdzieżbym śmiał – odpowiadam.

– Śmiał szef aż za mocno – stwierdzają chórem.

– Zapomnijmy, co było. Mamy nowe otwarcie. Jako ciekawostkę powiem, że sprzedałem wszystkie sześćdziesiąt biletów – ogłaszam i wiem, że mam ich w garści. Coś szemrają między sobą. Są poruszeni. Jeszcze nigdy nie mieliśmy kompletu.

– No to próbujemy. Kochani. Aktorzy na plan! – krzyczę, zachęcając do pracy.

Gramy spektakl martyrologiczno-metafizyczny-patriotyczny o nośnym tytule: PARTYZANCI Z WYRĄ-BANEGO LASU.

– Madziu, zrobisz mi kawki?

– Tak jest, szef, tylko jeszcze sprawdzę światło.

– OK – odpowiadam. Krystian, Adam i Marek powłóczący nogami wkraczają na scenę. Wychodzą z wyimaginowanego lasu. Marek strasznie pociąga nosem. Wręcz groteskowo.

– Stop! – krzyczę. – A tobie co?

– Szef, nic.

– To czego tak kinolem ciągasz?

– Bo ja słyszałem, że partyzanci ze względu na warunki życia cierpieli na zbiorowy niezyt nosa. To trochę podniesie dramaturgię.

Madzia majstruje coś przy lampach.

– Jednak filizankę melisy – mówię w jej kierunku. Potwierdza zamówienie skinieniem. To będzie nerwowy wieczór.

Krystian, Adam i Marek stają wokół Grzegorza. Grzegorz gra piec kaflowy. Skupia wokół siebie całą uwagę. Chyba najlepszy mój aktor, w tej trupie nieudaczników i niedoborów.

– Szef, możemy na słowo? – Grzegorz nagle podchodzi do mnie.

– Co tam?

– Nie chcę być piecem.

– Jak to nie chcesz?

– Niech piec gra Krystian.

– Krystian?! – prawie krzyczę. – Madzia tę melisę to zrób w dużym kubku.

– Zaraz robię – odpowiada, pstrykając światłem raz i drugi.

– Ja chcę być partyzantem – mówi Grzegorz.

– Człowieku, piec kaflowy to majstersztyk tej sztuki! Alegoria tęsknoty za rodzinnym domem, czasami pokoju, marzeniem o normalności! – prawie krzyczę.

– Ale ja tam nic nie mówię. – Grzegorz próbuje jeszcze się stawiać.

– A czy widziałeś piec kaflowy, który mówi?

– No nie.

– Powtarzam, to wielka rola i kluczowa dla sztuki – podsumowuję i klepię go przyjacielsko po plecach.

– Graj, chłopie – dodaję i siadam na widowni.

Wertuję scenariusz.

– I teraz wchodzi Mariola – oznajmiam.

Patrzę na mnie, jakby trafił mnie meteoryt. Fakt, nie widziałem jej na paradzie protestu, ale myślałem, że jest gdzieś obok i tylko ze względu na nasze niejasne relacje z kategorii ocierających się o powiązania damsko-męskie, balansujące na krawędzi stosunku zbliżonego do romansu, nie chce oficjalnie brać udziału w tym buntowniczym wystąpieniu.

– Szef, ale jej nie ma – mówi Waldek, jemu znowu zabrakło się na odwagę.

– Jak to nie ma? – pytam niepewnie.

– No nie ma – odpowiadają chórem.

Chwytam komórkę i naciskam memory fajf na ekranie. Odbiera po trzecim dzwonku.

– A gdzie moja gwiazda?

– Na próbie.

– Ale raczej nie mojej.

– Nie.

– A powiesz coś więcej.

W słuchawce zapada cisza. Słyszę jej oddech i jakieś gwar w tle, chyba rozmowy i dźwięki dyskotekowej muzyki.

– Dostałam rolę – przerywa po chwili milczeniu. – Przeszłam casting do *Figlarnych muszelek 3*.
 – Przecież to porno! – Prawie zatyka mnie ta wiadomość. – Rolę matki partyzantów porzuciłaś dla miłej pornografii! – krzyczę do słuchawki.
 – Tu mnie doceniają! – Teraz i ona odpowiada podniesionym tonem. – I mam długie partie dialogowe – dodaje.
 – Tylko przy tej długości uważaj na migdały! – podsumowuję i naciskam czerwone kółko na ekranie.
 – Madzia, tę melisę to zaparz w dzbanku – zwracam się do pani oświetleniowca, która zmierza do drzwi. – I weźmiesz rolę Marioli! – krzyczę w jej kierunku. Puka się w czoło i wychodzi ze stodoły.
 – Waldek, come on – mówię w stronę scenarzysty.
 Podchodzi. Ma zmierzwiłone włosy, wytrzeszczone oczy i śmierdzi od niego przetrawionym bimbrem. Miałem rację. Raczy się nim w przylegającym do stodoły lesie podczas chwil, jak to nazywa, chwytania za łapy natchnienia. Berbelucha na sześćdziesiąt woltów pozwala złapać za łapy nie tylko natchnienie, ale nawet dinozaura.
 – Co jest, szef?
 – Musimy wywalić ze scenariusza matkę partyzantów – odpowiadam spokojnie.
 – Nie da się – stwierdza Waldek i czka głośno. Odór przerobionego alkoholu o mało nie zrywa mnie na wymioty.
 – Jak to się nie da? – pytam płacząco.
 – No bo nie – podsumowuje i kolejny raz mu się odbija. – Sorry, szef, ale muszę się wyrzygać – dodaje i półbiegiem ze slalomem pędzi w stronę drzwi, taranując wchodzącą z dzbankiem w dłoni Madzię. Melisa znaczy ciemnymi plamami suchą płaszczyznę klepiska.
 – Nożesz! Patrz, jak biegasz, moczymordo! – drze się w stronę lasu, który pochłonął Waldemara. – Szef, zaraz zaparzę kolejną – mówi w moją stronę.
 – Tylko tym razem zrób w wiadrze – puentuję i zastanawiam się, czy moje ubezpieczenie pokrywa długoterminowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym...



Impas

oblędem, koło roweru
wyznacza kierunek
szprychami

chwytam się jednej, niczym brzytwy
czekając na
ten moment

udaje się to
zwykle raz
na średnicę koła

kręcę się nadal (bo naprzód)
mam zawroty głowy

Dopełniaczem kocham

wydarzyłeś mi się
jak czarny kot przemknąłeś
przeze mnie

wygiętym grzbietem
w poprzek

odmieniając
każdym przypadkiem

Twoje linie papilarne echem
za oknem pożar

Cito

gubimy siebie
resztę wydając bilonem
krótkim dniem się sycąc
(dłuższą nocą raczej)

środek cywilizacji
pędzące cyfry na wyświetlaczu
bliskości wyznacznikiem

spotkanie (ust)
na światłach mijania
zaglądających w oczy

pośpiech przechodniów
bezdotykowa myjnia
akumulator pada

Piotr Prusinowski

Czarna emalia

(fragment)

Uśpione drzewa wznoszą się nad promenadą, ochrzczone imieniem, którego Elena za nic nie może sobie przypomnieć. Ich bezlistne konary spowijają całun gęstej, nieprzeniknionej mgły. Choć latarnie o staroświecko zdobionych kloszach emanują intensywnym, wpadającym w pomarańcz blaskiem, to jednak wszystko wokół tonie w mętnym, zielonkawym pobrzasku nadchodzącego zmroku, niczym Atlantyda pogrążająca się w wodzie zanieczyszczonej glonami. Z kłębowiska splątanych krzewów o kolczastych łodygach wyrasta prostopadłościenny cokół, na którym majaczy dostojna postać nieokreślonej płci, obarczona ciałem ze spękane go marmuru. Porośnięta mchem i trawiona grzybem, statua roztacza wokół siebie aurę listopadowego spleenu, jakim sama Elena zdążyła już dawno nasiąknąć.

Wiatr, jakkolwiek mało porywisty, niesie ze sobą odgłosy przejeżdżających samochodów i tramwajów sunących po szynach. Bliskość miejskiego zgiełku wydaje się jednak złudna, gdyż krańca alei wciąż nie widać. Choć Elena zwiększa tempo marszu, to w dalszym ciągu odnosi wrażenie, jakby poruszała się w jednym i tym samym miejscu, jak na elektrycznej bieżni w klubie fitness.

Jej miedziane, z lekka pofalowane włosy, ścięte tuż poniżej linii ramion, wyłaniają się spod beretu z czarnej dzianiny, przyozdobionego metalową plakietką z Laibachowym suprematycznym krzyżem wpisanym w koło zębate. Pod względem kolorystycznym nakrycie głowy pasuje do pozostałych elementów jej dzisiejszej stylizacji: dobrze skrojonej ramoneski z szerokim kołnierzem i asymetrycznym ekspresem, bawełnianych rajstop z fantazyjnym motywem roślinnym oraz butów na średnim obcasie, zapinanych na metalowy suwak. Z różnymi odcieniami dominującej czerni współgra ciemna, militarna zieleń spódnicy o dopasowanym, ołówkowym kroju, sięgającej tuż za kolano. Uszyta z gładkiej, matowej ekoskóry, z tyłu zapięta na kryty, ale dobrze widoczny zamek, opina ciało w sposób, który skłania Elenę do chodzenia drobnymi, choć niekoniecznie wolnymi krokami. Pogłos, z jakim opadłe liście szeleszczą pod jej stopami, stwarza iluzję obecności kogoś, kto za nią podąża, co od czasu do czasu skłania ją do oglądania się za siebie z niepokojem, który w otoczeniu aż nazbyt spokojnym wcale nie musi być całkiem bezpodstawny.

Na horyzoncie można już dostrzec niewyraźny zarys czegoś, co dopiero po dłuższej chwili zaczyna nabierać czytelnych kształtów. W końcu z mglistej zawiesiny wynurza się neogotycka brama o pordzewiałych skrzydłach, udekorowana obliczem wyszczerzonego maskarona, który w przedziwny sposób łączący w sobie cechy dzikiego kota i zimnokrwistego gada. Szerokie kamienne schody prowadzą Elenę w kierunku trotuaru, wyłożonego murszejącymi płytami betonowymi i usianego licznymi kałużami. Chmury fabrycznych wyziewów wzbijają się zza parawanu mniej lub bardziej zapuszczonych kamienic, eklektycznie przemieszanych z o wiele nowszymi, ale jeszcze bardziej zaniedbanymi budynkami o surowej, brutalistycznej formie. Nieliczne w tej okolicy rurki neonów migoczą w paralitycznym rytmie, odzwierciedlając stan funkcjonowania tutejszego sektora handlowo-usługowego.

Wzmóżonej aktywności pojazdów towarzyszy stosunkowo niewielki ruch pieszych. Jedyne pojedyncze ludzkie sylwetki snują się gdzieś w oddali niczym cienie we mgle. Przechodząc na zielonym świetle, dziew-

czyna czuje na sobie spojrzenia kierowców, którzy być może dziwią się, że ktoś jeszcze używa nóg w charakterze środka lokomocji miejskiej. [...]

Elena zatrzymuje wzrok na wystawie niewielkiego sklepu z obuwiem. Zapalając papierosa, posługuje się żarówką zapalniczką o ściankach z chromowanej stali. Jedną z nich ozdobiono wizerunkiem pięciu skrzyżowanych mieczy, przebijających czaszkę wpisaną w heptagram. Specyficzny rodzaj piękna wyraża się w złożonej symetrii, jaka charakteryzuje ów symbol, ewokujący treści i nastroje właściwe muzyce Celtic Frost.

Obłoki dymu o korzennym aromacie sączą się z ust i nozdrzy Eleny, by wkrótce rozpląnąć się w chłodnym, przesyconym wilgocią powietrzu. Zarys jej sylwetki odbija się w szybie, za którą cztery manekiny o kobiecych kształtach, tysiącach głowach i pozbawionych wyrazu twarzach zastygły w bladej, jakby martwej poświacie. Ich garderoba ogranicza się do czarnych lakierowanych butów na niebotycznie wysokiej szpilce, różniących się chyba tylko znakiem firmowym. Oczy tych mlecznobiałych, połyskliwych figur, sklonowanych na taśmie produkcyjnej, pozostają utkwione w jakichś odległych punktach, dostrzegalnych tylko dla istot o ciałach z włókna szklanego.

Nad obumierającymi budynkami góruje stupa wieżowiec, zbudowany na planie sześciokąta. Monumentalny portal wejściowy zwieńczono sztyłem KRISTALLPALAST, świecący intensywnym neonowym różem. W elewacji gmachu, złożonej z tysięcy okien o lustrzanych szybach, miasto może się przejrzeć i wystraszyć swoim własnym widokiem. Wystraszyć albo zachwycić...

Lampki z numerami kolejnych pięter zapalają się i gasną jedna po drugiej, z nieubłaganą koniecznością przybliżając ją do kresu podróży. Metalowe ściany windy pokryto skomplikowanym abstrakcyjnym ornamentem, przypominającym wektorową mapę metropolii. Z lustra w kształcie odwróconego trójkąta spogląda postać, która pod maską chłodu i opanowania próbuje ukryć emocje podszyte napięciem. Choć Elena nigdy nie miała problemów z zachowaniem „pokerowej twarzy”, to jednak ma świadomość, że z jej szarzielonych oczu da się sporo wyczytać. W kompulsywnym geście poprawia fryzurę, wystylizowaną w sposób przywołujący na myśl hollywoodzki glamour lat czterdziestych. Czyni to niemalże odruchowo, bo przecież doskonale widzi, że niczego poprawiać nie musi. To samo dotyczy ust, kształtem przypominających spłaszczone serce. Mimo to na wszelki wypadek jeszcze raz pociąga je karminową szminką, której barwa – intensywna, choć zarazem nieco chłodna – kontrastuje, a zarazem współgra z gładką cerą o jasnym, ale ciepłym, porcelanowym odcieniu. Podobną rolę spełnia lakier w kolorze z pogranicza marsali i klasycznej czerwieni, jakim Elena pomalowała paznokcie.

Dyskretne kolczyki z czarnej emalii i srebra, inkrustowane pojedynczymi cyrkoniami o brylantowym szlifie, tworzą komplet z pierścionkiem na środkowym palcu jej lewej dłoni. Ozdobiony ośmioma kryształkami, które osadzono w wąskim prostokącie ze stali chirurgicznej, ten element biżuterii jest niezwykle przyjemny w dotyku. Decyduje o tym charakter materiału, z jakiego został wykonany. Twarda, gładka i lśniąca, emalia ma tę niewątpliwą zaletę, że łączy subtelną estetykę z zadziwiającą odpornością na urazy mechaniczne i niesprzyjające warunki atmosferyczne. [...]

Czytelnia jednego wiersza

Z Józefem Baranem rozmawia Mirosława Szott

Album

jest to żywy album
lubię go przeglądać
szczególnie w jesienne niedziele
przy świetle słońca
przerzucam wzrokiem
te połówki strony
rodzinne

jak przewracane kartki
szeleszczą zasuszone liście sadu

tak to właśnie ten sad ta droga polna
rzeka i niebo
pozowały mi do dzieciństwa
a raczej odwrotnie
to ja przez moment im pozowałem

w tych stronach moja pamięć
zachowuje się niczym podstarzała ciotka w okularach
pokazując rodzinne fotografie*

* J. Baran, *Album*, [w:] tegoż, *Nasze najszczęśliwsze rozmowy*, Kraków 1974, s. 15.

N
b
l
i
z
e
n
i
a

Mirosława Szott: Chyba jesteś trochę zaskoczony wyborem wiersza? *Album* to jeden z moich ulubionych utworów z twojego debiutanckiego tomiku *Nasze najszczęśliwsze rozmowy* (Wydawnictwo Literackie, 1974). Nigdy go nie przedrukowywałeś w wyborach wierszy, prawda?

Józef Baran: Rzeczywiście, nie przypominam sobie, żebym go przedrukował do któregoś wyboru wierszy, a było ich z siedem. Ten wiersz nie wydawał mi się na tyle ważki.

Zacznę może od puenty. Spodobała mi się ta podstarzała ciotka (wszyscy takie mamy!), która zapewne nie zwraca uwagi na ziewanie innych i opowiada. Dociera do każdego szczegółu z fotografii i każdego nazwiska. Tłumaczy, kto z kim i jak długo.

Tak, masz rację, to punkt programu niekoniecznie tylko u podstarzałych ciotek, bo i młode mamy pokazują swoje pocieszki i pociechy na fotografiach i ich wzrastanie z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc – jest to równie nudne dla kogoś postronnego, nawet jeśli jest z najbliższej rodziny, a co dopiero, gdy nie jest... Oczywiście zdarzają się, ale bardzo rzadko, właścicielki albo właściciele takich albumów, którzy są obdarzeni talentem gawędziarskim, ale oni poważnie nie muszą się posiłkować fotografiami i pomijają te kiedyś ważne, a dziś dla słuchającego nieistotne szczegóły „kto z kim i jak długo?”.

Ty jesteś typem opowiadacza? Piszesz i wydajesz też dzienniki; niedługo w PIW-ie ukaże się kolejny tom, będący wyborem z poprzednich oraz poszerzony o najnowsze zapiski.

Nigdy nie byłem dobrym gawędziarzem. Stosowałem raczej skróty, kondensację. Chociaż moja poezja z tego tomiku po 50 latach od wydania może dawać złudzenie właśnie owej ciotki, która opowiada o świecie, którego już nie ma, co może nudzić bądź nic nie obchodzić współczesnego czytelnika. Reprezentujesz inne pokolenie, inne myślenie o literaturze i świecie, nie pochodzisz z rodziny chłopskiej ani

ze wsi, nie znasz realiów tamtej mojej Arkadii. Jak ci się czyta ten tomik?

Mam problem z odpowiedzią na to pytanie, bo... lubię oglądać albumy i słuchać podstarzałych ciotek. A na bazarach przeglądam stare zdjęcia, choć oderwały się one już od swoich właścicieli (Jacek Dehnel zainspirował mnie swoim *Fotoplastikonem* i zbieram zdjęcia nieustannie). Twój debiutancki tomik jest z pewnością cały takim albumem z czasu dzieciństwa i znakiem żegnania tego dzieciństwa. Tylko że dotykasz w nim jakiejś części wspólnej, ogólnoludzkiej. Każdy pochodzi z jakiejś małej wspólnoty. Każdy ma jakieś zapachy dzieciństwa i obrazy rodziców. I nawet jeśli są inne – to docierasz do źródła. Tomik był wydany w latach 70. XX wieku, ale to bez znaczenia, bo jest uniwersalny.

Ktoś kiedyś powiedział mi – zdaje się, że Jerzy Harasymowicz – że bohaterem moich wierszy z pierwszego tomiku jest czas. Nie dał się zwieść folklorowi, kolorystowi, dzieciństwu.

Jeśli czas był głównym bohaterem tego tomiku, jak twierdził Harasymowicz, to zdecydowanie przeszły. Teraz jest go mniej w twojej poezji. Zresztą czas dla wiejskiego dziecka był kolisty, odmierzany porami roku, cyklami przyrody (w *Albumie* są jesienne niedziele, szeleszczące zasuszone liście sadu). W twoim najnowszym tomiku pt. *Jaśń*, który przygotowujesz, najwięcej odnajdzie się teraźniejszości, skupienia na chwili obecnej. I to jest jasny czas. Czy dałam się oszukać?

Nie wiem, trudno mi na siebie i moje wiersze spojrzeć z zewnątrz, choćby twoimi oczami. Kiedyś miałem przed sobą ogromną przestrzeń czasową do zagospodarowania przez wyobraźnię poetycką, teraz – pozostały mi chwile, drążę więc w chwili. Moją obsesją jako poety, ale również dziennikarza publicysty zajmującego się nie tylko tematyką kulturalną, bo piszącego też reportaż dla tygodnika, było takie pisanie, które by miało szansę przetrwać swój czas, tzn. zawierało w środku, w ośrodku coś ponadczasowe-

go. Niektóre z tych tekstów przetrwały i poszerzone znalazły się w obszernej książce eseistyczno-wywiadowej *Tragarze wyobraźni*. Żeby z chwili bieżącej ocalić chwilę wieczną, która jest w niej ukryta. W poezji nie umiałem utożsamiać się z moimi rówieśnikami z Nowej Fali tworzącymi program „tu i teraz” i wjeżdżającymi do literatury na koniku polityki.

Jakim programem się kierowałeś?

Niepisany programem „teraz i zawsze”.

Jak to pogodzić? To niemal przeciwieństwa. Chociaż mamy coś takiego jak *coincidentia oppositorum*.

To bardzo trudne, jednak każdy rasowy artysta chyba do tego dąży, by swoją sztuką przeciwstawić się nieuchronnemu przemijaniu, korozji czasu, pożarowi czasu, który trawi wszystko, co było żywą bieżączką. Chodziło mi o to, żeby pisać tak o chwili bieżącej, by było to żywe i aktualne dla czytelnika za lat 50 czy 100. Widziałem w swoim liczącym ponad pół wieku życiu literackim, jak modni, wynoszeni w swoim czasie na ołtarze, nagradzani i okrzyknięci przez recenzentów odkryciami sezonu gwiazdorzy młodej literatury kurczyli się, znikali ze sceny, a ich utwory ulegały właśnie tej korozji czasowej. Co ciekawe, najszybciej podlegali starzeniu się i przemijaniu poeci i prozaicy modni – moda najszybciej się starzeje; całą plejadę prozaików wypromował kiedyś w „*Twórczości*” w latach 80. krytyk skądinąd wybitny Henryk Bereza! Tylko niektórzy z nich coś dziś znaczą. Podobnie działo się z głośnymi w swoim czasie debiutantami, np. z tymi, których pasował na „młodych wieszczów” krytyk pracowity i zasłużony, ale może zbyt łagodny Karol Maliszewski. Historia literatury jest cmentarzyskiem wielu pogrzebanych nadziei.

Dziś w poezji też są różne mody. Na przykład ekologia, queer, wiejskość, szamanizm, cybernetyka. Pojawia się czasem koniunktura na coś – np. pisanie o rzekach. Raz jest fraza długa, rozciągnięta na całą stronę, innym razem – zwięzła

i krótka, raz są uwielbiane przerzutnie, innych razem – nie ma po nich śladu.

„Mam to nieszczęście”, że żyję długo i obserwo- wałem wiele; nie jest mnie łatwo zwieść. Tylko nie- którzy potrafili tak pisać, by ich dzieła miały walor ponadczasowy. Przy czym trzeba pamiętać, że nie chodzi mi o „neoklasyków” tworzących często pięk- ne, ale puste wydumski.

O jaką ponadczasowość ci chodzi w takim razie?

Utwór powinien wyrastać ze swojego czasu, z chwili, z konkretnego, ale powinien się też unosić wy- soko w czasie uniwersalnym. Świat dawnej wsi – ce- pów, kosi i lampy naftowej – opisywany w moim pierwszym tomiku zapadł się, ale mam nadzieję, że został jakoś tam przetworzony w moich wierszach w baśń poetycką i dalej jest żywy, bo przecież poezja nie jest tylko mimetycznym odbiciem rzeczywisto- ści jeden do jednego. Często bywa marzeniem – jak powinno być w idealnym świecie poety. Uczucia rod- zinne, klimaty domowe zawsze mogą być żywe. Ale czy tak jest, czy ten pierwszy arkadyjski okres mojej twórczości dalej działa na wyobraźnię czytel- nika – tego nie jestem pewien, ba, nie miałbym po- jęcia, gdyby nie Facebook. Otóż zdarza mi się, że publikuję na Facebooku wiersz sprzed 50 lat, mam dużo polubień, a ktoś daje wpis: „No, teraz pan pisze świetne, dużo lepsze wiersze niż kiedyś!”.

(*śmiech*) Niezły komplement! Miałeś 27 lat, kiedy ukazał się twój debiut. Domyślam się, że ten poetycki powrót do rodzinnych stron był spowodowany m.in. tym, że nie mieszkałeś już wtedy w Borzęcinie. To musiały być wiel- kie emocje.

Z domu wyjechałem, mając 13 lat, a na wyda- nie *Naszych najszczęśliwszych rozmów* czekałem chy- ba cztery lata (mimo świetnych recenzji wewnątrz- nych Wiesława Pawła Szymańskiego i Ewy Lipskiej). Nigdy już potem nie przeżywałem podobnych emo- cji. Ja też lubię ten tomik, bo ma w sobie coś „dzie-

wiczego”, ta „dziewiczność” czy „prawiczność” została potem zgwałcona, że się tak brzydko wyrażę, przez świadomość warsztatową nabywaną z latami. A tu – jeszcze niewinność, świeżość, pewna uroczą naiwność i pewien rodzaj szczerości. Mitologizacja dzieciństwa, domu rodzinnego, Arkadii etc. współgrała z ówczesnymi klimatami w literaturze – z prozą Nowaka, Myśliwskiego, Kawalca, Redlińskiego. Trochę na inny sposób Harasymowicza... Oni przygotowali grunt pod moje wejście do literatury czy np. mojego rówieśnika i przyjaciela, Adama Ziemiannina, też prowincjusza, bo chłopaka z górskiej Muszyny. Odkrywanie poezji w tym, co najbliższe, rodzime, spotykało się wtedy z dużym wzięciem. Dla porównania po 1989 roku następuje odwrót od rodzimości i importowanie wszystkiego, co przynosił świat, nie tylko w poezji i prozie, także w muzyce, w malarstwie, w filmie też sporo szmiry, tandety i kiczu. Jak wiadomo ze Słowackiego są okresy, gdy chętnie bywamy pawiem i papugą. Ba, szczycimy się tym. Ale ja startowałem w innym okresie i cieszę się, że tak było i że trafiłem wówczas na swoją ścieżkę poetycką, skromną, ale własną. Dziś po wielu latach doświadczeń życiowych i przekopanych lekturach, mogę sobie już pozwolić na filozofowanie, uogólnianie, abstrahowanie, co czynię często-gęsto w dziennikach, ale też np. w tomie *W wieku odłotowym* (2020), który otrzymał czytelniczną nagrodę Orfeusza w Praniu.

Czytałam tekst Artura Sandauera w „Literaturze” z 1976 roku o twoim debiucie. Podkreślił w ostatnim zdaniu, że masz cenny kunszt trafiania bezpośredni do ludzkich serc (on też trafił z tą diagnozą).

Artur Sandauer mówił też o tym tomiku w „Pegazie” telewizyjnym, chwalili go ówcześni znani krytycy: Jerzy Kwiatkowski, Zbigniew Bieńkowski, Ryszard Matuszewski, Iwona Smolka etc. Tomik otrzymał Nagrodę im. Andrzeja Bursy. To się bardzo przydaje na jakimś etapie twórczości, dowartościowuje. Ale teraz wiem, że zawsze chciałem, żeby moja poezja trafiała bezpośrednio do czytelniczek i czytelników. Ich odbiór interesuje mnie najbardziej.

Wysoko postawili ci poprzeczkę krytycy. Ale zdaje się, że nie zablokowało cię to, bo za dwa lata opublikowany został twój kolejny tomik. Jerzy Kwiatkowski zauważył, że najczęstszym chwytem twojej poezji jest „trafnie dobrana i sugestywnie przeprowadzona przez cały wiersz metafora, która – bardziej lub mniej zaskakująco – odpowszechnia jeden z fragmentów wiejskiego świata, będącego jednocześnie światem dzieciństwa bohatera tych wierszy”. W wierszu *Album* świetnie rozwijasz metaforę do samego końca. Ale często też rozróżniasz małe i duże metafory, ceniąc wyżej te drugie.

Stanisław Barańczak napisał bardzo dobrą recenzję wewnętrzną tomu *Na tyłach świata*, dzięki czemu ukazał się on w krakowskim Wydawnictwie Literackim w 1977 roku. Ale przestrzegał mnie przed małymi dekoracyjnymi metaforami à la Gałczyński czy Harasymowicz, twierdząc, że moją siłą jest duża metafora zawarta w koncepcie, w konstrukcji wiersza (poważnie potraktowałem też uwagę Ewy Lipskiej, żeby nie nadużywać przenośni dopełniaczowej). Miał swoją rację, zapamiętałem ją na całe późniejsze lata, jednak nie do końca w nią uwierzyłem. Uważam, że małe metaforiki też powinny być doszlifowane i piękne na choince wiersza. Wiersz ma świecić. Oczywiście nie zawsze; czasem przemawia ciemną głębią, ostrą prostotą. Nie ma jednej recepty, decyduje intuicja poety.

To kto komu pozował? Krajobraz twojemu dzieciństwu czy odwrotnie? Jak teraz na to patrzysz?

Kiedy przyjeżdżam na moją wieś, większość znajomych mieszka już na cmentarzu w Borzęcinie. Ja jeszcze przez chwilę będę pozował. Nie będzie nas, będzie las – jest takie trywialne powiedzenie. Jesteśmy jako osoby przejściowi. W Krakowie, gdzie mieszkam od pół wieku, stały jest Wawel, Kościół Mariacki, ludzie jako turyści są przejściowi, zmieniają się. Mury pozostają. Pozostaje też pieśń Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary* śpiewana w kościele. Ludzie nawet nie wie-

dzą, że ona ma prawie 500 lat. Jest dalej żywa. I o to chodzi w poezji. Ale co zostanie z poety, co zostanie z poezji współczesnej, co przetrwa ze sztuki XX czy XXI wieku – tego nie potrafimy przewidzieć. Każdy poeta jednak marzy, żeby ocalić kawałek swojego świata, żeby jego poezja go przeżyła i żeby nie było jak w *Makbecie* Szekspira:

Życie jest tylko przechodnim pójściem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie
W nicość przepada – powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nieznaczącą.

Perspektywa nihilistyczna jest może łatwiejsza do przyjęcia?

Poetyckie operowanie pojęciami, uogólnieniami może przerodzić się w późnym wieku poety w rezonerstwo, w pesymistyczne marudzenie, że „wszystko to marność i pogoń za wiatrem”, więc w najnowszym tomiku uciekam, może dla przekory, bo jestem człowiekiem przekornym – jak słusznie zauważyłaś – w chwilę, w epifanię, a nawet w pogodne zauroczenie chwilą. Słowem – próbuję dzieciennieć, tym bardziej, że za chwilę zacznę jako starzec naprawdę dzieciennieć (*śmiech*). Jednak Kochamy życie, przekazujemy je dalej w sztafecie pokoleń, jest na tyle atrakcyjne, że nas wciąga i pociąga swoją urodą, swoim urokiem, kusi, nęci. Instykt życia jest niesamowicie mocny. Niektórym samo życie wystarcza, niektórym (np. poetom) nie wystarcza i tworzą „wydanie drugie, poprawione”.

Ładnie to ująłeś. Dziękuję za rozmowę.



fot. Mirosława Szott

Konkurs na interpretację wiersza Mieczysława J. Warszawskiego

W 2025 roku przypada 10. rocznica śmierci Mieczysława J. Warszawskiego, ważnego poety i prozaika związanego z Ziemią Lubuską (głównie Laskami Odrzańskimi i Zieloną Górą), który debiutował wierszem *Krzyż* w 1967 roku w „Nadodrze”. Publikował m.in. w „Akancie”, „Autografie”, „Pro Libris”, „Twórczości”, „Życiu Literackim”. Był autorem kilkunastu tomików wierszy oraz zbiorów opowiadań. Dwukrotnie otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki.

Czyniąc wiersz Warszawskiego pt. *Obieranie jabłka* tematem tegorocznego Konkursu, chcieliśmy uczcić pamięć o poecie i sprawić, że jego twórczość dotrze w różne miejsca Polski. Patrząc na rekordową liczbę zgłoszeń (128), mamy nadzieję, że tak się stało. Cieszymy się też, że rodzina poety tak życzliwie zareagowała na naszą inicjatywę – Henryk Warszawski (brat) ufundował nagrodę główną. Nasz Konkurs też wsparła finansowo Wanda Rudkowska.

W posiedzeniu uczestniczyli: dr Anna Naplocha, Patrycja Mierzejewska, Andrzej Warszawski i dr Mirosława Szott – jako koordynatorka Konkursu (bez prawa głosu). Spotkanie odbyło się online na platformie GoogleMeet.

Przyznane nagrody:

- I miejsce – Gaja Fijałkowska (Łódź)
- II miejsce – Julia Mickiewicz (Warszawa)

Przyznane wyróżnienia (równorzędne):

- Marcin Głowa (Mysłowice)
- Magdalena Wijatkowska (Nowa Sól)
- Iza Uroda (Piaseczno)

Poza Konkursem wyróżniony został też wiersz Mikołaja Talarczyka (Poznań). W dalszej części prezentujemy Państwu fragmenty nagrodzonych i wyróżnionych tekstów.

Obieranie jabłka

Ewie

Niebo coraz niżej,
coraz mniej sadu

i ani zerwane wprost
z jabłonki, ani spadziowe,
nieważne też czy to
papierówka, czy malinówka,
a być może złota
reneta, intryguje
mnie przede wszystkim
tylko twój portret
i jakby na paterze
podana martwa nasza
natura, i stąd to
obieranie jabłka;

tak się właśnie
poprzez słodycz miąższu
albo cierpką kwasotę
do pestki skłaniasz,
odkrawając skórkę

2005



Konkurs na interpretację wiersza Mieczysława J. Warszawskiego

Regulamin na stronie www.biblioteka.zgora.pl

NOR
WID

Pro liter-



Lubuskie
Biblioteki

f t v y h
www.biblioteka.zgora.pl
informacja@biblioteka.zgora.pl
www.facebook.com/biblioteka.zgora

Idea wydestylowana z treści poetyckiego doznania

Przez całe życie związany z Laskami Odrzańskimi i lubuskim środowiskiem twórczym, Warszawski-empirysta pisał o tym, co sam przeżywał, podejmując tematykę pracy w polu, domowego rytmu życia, wsi, wiary i nieuchronnego przemijania. Jego wiersze, choć pozbawione społeczno-politycznego zaangażowania, są głęboko zakorzenione w konkretnym „tu i teraz” – miejscach, rzeczach i ludziach mu bliskich. W dorobku poetyckim autora *Obieranie jabłka* wyróżnia się jako utwór oszczędny w wyrazie, lecz głęboki w treści: to wiersz refleksyjny, skupiony na przemijaniu i duchowej istocie codziennych czynności. Autor, wywodzący się z kręgu tzw. Nowej Prywatności – literackiego pokolenia skupionego na indywidualnym doświadczeniu i introspekcji – czerpie przy tym z własnej biografii oraz otaczającego go świata.

Wiersz dedykowany Ewie można odczytywać jako liryczny portret matki poety – Anastazji. Jednak nie zamyka się on w osobistej dedykacji. Poprzez imię Ewa otwiera się uniwersalna przestrzeń kobiecości, macierzyństwa i pierwotnego związku człowieka z naturą. W tym kontekście pojawiają się bardzo wyrażne odniesienia biblijne – do Ewy z Księgi Rodzaju, pierwszej kobiety, która wraz z Adamem została wypędzona z Raju. Z Raju, czyli właśnie z sadu – Ogrodu Eden. Świadomie połączone zostają tu dwie figury: Ewa-biblijna i Ewa-kobieta – realna osoba, ale obdarzona symboliką pramatki. W tym świetle gest obierania jabłka zyskuje wymiar rytualny i symboliczny – niczym echo dawnego grzechu i nieustannego odkrywania prawdy o ludzkiej kondycji.

Rozpoczynające wiersz wersy „Niebo coraz niżej, / coraz mniej sadu” otwierają wizję kurczącą się rzeczywistości. Zmniejszająca się przestrzeń, ograniczane światło i malejący sad to znaki przemijania, nadchodzącej śmierci. To także powracający motyw w innych jego późniejszych utworach, jak np. w wierszu *W moim sadzie*.

Podmiot liryczny, niczym malarz słowa, w kolejnych strofach przygląda się jednemu detalowi – jabłku. Wymienia jego odmiany – papierówkę, malinówkę, złotą renetę, czym sugeruje osobisty związek z sadownictwem. Warszawski przy tym operuje językiem z pogranicza liryki i plastyki. Jego styl – przejrzysty i precyzyjny niczym fotograficzny kadr – sprawia, że wiersz nabiera cech quasi-ekfrazy: można wręcz odnieść wrażenie, że kobieta pochyłona nad owocem została zatrzymana w czasie. Z kolei sam akt obierania jabłka staje się dla podmiotu lirycznego czynnością niemal metafizyczną: poprzez miąższ, jego słodycz i kwasotę, dociera do pestki, czyli do samego sedna istnienia – do prawdy o człowieku.

Na wzór różewiczowski Warszawski stosuje oszczędny wiersz wolny, w którym język potoczny – pełen prostoty i codziennych sformułowań – zostaje zestawiony z bardziej stylizowanymi konstrukcjami. Wielokrotnie rozbijana przerzutniami forma wnosi lekko przekorny ton, zachowując przy tym powagę i duchową głębię utworu. Mimo że podmiot liryczny nie wyraża wprost emocji, poprzez opisany obraz i dobór słów daje się odczuć wielką miłość do kobiety przedstawionej w wierszu. Choć to

kobieta zwyczajna, która wykonuje swoją codzienną, pozornie nieistotną pracę – to jednak ten wykonywany przez nią prosty gest zostaje wyniesiony do rangi aktu symbolicznego: wyrazu człowieczeństwa, troski i duchowej esencji bytu.

Z drugiej strony można odczytać ten wiersz jako próbę dotarcia do istoty ludzkiej egzystencji poprzez miejsce, gest, przedmiot. Nie ma tu bowiem wielkich idei ani zbiorowych narracji. Jest za to osobiste świadectwo życia zanurzone w wiejskiej codzienności i kontekście religijnym – w świecie, którego centrum wyznacza parafia, pory roku, praca i trwanie. U podstaw tej poezji leży bowiem afirmacja rzeczywistości, w której życie ludzkie nieustannie dobiega kresu. W tym sensie utwór dotyka egzystencjalnych pytań o śmierć i sens istnienia – pokazując jednocze-

śnie, że to, co najważniejsze, objawia się w tym, co najprostsze.

„Obieranie jabłka” to zatem nie tylko zapis chwili, lecz także głęboka kontemplacja życia – z całym jego smakiem: słodyczą, cierpkością, a w końcu pustką pestki. Poeta, podobnie jak kobieta obierająca owoc, dociera do „wnętrza” i istoty rzeczywistości – skromnie, bez patosu, ale z poczuciem, że nawet najprostszy gest może być aktem poznania i duchowego doświadczenia. W tle tej prostej sceny nieustannie rozgrywa się dramat przemijania: sad się kurczy, niebo obniza, światło gaśnie. I w tym wszystkim Warszawski, z czułością i spokojem, zdaje się szeptać: *panta rhei* – wszystko płynie, wszystko jest nietrwałe, a życie człowieka nieubłagane przemija.



Leszek Frey Witkowski, „osad poetycki” do wiersza Mieczysława J. Warszawskiego *Obieranie jabłka*

Pozwolić się obrać

Wiersz *Obieranie jabłka* Mieczysława J. Warszawskiego to nie tylko obraz codziennej czynności, ale także subtelna medytacja nad bliskością, intymnością i tym, co dzieje się, gdy pragniemy dotrzeć do sedna drugiego człowieka. Choć oparty na obrazie jabłka – owocu tak zwykłego, że niemal przezroczystego w swojej symbolice – tekst ten sięga głębiej, stając się metaforą poznania, miłości i odśłaniania prawdy.

Już sam tytuł sugeruje gest: obieranie, zdejmowanie czegoś z powierzchni. Warstwa po warstwie. To jabłko nie zostaje ugryzione ani przekrojone, ale właśnie obrane – z żużli, powoli, z namysłem. Jakby autor wiedział, że prawda nie leży na wierzchu. I że nie da się jej zdobyć przemocą. Trzeba podejść z szacunkiem.

Wiersz dedykowany jest Ewie – imię to nieprzypadkowo przywodzi na myśl biblijną Ewę i rajski owoc poznania. Ale tu nie chodzi o grzech. Tylko o miłość. Taką, która nie zatrzymuje się na tym, co powierzchowne. Taką, która chce poznać do końca. Nawet jeśli po drodze napotka cierpkość albo ból.

Autentyczność człowieka odśłania się dopiero wtedy, gdy dotkniemy jego wnętrza, nawet jeśli to wnętrze czasem boli. Bo to, co prawdziwe, rzadko bywa gładkie i wygodne. Pod delikatną skórką – jak pod skórką jabłka – oprócz słodczy kryje się także cierpkość, ślady dawnych zranień, zapach wspomnień, lęki i żużli. Zbliżenie się do tej esencji drugiego człowieka to akt największej intymno-

ści – ryzykowny, bo można dotknąć czegoś kruche- go. Ale właśnie tam, gdzie jest ból, zaczyna się głęboka prawda. Nie ta, którą pokazujemy światu, lecz ta, która szeptem mówi: „oto jestem”. I być może to właśnie ona najbardziej zasługuje na miłość.

Martwa natura, choć pozornie nieruchoma i zamknięta w swojej formie, w tym wierszu zyskuje nowe życie. Staje się metaforą relacji, która zatrzymała się w czasie. Jabłko na paterze to może już nie owoc miłości, lecz jej wspomnienie – piękne, ale nie- tknięte. Obieranie go to próba ponownego zbliżenia się do tego, co było kiedyś żywe. To gest pełen żużli, skupienia i zadumy, jakby poprzez ten codzienny rytuał chciało się na nowo dotrzeć do sedna: do miąższu uczuć, które być może nadal istnieją pod skórką obojętności. Martwa natura w tym świetle to nie tyle znak końca, co zawieszenia – moment, w którym można jeszcze wszystko przemyśleć, zanim pestki zostaną odrzucone lub zasiane na nowo.

„Obieranie jabłka” to więc cały proces. To podróż – przez smak, dotyk, zapach i wspomnienia – do najgłębszego punktu bycia razem. Do pestki. Do rdzenia. Do tego, co zostaje, gdy już wszystko inne zostanie zdjęte.

To wiersz o zaufaniu. O gotowości, by pozwolić się obrać. I o odwadze, by obierać drugiego człowieka z jego masek. Nie po to, by go ocenić, ale by naprawdę go zobaczyć. Może właśnie taka jest istota miłości: widzieć do końca i nie odwracać wzroku.

Docieranie do prawdy

Wiersz *Obieranie jabłka* Mieczysława J. Warszawskiego, choć na pierwszy rzut oka opisuje prostą czynność, ujawnia przy uważniejszym odczytaniu bogactwo metafor i egzystencjalnych odniesień. To subtelna, ale niezwykle gęsta znaczeniowo medytacja nad relacją dwojga ludzi, nad czasem, który przemija, oraz nad próbą uchwycenia sensu poprzez najbardziej codzienne gesty.

Centralnym symbolem jest jabłko – owoc silnie zakorzeniony w kulturze, religii i literaturze. Jego obecność przywołuje biblijną historię Ewy i grzechu pierwotnego. W kontekście dedykacji „Ewie” może to wskazywać na osobistą historię – być może partnerki, kobiety będącej inspiracją, ale też symboliczną „inicjatorką” duchowego przebudzenia. Autor jednak nie moralizuje; jabłko przestaje być zakazanym owocem, a staje się narzędziem introspekcji, czymś, co pozwala dotknąć głębi emocji i doświadczenia.

Obieranie jabłka, gest czuły i codzienny, zyskuje w utworze wymiar intymnego rytuału. Skupienie na tej czynności ujawnia potrzebę zrozumienia drugiej osoby – nie powierzchownie, ale poprzez cierpliwe docieranie do jej wnętrza. Warstwy jabłka – skórka, miąższ, pestka – odzwierciedlają etapy tego procesu. Skórka to fasada, pozór. Miąższ to to, co codzienne, cielesne, zmysłowe. Pestka – ukryta w środku – może być zarówno gorzką prawdą, jak i ziarnem przyszłości.

Tym samym jabłko staje się także metaforą miłości – związku, który przechodzi przez różne fazy: początkowy zachwyty, słodycz bliskości, aż po konfrontację z tym, co trudne, bolesne, często przemilczane. Czy związek przetrwa tę konfrontację?

A może „pestka” to już tylko martwy środek – obraz końca, ale i nadziei na nowy początek?

W tym świetle szczególnego znaczenia nabierają wersy: „coraz mniej sadu” i „niebo coraz niżej”. Obraz zanikającego ogrodu i opadającego nieba staje się sugestywną wizją schyłku. To nie tylko koniec relacji, ale też przemijanie jako takie – może starość, może żaloba, może egzystencjalne wypalenie. To świat, w którym owoce już nie dojrzewają, a wszystko, co żywe, ulega zatrzymaniu.

Ten klimat potęguje motyw „martwej natury” i „portretu”. Portret – zastygła, niematerialna obecność – przywołuje nie tylko pamięć ukochanej osoby, ale także doświadczenie nieobecności. Martwa natura to coś, co zostało utrwalone, ale już nie żyje – jak relacja, która przeszła w fazę wspomnienia. Emocje, choć intensywne, są zatrzymane, „podane na paterze” jak eksponat – coś pięknego, ale bez życia.

Choć Warszawski posługuje się prostym językiem, jest to poezja nasycona ciszą, niedopowiedzeniem i głęboką emocjonalnością. Nie znajdziemy tu wielkich słów, lecz właśnie dzięki tej powściągliwości wiersz staje się jeszcze bardziej przejmujący. Obieranie jabłka nie jest tu opisem fizycznym – to zapis wewnętrznej wędrówki, kontemplacji, próby uchwycenia tego, co ulotne.

Ostatecznie *Obieranie jabłka* to poetycka próba dotarcia do prawdy – o sobie, o drugiej osobie, o przemijaniu. To utwór o tym, że nawet najprostszy gest może być lustrem całego życia, a jabłko – symbolem raj utraconego, z którego wszyscy zostaliśmy wygnani.

Pamięć ciała

Zdarza się, że pewien smak, zapach albo dotyk budzi w nas wspomnienie intensywniej niż słowo. Nie pamiętamy sytuacji – pamiętamy ciało, które w niej było. Skóra przypomina sobie chłód nocy, język – cierpkość pierwszego pocałunku, dłonie – ciężar jabłka, które wtedy podała. Wiersz *Obieranie jabłka* Mieczysława J. Warszawskiego wydaje się być właśnie takim wspomnieniem – nie intelektualnym, nie linearnym, ale cielesnym. To powrót do kobiety i relacji przez gest, smak i dotyk. I choć w tle majaczy archetyp Ewy, a jabłko kusi symboliką od stworzenia świata, to tym razem nie chodzi o grzech. Chodzi o pamięć – tę, którą nosi nie głowa, ale ręka.

Już pierwsze wersy wprowadzają nas w atmosferę zanikania: „Niebo coraz niżej,/ coraz mniej sadu”. Świat się kurczy – nie dosłownie, ale w wymiarze dostrzegalnym dla kogoś, kto czuje, że pamięć przestaje sięgać tak daleko, jak kiedyś. Niebo jako to, co wzniosłe, duchowe, odległe, zbliża się do człowieka – może po to, by go pochłoniąć, może po to, by przypomnieć, że wszystko ostatecznie staje się ziemią. Sad – przestrzeń dojrzewania, życia i rozkwitu – znika. Zostaje pojedyncze jabłko. Reszta jest wspomnieniem.

To jabłko nie ma już nazwy. Może to papierówka, może malinówka, może złota reneta – ale żadna z tych odmian nie zostaje rozpoznana. To nieistotne. Tak jak w neuronauce emocji – mózg nie musi pamiętać nazwy, by przypomnieć sobie uczucie. Smak aktywuje nie słowo, lecz przeżycie. Wspomnienie zapisuje się nie w opisie, ale w sieci zmysłowych impulsów. Dla bohatera wiersza jabłko jest tylko bramą do tego, co naprawdę istotne: „intryguje/ mnie przede wszystkim/ tylko twój portret”. I to właśnie tu zaczyna się obieranie nie owocu, lecz relacji.

Wiersz Warszawskiego można czytać jako próbę dotarcia do najgłębszej warstwy wspomnienia poprzez powtarzanie gestu. Obieranie jabłka to przecież ruch codzienny, mechaniczny, ale i intymny. W kontekście tego wiersza – niemal erotyczny. „Tak się właśnie/ poprzez słodycz miąższu/ albo cierpką kwasotę/ do pestki skłaniasz” – mówi podmiot liryczny. Nie jest to obiektywna obserwacja. To głęboko osobiste doświadczenie, w którym ciało zapamiętuje emocje lepiej niż pamięć logiczna. Jakby dłonie nadal pamiętały jej obecność, nawet jeśli reszta dawno ją zapomniała.

W neuronauce coraz częściej mówi się o tzw. pamięci somatycznej – czyli takiej, którą przechowują nasze mięśnie, nerwy, reakcje fizjologiczne. To ona sprawia, że słysząc zapomnianą melodię, czujemy ścisk w gardle, choć nie wiemy, dlaczego. To ona podpowiada palcom, jak trzymać dłoń ukochanej osoby, choć nie widzieliśmy jej od lat. I to ona – w wierszu – każe sięgać po nóż i jabłko. To nie tylko symbol. To akt przywoływania, performans pamięci. Obierając, podmiot nie tylko wspomina kobietę. On ją odtworza. Jakby każdy pasek skórki był fragmentem rozmowy, ciała, spojrzenia.

Obraz „martwej natury” również zyskuje tu nowe znaczenie. „Jakby na paterze/ podana martwa nasza/ natura” – pisze Warszawski. Czy to martwa natura w sensie malarskim – zatrzymany moment, przedstawiony estetycznie i bez ruchu? A może martwa – bo relacja już nie żyje? Albo natura – ta instynktowna, cielesna, która teraz istnieje tylko jako ekspozycja, już nie w pełni realna, ale nadal fascynująca? Bohater wiersza nie analizuje, nie żąda – on patrzy. I obiera. Rytualnie. Jakby ten gest mógł przywrócić coś, czego nie da się odzyskać inaczej.

Wspomnienie kobiety staje się wspomnieniem smaku, tekstury, kwaśności. Nie potrzeba dialogów, nie potrzeba scen – wystarczy cierpkość. Wystarczy, że język przypomni sobie smak, który kiedyś należał do niej. W tym sensie jabłko jest jak medium – jak organiczny nośnik pamięci ciała. Pestka zaś – to esencja, jądro wspomnienia. Może nieprzydatna, może niejadalna, ale niezbędna, by jabłko było całością. I tak samo – może bolesna, ale nie do usunięcia – jest pamięć o kimś, kogo ciało pamięta lepiej niż rozum.

Ostatni wers – „odkrawając skórkę” – zostaje samotny, jak gest w pustym pokoju. Jest cichy, ale precyzyjny. Nie ma tu emocjonalnego wybuchu, nie ma patosu. Jest tylko ten ruch – znajomy, domowy, niemal bezwiedny. Ale w tym właśnie tkwi siła zakończenia. To nie słowa mają ostateczne znaczenie – to gest. Pamięć ciała nie krzyczy – ale nie daje o sobie zapomnieć. Można zapomnieć imię, adres, twarz. Ale nie sposób zapomnieć, jak się kogoś obierało z warstw – aż do środka, aż do pestki. Bo niektóre wspomnienia są ukryte głębiej niż język.



Leszek Frey Witkowski, „osad poetycki” do wiersza Mieczysława J. Warszawskiego *Obieranie jabłka*

Do pestki skłania się pragnienie. Psychoanalityczna wariacja na temat wiersza *Obieranie jabłka*

Mówi Mieczysław J. Warszawski, leżąc na kozetce.

Nie wiem, który z panów zacząłby zadawać pytania. Podejrzewam, że pan, doktorze Freud, wołałby zacząć od matki. A pan, doktorze Jung, od archetypu. Ale zanim wsadzicie mnie między swoją teorię libido a Ciebie, pozwólcie, że powiem wam wiersz. Tak, z pamięci. Taki mam zwyczaj. Kiedy nie potrafię czegoś wyjaśnić – recytuję:

Niebo coraz niżej,
coraz mniej sadu
i ani zerwane wprost
z jabłkonki, ani spadziowe...

To nie jabłko mnie wtedy interesowało, panowie. Wcale nie owoc, nie botanikę wspomnień uprawiałem. Ja tylko chciałem zrozumieć Ewę. Tamtą. Wszystkie. Może właśnie dlatego je obierałem. Cienko, powoli, jakby każde okrążenie skórki miało zedrzyć jeszcze jedną warstwę milczenia, jaką nakładają na kobietę wieki kultury i prywatnych rozczarowań.

I tak, Freudzie – miał pan rację. Jabłko w moim wierszu jest pełne popędu. Nie erotycznego jednak, ale poznawczego. Ja nie chciałem jej rozebrać – ja chciałem ją zrozumieć. Rozłożyć na czynniki pierwsze, jak esej. Jak zdanie z dwuznaczną składnią.

A że Ewa? Nazwałem ją Ewa, bo każde jabłko niesie grzech. Ale nie grzech, który karze. Grzech, który tłumaczy. Grzech bycia sobą – bez masek, bez skórek. Bo przecież, panowie, najgłębsze rzeczy zawsze są pod spodem. Pod ciałem, pod słowem, pod historią.

Nieważne też, czy to
papierówka, czy malinówka,
a być może złota
reneta [...]

Wymieniam je, jakby miało to znaczenie, ale tylko po to, by pokazać, że nie ma znaczenia. Kobieta nie jest odmianą, nie da się jej sklasyfikować. Ani jej pamięci. Ani wspomnienia o niej. A przecież wspomnienie to jedyna rzecz, jaką miewamy naprawdę.

Dlatego właśnie, doktorze Jung, mówi pan o archetypach. Ale dla mnie portret Ewy – ten z wiersza – nie jest archetypem. To projekcja. Obraz tak przefiltrowany przez moją pamięć, że ona już dawno przestała być sobą. Stała się mną. Moją potrzebą rozumienia. Moją winą. Moim cichym pragnieniem, by ktoś – choć raz – pozwolił mi zdjąć skórkę z prawdy.

I jakby na paterze
podana martwa nasza
natura...

Zatrzymałem ją, panowie. W bezruchu. W nieruchomym geście martwej natury. Nie dlatego, że chciałem ją zaszufłdkować – ale dlatego, że się bałem. Że jeśli się poruszy, odejdzie. A jeśli zostanie – zrani. Tak więc kładę jabłko na paterze. Niech sobie leży. Niech będzie wspomnieniem, nie kobietą. Obiekt można obierać. Człowieka – nie.

Poprzez słodycz miąższu
albo cierpką kwasotę
do pestki skłaniasz...

A tu już, panie Freud, wchodzimy w teren śliski. Cierpkość, słodycz, pestka. Och, wiem, co pan powie: oralna faza rozwoju, ambiwalencja emocji, trauma dzieciństwa. Ale niech pan posłucha jeszcze jednej interpretacji: miąższ to wspomnienia. Czasem słodkie, czasem cierpkie. A pestka? Pestka to to, czego nie mogłem wtedy powiedzieć. Co zostało we mnie – twarde, zamknięte.

I obierając, zbliżam się do niej. Nie po to, żeby ją połączyć. Ale po to, żeby ją zobaczyć. Bo każdy człowiek – panowie, i to mówię z doświadczenia emigranta, eseisty i człowieka dwóch ojczyzn – składa się z warstw. I nikt nie jest tym, czym się wydaje. I tylko niektórzy pozwalają się obrać.

Więc kiedy pytacie mnie, kim była Ewa – odpowiem: była pretekstem. Pretekstem, by zobaczyć siebie.

Mikołaj Talarczyk

Obieranie jabłka

w odpowiedzi Mieczysławowi J. Warszawskiemu

Chodziłoby zatem o pestkę
zarodek z bielmem w łupinie

o to, co się wykluje,
niezmacone urośnie
i ukaże w całej roślinie,
odmian tysiąca, pod
niebem niezachodzących
słońc, bo życie to pestka,
życie da się larwą cydii
wywrócić na nice,
da się gawronim dziobem
roztrwonić, albo odkroić
się da martwoty miejsce –

nie wiemy, co w nas zmięśniej,
a co drewnem się stanie
i jak nam zapachnie
kwiat sprzed lat

Kutno – miasto wczesnej młodości Anny Tokarskiej

Postanowiłam jechać do Kutna właściwie z jednego powodu: nie byłam pewna daty śmierci Anny Tokarskiej ani tego, czy została rzeczywiście pochowana na cmentarzu w Kutnie. Grobonet o jej obecności na Cmentarzu Parafii św. Wawrzyńca w Kutnie milczy, choć są tam pochowani jej rodzice (Elżbieta i Roman Goździalscy) i prawdopodobnie babcia (Stanisława Goździalska). Minęło 12 lat od śmierci poetki i trudno uwierzyć, że nikt tego wcześniej nie zweryfikował. Autorka *Portretu z ptakiem* stała się po śmierci patronką Festiwalu Literackiego „Proza Poetów”, a jej twórczość jest odczytywana ciągle na nowo.

Nieprecyzyjne daty rzadko zdarzają się w XXI wieku. Zwłaszcza kiedy ktoś nie jest anonimowy. Jednak Zielona Góra o śmierci Tokarskiej została poinformowana przez jej syna po kilku dniach od odejścia. Nikt z jej przyjaciół nie miał szansy być na pogrzebie. Wszelkie źródła internetowe podają więc błędną datę 28 października; na moją prośbę dodano w Wikipedii prawidłową datę śmierci (obok drugiego wariantu).

*

Wybieram na tę czterogodzinną podróż pociągami zimny, kwietniowy dzień. Na tyle zimny, że jadę w najcieplejszej kurtce. Na dworcu łapię taksówkę, pan z podbitym okiem nie wzbudza zaufania, ale szybko przełamuje dystans i pyta, po co przyjechałam. Najpierw mówię mu, że chciałam sprawdzić, co miał na myśli Tuwim, pisząc w wierszu „Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym od razu/ Osiadłbym jesienią w Kutnie lub Sieradzu”. A to nie wszystko – dorzuca pan – „O Kutno! O Kutno!/ wyprałóś mnie z uczuć jak płótno”. Zna pani? To Jeremi Przybora – dodaje, widząc w lusterku mój niepewny wzrok. W końcu wyjaśniam mu powód. Kierowca żywo interesuje się wątkiem zielonogórsko-kutnowskiej poetki. Wybieram adres „Warszawskie Przedmieście 22”, bo to jedyny ślad, który znalazłam w filmie dokumentalnym z 2018 roku *Nieparzysta. Opowieść o Annie Tokarskiej**. Wsiadam z taksówki i zupełnie bez mapy rozglądam się po ulicy. Zaczyna padać śnieg. Jedna pani nie wpuszcza mnie, bo wyglądam, jakbym coś sprzedawała albo zbierała na chore dzieci. Dzwonię znowu, aż otwiera okno i pozwala mi dokończyć pytanie; Goździalscy nigdy tu nie mieszkali – słyszę. Trafiam na podwórko bardzo starej kamienicy z czerwonej cegły (to przecież był pruski zabór). Nie ma w okolicy nic, co wyglądałoby na starsze. Na podwórku dwóch panów 60+ rąbie drewno. Jeden z nich mówi, że żona wróci niedługo z zakupów i może ona będzie coś wiedzieć. Ojciec Tokarskiej zmarł w 1983 roku, więc jest szansa, że będzie pamiętał. Kręcę się po pobliskich uliczkach, śnieg zamienia się w deszcz. Po pół godzinie wracam i zastaję kobietę, która jednak nie kojarzy nazwiska „Goździalscy”. Mnóstwo kamienic zostało wyburzonych, ale też zmianie uległa numeracja domów – tłumaczy

* *Nieparzysta. Opowieść o Annie Tokarskiej* [film], koordynator projektu Robert Rudiak, scenariusz Anna Klaudel i Maciej Klaudel, montaż Justyna Poniatowska, Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”, Zielona Góra 2018.

To ważna dla mnie informacja. Dopiero teraz, wychodząc z podwórka kamienicy, widzę po drugiej stronie ulicy niebieską kapliczkę z Matką Boską.

Następne punkty to: Muzeum Regionalne w Ratuszu, Biblioteka w Kutnie, Kutnowski Dom Kultury i na koniec Cmentarz Parafii św. Wawrzyńca. Na szczęście wszystko wydaje się blisko w tym 40-tysięcznym miasteczku. Idę pieszo, bo deszcz przestał padać (ale wiatr nie zwolnił), mijam mnóstwo lumpeksów. Po raz pierwszy też zauważam małe krzaczki róż. Nie jest to przypadek – Święto Róż organizowane jest we wrześniu w Kutnie od 50 lat.

Mimo dobrych chęci w Muzeum oraz Kutnowskim Domu Kultury nie znajduję odpowiedzi. Zostawiam tomik dla nieobecnej Oli Kołodziejek, z którą rozmawiam wieczorem przez telefon, a którą parę tygodni później poznaję bezpośrednio na Festiwalu Silesius we Wrocławiu. Trafiam jednak do miejsca szczególniego – Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej im. Stefana Żeromskiego. Jedną z pań prowadzi mnie od razu do pana Andrzeja Olewnika, starszego kustosza, z którym natychmiast łapię kontakt przez kresowy temat – od 1996 roku jest członkiem Związku Sybiraków, a moja babcia była przesiedlona z okolic Wilna, co trochę słyhać w melodii mojego głosu. Siedzimy i rozmawiamy dłużej niż godzinę. Opowiadam temu wnikliwemu regionaliście o najważniejszej zielonogórskiej poetce, która wiele lat spędziła w Kutnie (wyjechała dopiero na studia). Chyba nikt tu o niej nie słyszał, więc czuję głęboką satysfakcję, że zdradzam takie rewelacje. Daję panu Andrzejowi tomik Anny, zapisuję mu kilka faktów z jej życia na ostatniej stronie. Pan Andrzej obiecuje, że rozejrzy się po archiwach, parafialnych dokumentach. Ufam mu od razu, a w drodze powrotnej będę czytać w internecie jego biogram: nauczyciel, kronikarz parafialny, działacz Solidarności, kolporter podziemnych wydawnictw w latach 80. XX w., współredaktor podziemnego pisma. Nie mogłam trafić lepiej.

Zostaje mi ostatni i najważniejszy punkt wycieczki: cmentarz. Kupuję mały znicz i zapałki. Sektor 23, rząd 1, numer grobu 76. Trafiam bez problemu. Jest mała tabliczka z nazwiskiem Anna Tokarska. Data śmierci: 12.10.2013. Przedziwny to jest dla mnie moment. Jakiegoś wewnętrznego spokoju. Czyli tu jest pochowana Anna – jak zresztą zapewniał mnie Jarosław, jej syn (w co nie do końca wierzyłam). Zauważam, że pali się znicz, więc ktoś tu niedawno był. Pierwszą osobą, której wysyłam zdjęcie grobu, jest pan Andrzej. Po paru tygodniach odzywa się z nowymi informacjami o Annie. W esemesie wysyła zdjęcia akt z archiwum. Dzwonię do niego, proponuję mu, żeby ze mną napisał ten artykuł. I – wykorzystując jego otwartość – podsuwam jeszcze jeden interesujący trop: szkoły. W tym czasie zabieram stare drzwi od mieszkania Anny (zdeponowane w piwnicy Biblioteki Norwida). Odtąd leżą w moim garażu, bo mam na nie swój plan. Poniżej relacja pana Andrzeja.



Tablica nagrobna Anny Tokarskiej na Kutnowskim Cmentarzu Parafialnym Fot. Andrzej Olewnik

Kutnowski okres życia Anny Goździalskiej

Kiedy chodzimy od lat po znanych uliczkach swego miasta, zwykle nie zastanawiamy się, co w tych miejscach działo się przed laty, kto w mijanych właśnie kamieniczkach ongiś mieszkał, kim był... Ot, takie życie... w biegu... Ale przecież „wczoraj też było”.

No właśnie – słowa te zostały nieśmiało wypowiedziane tu w Kutnie kilkadziesiąt lat temu przez jedną z uczennic Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Dąbrowskiego i są ważne. Ale zacznę od początku.

Tak, w kwietniowy dzień pierwszy raz usłyszałem o Annie Tokarskiej z Zielonej Góry. No właśnie – z dalekiej Zielonej Góry, ale nie tylko, bo też z Łodzi i oczywiście i z Kutna – jak opowiadała mi w mojej bibliotece Mirosława Szott... z Zielonej Góry (i też nie tylko).

„Kutnowską” część tej opowieści po krótkim czasie zacząłem uzupełniać i ja. Stąd właśnie późniejsze moje odwiedziny m.in. w Archiwum Państwowym w Płocku Oddział w Kutnie, I LO czy spacerów po miejscach bliskich Annie Goździalskiej, po mężu Tokarskiej. To wreszcie rozmowy z wielkimi już – niestety – licealnymi koleżankami i kolegami.

I tak zapełniał się obraz patronki zielonogórskiego Festiwalu Literackiego organizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Cypriana Norwida w tymże mieście.

Nie jest to jeszcze historia rodziny do końca poznana, ale może z czasem...

Rodzina Anny Goździalskiej-Tokarskiej, co już wiemy, przybyła do Kutna ze Zgierza, na przełomie września i października 1935 r. Jedyna córka Elżbiety i Romana – Anna Elżbieta urodziła się 17 lutego 1936 r. w Łodzi.

W linii męskiej (po mieczu) Goździalscy wywodzili się z obecnego województwa kujawsko-pomorskiego, z okolic Włocławka. Ojciec Anny urodził się 17 lipca 1904 r. w miejscowości Czerniewice parafii Grabkowo (obecnie gmina Choceń, powiat Włocławek).

W Kutnie Roman Goździalski był handlowcem w składzie żelaza starego. Z kolei matka Elżbieta w rubryce „zawód” podawała – przy mężu. Rodzina często zmieniała miejsce zamieszkania – w samym Kutnie także.

Do połowy 1940 r. był to dom przy ulicy Mickiewicza 70 na terenie byłej osady fabrycznej cukrowni „Konstancja”. Do zmiany miejsca zamieszkania rodzina zmuszona została, kiedy niemieckie władze okupacyjne miasta (a trwała już przecież II wojna światowa i Kutno przyłączone zostało do Kraju Warty III Rzeszy) rozpoczęły przygotowania do tworzenia na tym terenie getta dla kutnowskich Żydów. Sam budynek do naszych czasów nie przetrwał, dzisiaj na tym miejscu jest plac.

Po wysiedleniu Anna z rodziną zamieszkała w budynku przy ulicy Sowińskiego 3/3 (choć według innych źródeł przenieśli się tam jeszcze przed wybuchem wojny). Rodzina przebywała pod tym adresem do sierpnia 1940 r., kiedy została kolejny raz zmuszona opuścić mieszkanie. Od tego czasu zameldowani byli w budynku przy ulicy Warszawskiej Przedmieście 22/12, ale mieszkali kątem także u przyjaciół, gdy 25 sierpnia 1942 r. aresztowany został ojciec Anny, a majątek rodziny okupanci zarekwirowali.



Teren byłej cukrowni Konstancja (w czasie II wojny światowej getta), na którym stał dom – miejsce zamieszkania Anny Goździalskiej z rodziną po przybyciu ze Zgierza (Kutno, ul. Mickiewicza 70)

Fot. Andrzej Olewnik



Budynek przy ulicy Sowińskiego 3, w którym w czasie II wojny światowej mieszkała Anna Goździalska z rodziną. Kutno 2025

fort. Andrzej Olewnik



Kutno, ul. Warszawskie Przedmieście 22. Miejsce, gdzie stał dom, w którym mieszkała Anna Goździalska z rodziną w czasie II wojny światowej

Fot. Andrzej Olewnik



Dom przy ulicy Matejki 2 (obecnie Łęczycka 5), w którym mieszkała Anna Goździalska z rodziną w czasie nauki w Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym im. H. Dąbrowskiego w Kutnie

Fot. Andrzej Olewnik

Roman Goździalski wojnę przeżył. Po aresztowaniu przez 11 miesięcy przebywał w więzieniu, skąd na kolejny miesiąc trafił do męskiego Rozszerzonego Więzienia Policyjnego dla mieszkańców Kraju Warty łamiących okupacyjne prawo niemieckie w Łodzi-Radogoszczy. Stąd został wywieziony do nazistowskiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz. W obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej, w ekstremalnie mroźnych warunkach wraz ze współwięźniami ewakuowany został w „marszu śmierci” do Konzentrationslager Mauthausen w Austrii, gdzie po pięciu miesiącach doczekał wyzwolenia przez armię amerykańską. Do Kutna powrócił po 10 lipca 1945 r., po odbyciu przymusowej kwarantanny. W Kutnie Roman Goździalski ponownie zajął się prowadzeniem składu żelaza.

Początki były bardzo trudne. Nie było bowiem żadnej szansy na odzyskanie zarekwirowanego przez Niemców mienia lub nawet jego części czy równowartości, aby móc ponownie uruchomić działalność.

Zgodnie ze zgłoszeniem szkód wojennych przyjętym przez Łódzki Urząd Wojewódzki w sierpniu 1945 r., rodzina w czasie wojny utraciła m.in.: samochód osobowy Ford, meble, radio, maszynę do szycia i opał. W składzie żelaza odnotowany został brak 30 ton kutego żelaza. Niebawem zresztą skład został upaństwowiony. Rodzina wówczas zamieszkała w budynku przy ulicy Matejki 2.

Anna po zakończeniu działań wojennych zapisana została do szkoły podstawowej. Do roku 1948 ukończyła jej siedem klas i z rokiem szkolnym 1948/1949 przyjęta została do klasy VIII utworzonej na wzór sowieckiej jedenastoletniej Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Dąbrowskiego przy ulicy Kościuszki w Kutnie. Placówka miała bardzo dobrą kadrę pedagogiczną, była świetnie wyposażona – posiadała 16 sal wykładowych, salę gimnastyczną, świetlicę, dwie szatnie, gabinet fizyczny, chemiczny, pracownię biologiczną, bibliotekę, gabinet lekarski, jadalnię, kuchnię i internat żeński i męski.

Jej wychowawcą został Józef Mierzwiński, Kresowiak, żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, Sybirak, a po powrocie do kraju wieloletni nauczyciel szkół kutnowskich i dyrektor II LO. Annę Goździalską uczył przedmiotu nauka o konstytucji.

Liceum Anna Goździalska ukończyła zdaniem egzaminu maturalnego 27 maja 1953 r. przed Państwową Komisją Egzaminacyjną z następujących przedmiotów: język polski, historia, nauka o konstytucji, matematyka i fizyka. Po ukończeniu szkoły w 1956 r. wyjechała do Łodzi i jeszcze w tymże samym roku do Zielonej Góry.



Fotografia maturzystów Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. H. Dąbrowskiego w Kutnie – rok szkolny 1952/53
Zbiory I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego



Maturzystki rocznik 1953. Zbiory Kazimierza Ciążeli



Uczniowie Szkoły Podstawowej i Liceum Dąbrowskiego w Kutnie na wycieczce, 1952 r. Zbiory Kazimierza Ciążeli



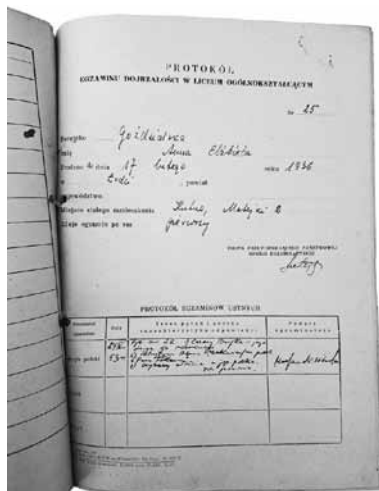
Dawny budynek I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego – szkołę, którą w 1953 r. ukończyła Anna Goździńska

Zbiory MiPBP w Kutnie



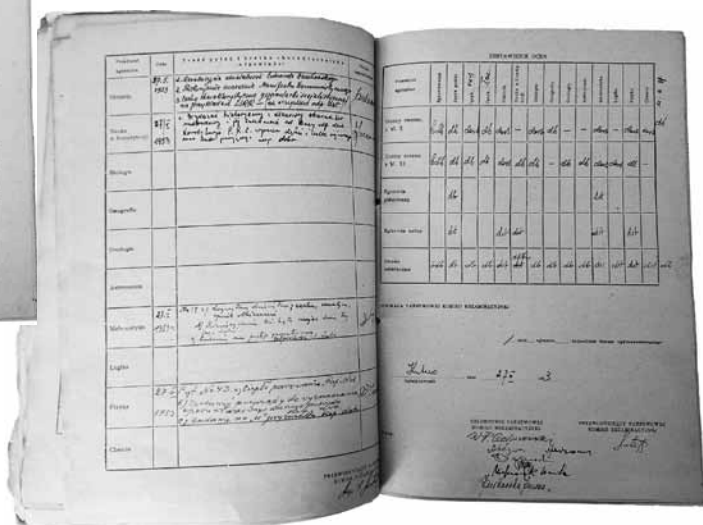
Zespół Szkół Nr 2, do XII 1965 r. I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego – szkoła, którą w 1953 r. ukończyła Anna Goździńska. Kutno 2025

Fot. Andrzej Olewnik



Protokół egzaminu dojrzałości w Liceum Ogólnokształcącym Nr 25 Anny Goździńskiej z 27.05.1953 r., strona 1

Zbiory I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego



Protokół egzaminu dojrzałości w Liceum Ogólnokształcącym Nr 25 Anny Goździńskiej z 27.05.1953 r., strona 2-3

Zbiory I LO im. gen. J.H. Dąbrowskiego

Po trudach życia, w 2013 r., na zawsze spoczęła w Kutnie, w rodzinnym grobie razem z babcią i rodzicami. Teraz, dzięki Mirosławie Szott, po latach zapomnienia pamięć o Annie Goździalskiej-Tokarskiej powróciła i do Kutna. Przecież „wczoraj też było” – to oczywiście słowa Anny, które przypomniała sobie w rozmowie ze mną jej szkolna koleżanka.



Grób rodziny Goździalskich na Kutnowskim Cmentarzu Parafialnym (sektor 23, rząd 1, grób 76) Fot. Andrzej Olewnik

Źródła (wybór):

Archiwum Państwowe w Płocku Oddział w Kutnie

- Akta miasta Kutna sygn. 212. Księga kontroli ruchu ludności miasto Kutno Tom I 1935 r., k. 54.
- Akta miasta Kutna sygn. 213. Księga kontroli ruchu ludności miasto Kutno 1936 r., k. 25.
- Akta miasta Kutna sygn. 223. Spisy wyborców z 1939 r.
- Liceum Ogólnokształcące im. gen. J.H. Dąbrowskiego w Kutnie zespół 51/264/0. Arkusz ocen Anny Goździalskiej sygn. 73, k. 40.
- Starostwo Powiatowe w Kutnie 1945-1950 sygn. 15. Kwestionariusz dotyczący szkód wojennych k. 123-125.

I Liceum Ogólnokształcące im. gen. J.H. Dąbrowskiego w Kutnie. Muzeum szkolne

- Kronika Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. H. Dąbrowskiego w Kutnie. Absolwenci rok 1952/53, k. 47.

I Liceum Ogólnokształcące im. gen. J.H. Dąbrowskiego w Kutnie. Archiwum zakładowe

- Protokół egzaminu dojrzałości w Liceum Ogólnokształcącym. Rok 1953. Protokół nr 25 Anny Goździalskiej.

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. S. Żeromskiego w Kutnie

- Wachnik Bronisław, Zarys historii Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego imienia H. Dąbrowskiego w Kutnie. Przebojem. Jednodniówka jubileuszowa, 1958, s. 7-16.

Ewa Mielczarek

Święto literackie w Kargowej



Kargowa od 26 lat honoruje pamięć Eugeniusza Paukszty, powieściopisarza i publicysty, związanego w latach 50 i 60. ub. wieku z Regionem Kozła. Paukszta pisał cenione przez czytelników i krytyków powieści współczesne, historyczne, także opowiadania i powieści dla młodzieży. Poruszał problematykę Ziemi Północnych i Zachodnich, koncentrując się na powojennej integracji, polskości, problemach młodego pokolenia. Był rzecznikiem małych ojczyzn.

Paukszta zmarł w 1979 roku, ale kargowskie władze – poprzez lokalne instytucje kultury – do dziś propagują idee szerzone przez autora, organizując

różnorodne przedsięwzięcia: literackie, plastyczne, historyczne. Najważniejszym z nich jest organizowany od 26 lat Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszty pod hasłem „Mała ojczyzna – pogranicza kultur”. Co roku prozaicy z całego kraju nadsyłają prace, będące literacką interpretacją maksymy zawartej w tytule konkursu. Wciąż przybywa liczba chętnych, którzy próbują swych sił w pisarskich potyczkach organizowanych przez Kargową.

W ostatni piątek września odbywa się uroczysta gala konkursu, podczas której – oprócz programu merytoryczno-artystycznego – zostają ogło-

szeni zwycięzcy. W tym roku podsumowanie odbyło się 26 września, w nowoczesnym wnętrzu Biblioteki Publicznej im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej, z udziałem władz samorządowych i licznie zgromadzonej publiczności. Ponadto wystąpili syn patrona konkursu, prof. Dominik Paukszta oraz poeta, krytyk i recenzent, Jerzy Benjamin Zimny. Kulminacyjnym punktem programu było ogłoszenie wyników konkursu. Jury, pod przewodnictwem Alfreda Siateckiego, przyznało następujące nagrody: I miejsce i nagrodę w wysokości 2500 zł otrzymała Alicja Laszkiewicz z Wrocławia za pracę *Ul pod trzema chorągwiemi*; II miejsce i nagrodę w wysokości 1500 zł przyznano Annie Piliszewskiej z Wieliczki za pracę *Pod lodem*, III miejscem i nagrodą w wysokości 1000 zł uhonorowano Andżelikę Aleksandrę Pasik z Siedlec za pracę *Nad rzeką, gdzie śpiewają dwa języki*. Ponadto przyznano dwa wyróżnienia w wysokości po 500 zł, dla Sławka Nicińskiego

z Warszawy za pracę *Most nad Ilanką* oraz dla Tomasza Dalasińskiego z Brzozówki za pracę: *Egzorcyzmy Luśki Tkacz*.

Trio muzyczne „To my” z Lubuska uświetniło artystycznym koncertem tę ważną dla regionu imprezę. Całość przedsięwzięcia sfinansował Urząd Miasta w Kargowej. Za organizację odpowiadały: Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej pod przewodnictwem Magdaleny Mauer, Mediateka Światowid oraz Gminne Centrum Kultury w Kargowej. Ponadto partnerami 26. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukszty były Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze oraz Stowarzyszenie Gmin RP i Region Kozła. Patronat medialny konkursu przyjęły: „Gazeta Lubuska”, Tygodnik Nadobrzeński „Na Temat” oraz TVP 3 Gorzów Wielkopolski.



Prezentacje

Jakub Bitka aka BIKO

Urodził się w 1978 roku, w Zielonej Górze. W 2002 roku ukończył studia malarskie na Uniwersytecie Zielonogórskim. Graffiti zajął się w 1998 roku. Dwa lata później zafascynował go muralizm. Brał udział w wielu jamach, w tym Meeting of Styles w Lublinie, a także w „Fight or Die” w Nowej Soli. Sam także organizuje różnorodne imprezy artystyczne, w tym coroczny graffiti Jam w Zielonej Górze, który nieprzerwanie odbywa się od ośmiu lat. Ostatnia wystawa Jakuba Bitki odbyła się w Freedom Gallery w Szczecinie. W roku 2023 założył fundację „Kolabo”, która wspiera kulturę, promuje działania kolektywne. Obecnie eksperymentuje z malowaniem obrazów, murali i graffiti, łącząc ekspresję i abstrakcję. Realizuje projekty zarówno na ulicy, jak i w zleceniach komercyjnych.

Linki:

www.eistudio.pl

www.instagram.com/bikoartinsta

[www.facebook.com/jakub bitka](https://www.facebook.com/jakubbitka)







Skórzewo, SP nr 1 im. Fryderyka Chopina



Mural fotokatalityczny, Biblioteka Miejska w Luboniu



Nowa Sól, budynek u zbiegu ul. Głowackiego i Wojska Polskiego



Przylep, ogrodowa dekoracja antycznie-nowoczesna



Gorzów Wielkopolski, mural na zbiorniku wodnym w parku przemysłowym



Zielona Góra, zbiorniki na wodę na Wzgórzu Braniborskim (projekt Cztery Żywyoty)

Naturalna forma komunikacji ze światem

Z Jakubem Biko Bitką rozmawia Ewa Mielczarek

Ewa Mielczarek: Jesteś już bardzo rozpoznawalnym artystą. Nie tylko w Zielonej Górze. Tę popularność przyniosły realizacje w postaci potężnych murali, które stały się swoistą mapą orientacyjną miasta. Znam ludzi, którzy umawiają się na spotkania przy „Rodowicz”, „Dudziak”, „Myślicielu” albo przy „Czterech Żywiołach”. Kiedy zrodził się pomysł na uprawianie wielkoformatowej sztuki malarskiej w przestrzeni publicznej?

Jakub Biko Bitka: Zawsze fascynowała mnie możliwość tworzenia dużych rzeczy przez człowieka. Pamiętam do dziś, że mając – zapewne – parę lat widziałem w telewizji, jak odbywało się rzeźbienie portretów prezydentów amerykańskich w skale. Nie wiem, czy to przez ten widok, czy po prostu instynktownie chciałem zmieniać świat wokół przez tworzenie. Pomysł z malarstwem wielkoformatowym ma swoje korzenie w graffiti. Jako młodzienc miałem wymalowane ściany w pokoju. Potem bez pytania malowałem na ścianach na osiedlu – był to wyraz mojego buntu czy po prostu chęci bycia kimś innym w szarej postpeerelowskiej rzeczywistości. Z czasem takie działanie z farbą, w publicznej przestrzeni, stało się naturalną formą komunikacji ze światem.

Zajmujesz się także malarstwem sztalugowym. Podczas tegorocznej wystawy w Galerii Focus Mall prezentowałaś ekspozycję *Biko – Obrazy nie ściany*. Opowiedz o niej.

Ta przestrzeń ekspozycyjna w galerii handlowej to taki eksperyment spod szyldu Sztukarty.pl, czyli

internetowej galerii malarstwa, którą stworzył Łukasz Chwałek. Oprócz moich i jego obrazów są tam też prace Jacka Milewskiego. W trójkę staramy się nakręcić takie niezależne przedsięwzięcie, gdzie artyści tworzący streetart mogą pokazać i sprzedawać swoje prace. W tej galerii odbyła się też moja indywidualna wystawa. Obrazy, które tam prezentowałem, powstały na przestrzeni ostatnich trzech lat, w nielicznych przerwach między tworzeniem murali. Są one dla mnie ważnym dowodem na to, że mogę eksplorować swoją własną ekspresję, intymność z dziełem po latach tworzenia murali, często na zamówienie. Nie są to płótna bardzo komercyjne, często zawierają pierwiastek mojego cienia, ukazują podświadome tajemnice i przypadkowe osobiste odkrycia, wynikają z czystej potrzeby tworzenia.

Tworząc wielkoformatowe dzieła na budynkach miejskich, upubliczniasz proces tworczy w sposób dosłowny. Już sam akt tworzenia dzieje się niejako na oczach przechodniów, obserwatorów. Gotowe dzieło jest dostępne dla każdego, kto znajdzie się w jego bliskości. Długo trwało, nim oswoiłeś się z tym odczuciem, czy też od początku nie miałeś z tym problemu?

Tworzenie na oczach przechodniów nigdy nie było dla mnie problemem. Za to wgląd w to, jak dzieło będzie oddziaływać i czym ma emanować, to już inne zagadnienie. Musiałem przekroczyć swoje obawy, zaufać procesowi. Mówi się, że sztuka to osvajanie się z nieznanym, tajemnicą. Ja nabrałem pewności dość szybko, jeśli chodzi o technikę, ale potrzebowałem oparcia wynikającego z dojrzewania osobi-

stej koncepcji tworzenia. Malując bardziej klasycznie, na przykład robiąc szkic, potem podmalówkę, potem nakładając kolejne kolory, nie czułem, że zostawiam widzowi i sobie dostęp do procesu, było to dla mnie trochę martwe. Brakowało mi pewnej energii, jak podczas tańca albo sztuki walki z farbą, która przebijalaby się przez końcowy efekt. Koncepcja mojego podejścia do procesu malowania opiera się na zauważeniu dzieła jako odzwierciedlenia kolejności pewnych etapów porównywalnych do przebiegu życia. Najpierw działam jak dziecko albo dzikus, nieświadomie zaznaczając gestami powierzchnię, którą maluję. Obserwator może myśleć, że próbuję zniszczyć ścianę albo płótno. Następnie mój powtarzalny proces zakłada nadanie takiemu chaosowi pewnego logicznego porządku przez użycie kątów prostych, linii poziomych i pionowych, tworzy się rodzaj matrycy i podstawy kompozycji – to jakby odzwierciedlenie następnego etapu dzieła-życia, wprowadzenie porządku jest jak wejście w dorosłość. Następnie kończę, nakładając jakąś liryczną warstwę obrazu inspirowaną fotografią lub kolażem. Ten etap odzwierciedla opowiadanie potomkom pewnej historii lub obserwacji z mojego życia. Takie podejście daje mi pewność co do integracji wewnętrznej. Jednak co do odbioru dzieła przez otoczenie, to zawsze będę skazany na dozę niepewności.

Zdarza się, że absolwenci uczelni artystycznych narzekają na brak przygotowania do wejścia w profesjonalne działania, które zapewnią im byt materialny. Czy UZ dał ci podstawy i możliwości działania zawodowego w przyszłości?

Myślę, że poprzednia odpowiedź ukazuje, że studiowanie pomogło mi zrozumieć i poczuć, co w tym tworzeniu jest ważne. Jestem wdzięczny, że mogłem studiować na UZ i poznać postawy innych dojrzałych artystów i wykładowców, takich jak Zenon Polus, Radek Czarkowski, Leszek Knaflewski, Wojtek Kozłowski, Ryszard Woźniak, Jan Berdyszak i wielu innych. Czas studiów bardzo wpłynął na moją twórczość, pomimo że nie udało mi się zdobyć statusu artysty stricte galeryjnego – zgaduję, że to dlatego, że podczas studiów nie zajmowałem się w ogóle marketingiem

sztuki, a raczej jej kontemplacją i koncepcjami. To, że mogę utrzymać rodzinę dzięki malowaniu, wynika z umiejętności wyjścia do ludzi w czasie, gdy malarstwa ściennego w Zielonej Górze było mało. Często myślę, że był to szczęśliwy przypadek – to, co mnie fascynowało w tworzeniu, znalazło grunt w komercyjnym działaniu. Była w tym też determinacja, żeby nie iść do „zwykłej” pracy. Pierwsze dziecko urodziło nam się zaraz przed dyplomem. To była dodatkowa motywacja, aby stać się zawodowym muralistą. Przez czas studiowania wykonywałem już wiele zamówień i czułem, że mam fach w ręku, miałem pewne poczucie bezpieczeństwa i mogłem je oferować mojej młodej rodzinie. To taka sytuacja spowodowała krystalizację mojego sposobu na życie. Mogłem próbować iść w stronę sztuki tzw. galeryjnej, ale było mi to nie po drodze. Zawsze lubiłem wydeptrywać własne ścieżki.

Sztuka murali, zwana przez niektórych uliczną, to nie tylko upiększanie miejskiej substancji. To – w moim mniemaniu – odkrywanie artystycznej wizji poprzez wyobraźnię, ekspresję, obnażanie często bardzo intymnych emocji. Mam rację?

Jest różnie. Teraz zdecydowana większość artystów streetart inwestuje raczej w płytkie powielanie wymyślonego znaku czy pamperka, mając za priorytet rozpoznawalność przez powtarzalność, to zagłusza tworzenie czegoś głębszego. Osobiście staram się, żeby w każdej mojej pracy – czy to na graffiti jamie, czy podejmując się zamówienia, czy malując obraz – był jakiś „przemyt” czegoś uniwersalnego, większego ode mnie. Oprócz procesu, o którym opowiadałem wcześniej, próbuję zawrzeć coś oryginalnego, coś, co zaskoczy mnie samego, jakąś tajemnicę albo zagadkę. Jest też dzisiaj ogromne ciśnienie na upiększanie i upamiętnianie za pomocą murali, ale tak naprawdę jest bardzo mało możliwości wypowiedzi osobistej na dużych ścianach, która nie byłaby obwarowana opiniami, sugestiami, wymogami. To stąd pojawiła się u mnie potrzeba swobodnego malowania obrazów i pewnie dlatego często są one niewygodne.

Sztuka, którą uprawiasz, wymaga nie tylko talentu, inwencji twórczej, ale całej logistyki przedsięwzięcia. Wybór miejsca/obiektu, w którym planujesz stworzyć mural, uzyskanie zgody (architekt miejski?) na lokalizację, przygotowanie projektu. Podejrzewam, że te wymienione (z pewnością niekompletne) działania są żmudne i wymagają ogromnego nakładu czasu i sztuki negocjacji... Opowiedz o tym, proszę.

Zazwyczaj zostaję zaproszony do realizacji muralu i – całe szczęście – nie muszę przechodzić drogi „załatwiania” ściany. Projekt należy do najtrudniejszego etapu malowania muralu. Przy większej liczbie ludzi decydujących o tym, czy projekt przejdzie, czy nie, zaczynają się schody. Dlatego chętniej podchodzę do projektów dla prywatnego zleceniodawcy, który daje mi wolną rękę. Chociaż i w takim przypadku czasem okazuje się, że moja wolna ręka może być pod ścisłym nadzorem. Całe szczęście widzę trend spadkowy takich sytuacji i zwiększenie zaufania do mnie jako artysty. Samo malowanie, szczególnie wysoko na rusztowaniu albo podnośniku, to dla mnie czysta przyjemność walki z materią. Dźwiganie wiader, chodzenie po drabinach, walka z chłodem lub upałem, to jest jak siłownia. Bez tego nie stanę się silniejszy.

Po tych przygotowaniach, akceptacji stosownych urzędów przystępujesz do konkretnego działania. To też, podejrzewam, nie jest łatwe. Począwszy od bardziej czy mniej sprzyjającej pogody, zamontowania specjalistycznego rusztowania, przygotowania podłoża (wyrównanie ewentualnych nierówności, uszczerbków w strukturze muru), naszkicowania zarysu muralu... Myślę, że jest nieskończenie długa lista składowych tego procesu.

Schemat powstawania muralu czy obrazu jest podobny. Po otrzymaniu zdjęć i wymiarów ściany i opisu zamawiającego (to mogą być ja sam, jeśli maluję dla siebie) najpierw poddaję się procesowi wewnętrznego przetwarzania wizji, pomysłów, następnie wykonuję bardzo uproszczone luźne szkice, szukam inspiracji w nieskończonym albumie inter-

netu, a potem obrabiam to w Photoshopie, tworząc cyfrowy projekt. Do przenoszenia projektu używam różnych metod – rzutnika, siatki czy tzw. doodle grid. Ta ostatnia technika opiera się na nałożeniu cyfrowo na podkład z luźnych form przedstawienia, aby zachować proporcje. Maluję zazwyczaj za pomocą wałka gąbkowego, który daje wiele możliwości pracy.

Spodziewam się, że tworząc mural, pokonasz kolosalną ilość kilometrów... W pionie i poziomie.

Tak. Stąd moja dyscyplina codziennych, porannych ćwiczeń, aby wzmocnić ciało.

Biorąc pod uwagę fakt, że twoje dzieła skazane są na różnorodne warunki atmosferyczne, trzeba używać wysokiej jakości materiałów, które zapewnią długą żywotność muralowych obrazów. Są zapewne bardzo kosztowne.

Tak, to nie są tanie rzeczy.

Stworzyłeś sporo realizacji. Najwięcej pisało o muralu poświęconym Maryli Rodowicz, Urszuli Dudziak, narożnemu malowidłu na budynku Europejskiej Szkoły dr Rahn. Która jest ci najbliższa, najważniejsza?

Szczerze, to każda ma coś osobistego. Projektując mural dla Urszuli i Maryli, inspirowałem się zagadnieniem drogi życiowej artysty. Jej różnych etapów. Jest to coś, nad czym często sam kontempluję. Jeśli chodzi o mural ze słońcem na budynku szkoły Rahn, to użyłem tam wizerunków dzieci, między innymi moich własnych. Ten zabieg wykorzystuję już od wielu lat, właśnie żeby poczuć osobiste połączenie z treścią muralu. Czuję, że utrwalam życie osób dla mnie najbliższych. Muszę przyznać, że najbardziej osobisty mural, jaki udało mi się wykonać, to ten na Stołczyźnie w Szczecinie dzięki szczecińskiemu programowi muralistycznemu. To obraz ukazujący moją żonę w ogrodzie i mnie, mało widocznego, malującego na podnośniku.

Odwracając pytanie – która z dotychczasowych prac była najtrudniejsza do realizacji?

Nie mam chyba takiej. Łatwiej mi znaleźć pewne trudności. Na przykład mórz, podczas którego kończyliśmy zbiornik dla Accolade w Kisielinie albo ogrom powierzchni przy największej realizacji na zbiornikach przy ul. Chmielnej. Pamiętam też obawy przy odbiorze muralu do kościoła w Wilkanowie. Czasem też największą trudnością jest rozłoga z rodziną przy natłoku zamówień, daleko od domu. To są dla mnie trudności.

Fundacja Bezpieczne Miasto to organizacja będąca wsparciem dla twoich działań. Opowiedz, proszę, w jakiej formie służy pomocą.

Nie współpracujemy już z tą fundacją, ale była bardzo ważna nie tylko dla naszego rozwoju jako uczestników graffiti jamów przez nią finansowanych, ale dla całego zielonogórskiego środowiska streetartu. Dzięki pomocy prezesa, pana Zbyszka Bartkowiaka, mieliśmy zapewnione ściany, farby, a nawet kiełbaski na grilla. Udało się też pod jej szyldem wydać trzy albumy o zielonogórskim graffiti i zorganizować wiele wystaw. To dzięki niej powstał zielonogórski, coroczny festiwal graffiti Green Jam, teraz obsługiwany przez naszą fundację Kola-bo, którą założyliśmy razem z Łukaszem Chwałkiem.

W Zielonej Górze odbywają się przedsięwzięcia, które uświadamiają, jak ważna jest estetyka miasta i jak wielki jest wpływ przestrzeni miejskiej na jej mieszkańców. Na przykład Wielkie Graffiti Jam czy Green Jam. Wraz z innymi doświadczonymi graficznymi prowadzicie

działania na nich warsztaty. Opowiedz o tej sferze swoich aktywności.

Wspólne malowanie na jamach jest niezwykle frajdą. Ma w sobie pierwiastek buntu i szaleństwa, i nie zawsze jest dobrze odbierane przez całość społeczeństwa. Dla mnie to wielka życiowa przygoda, pozwalająca na spotkania z przyjaciółmi. Niektóre przyjaźnie mają już ponad dwadzieścia lat. To daje poczucie przynależności do tego kreatywnego plebienia. Zdarza się, że jestem najstarszym uczestnikiem i daje mi to do myślenia.

Wiem, że cenisz sobie twórczość Łukasza „Waek” Chwałka. Intensywnie współpracujecie. Są jeszcze inne postaci ze środowiska graficy, o których chciałbyś wspomnieć?

Trochę się ich nazbierało. Zawężając do lubuskiego, to tak: Baza, Datow, Unik, Chois, Rome, Fogi, Nikson, Tula, Kwazor, Saike, chłopaki z NOC i z OC, i ci, którzy już odeszli – Ybzh i Jutke.

Na koniec naszej rozmowy spytam o plany na przyszłe realizacje. Czy masz jakieś muralowe marzenia, a może zamysły, które nie są związane ze sztuką wielkoformatową?

Największe marzenie to ogarnięcie swojej działalności tak, żeby mieć większą przestrzeń na rodzinę i na osobistą sztukę we własnej pracowni. Uspokojenie życiowej zadymy i spokojne tworzenie nowych dzieł.

Oby udało się spełnić te marzenia. Dziękuję za rozmowę.

Małgorzata Mikołajczak

Mierzenie się ze stratą – dwa razy o *Śliwkach w czekoladzie*

Roksana Bach, *Śliwki w czekoladzie*, Towarzystwo Miłośników
Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2024, 64 s.

Niełatwo jest pisać o stracie, ale czy łatwiej interpretować mówiące o niej wiersze? Takiej interpretacji podjęły się studentki filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, które wzięły na warsztat tomik poetycki Roksany Bach zatytułowany *Śliwki w czekoladzie*. Zuzanna Puls w krótkiej nocie, Aleksandra Piątkowska w dłuższej analizie przedstawiły odczytanie książki, w centrum której znajduje się postać zmarłej babci. Czytając wypowiedzi, które prezentujemy poniżej, można sprawdzić, czy i na ile udało się im sprostać lekturowemu wyzwaniu.

Oba teksty powstały w ramach zajęć (warsztatów krytyczno-publicystycznych i wstępu do literaturoznawstwa) prowadzonych w roku akademickim 2024/2025 w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego.



Lekkość pióra, ciężar straty

Boję się nie pisać o naszych spojrzeniach
bo czasem myślę, że wtedy umieram
że lada moment już nic nie zostanie
prócz lepkich też w fioletowych papierkach

Właśnie ten cytowany wyżej fragment sprawił, że sięgnęłam po *Śliwki w czekoladzie* – tomik poetycki zawierający wiele pięknych i wzruszających wersów. Jego autorką jest Roksana Bach, urodzona w 1992 roku, pochodząca z Żagania, absolwentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Tomik jest książkowym debiutem młodej poetki, ale jej teksty były już wcześniej publikowane w takich pismach, jak „Pro Libris” oraz „Pasje Literackie”. Jest ona również laureatką konkursów regionalnych i krajowych, m.in. 12. Ogólnopolskiego Otwartego Turnieju Jednego Wiersza im. Pawła Greca i 6. Noworocznego Wierszowania organizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Tomik *Śliwki w czekoladzie* ukazał się w 2023 roku nakładem wydawnictwa Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Składa się nań ponad pięćdziesiąt utworów, których główną bohaterką jest pewna starsza nieżyjąca już kobieta. Z wierszy dowiadujemy się, że była ona spokrewniona z autorką i choć nigdzie nie jest to powiedziane wprost, to czytelnik szybko się zorientuje, że chodzi o babcię poetki.

Dzieliło je sześćdziesiąt lat, „Liczba okrągła, prząsna i pękata. Syta swoją historią” – jak czy-

tamy w jednym z wierszy. Łączyło znacznie więcej, w tym częste rozmowy telefoniczne. Autorka z czułością kreśli portret bliskiej osoby, a z jej wierszy wyłania się wyrazista postać babci, która nosiła biszkoptowy sweter i chodziła w płaszczu – w jego kieszeni zawsze były różaniec i materiałowa chusteczka. W szafie miała schowaną niebieską sukienkę, za małą, ale cenną, bo przywołującą minione zdarzenia. Cechowało ją poczucie humoru, ukazane w wierszu zaczynającym się incipitem „wiedziałaś, że tak...”:

[...]
nikt tak jak ty nie żartował o śmierci
o wyprawce do trumny i sądzie ostatecznym
o uwierających haftkach od stanika
przez wieczność
[...]

Wspominając babcię, autorka pokazuje przemijanie czasu, który bynajmniej nie uwalnia z żalu towarzyszącego stracie. Pisze prosto za pomocą wiersza wolnego, który dobrze oddaje bezpośredniość uczuć, a zwierzając się z emocjonalnego bólu, nie stosuje rozbudowanych metafor. Pomimo wagi (ciężaru!) tematu, jej pióro jest lekkie, zgrabnie przelewa emocje na papier – dzięki temu powstają utwory, które urzekają czytelnika. Roksana Bach to w moim przekonaniu poetka bardzo utalentowana. Z ciekawością będę wypatrywać jej kolejnych wierszy.

Intymny dialog z przeszłością

Roksana Bach to młoda zielonogórska autorka, która w swojej twórczości łączy świeżość spojrzenia z ironiczną refleksją nad codziennością. Jej poezja, balansująca między humorem a głębszym przesłaniem, wyróżnia się nietuzinkowym podejściem do tematów bliskich współczesnemu człowiekowi, takich jak relacje międzyludzkie, emocje czy zmagania z prozaiczną rzeczywistością. Taki charakter mają także wiersze z tomu *Śliwki w czekoladzie*. Ich autorka z dystansem i nieco przewrotnie ukazuje codzienne sytuacje i bawiąc się językiem, tworzy humorystyczne, a jednocześnie melancholijne obrazy, które skłaniają do głębszej refleksji.

Osobisty charakter wielu zawartych w tej książce utworów pozwala utożsamić podmiot liryczny z autorką. Roksana Bach kreuje go na swoistego narratora codzienności, który spogląda na świat z mieszanką powagi, ironii i czułości. To głos dojrzały, ale jednocześnie pełen młodzieńczej świeżości. Z kolei rola bohatera lirycznego przypada tu babci autorki, będącej w centrum lirycznej narracji. Babcia została ukazana jako osoba bliska i pełna ciepła, jako uosobienie wartości rodzinnych i wspomnień z dzieciństwa. W jej postaci zawiera się mądrość starszego pokolenia, którą autorka przywołuje w kontekście codziennych sytuacji. Jej obraz staje się także symbolem przemijania, nośnikiem nostalgii.

Relacja między podmiotem a bohaterem lirycznym jest kluczowa – opiera się na czułości i wdzięczności, a towarzyszy jej refleksja nad rodzinnymi więzami. Podmiot z czułością wspomina chwile spędzone z babcią, przywołując obrazy codziennych sytuacji, takich jak wspólne rozmowy, wykonywane razem czynności czy drobne gesty, które wypełniają życie znaczeniem. Jednocześnie sięgając po ironię, pokazuje starszą kobietę nie jako idealizowaną figurę,

ale jako osobę realną, „z krwi i kości”, uwikłaną w różne historie i mającą określone cechy charakteru. Mieszanka humoru i sentymentu, która towarzyszy tej kreacji, sprawia, że obraz bohaterki staje się wielowymiarowy, a relacja między nią a osobą mówiącą odzwierciedla zarówno osobisty charakter tomiku, jak i uniwersalność prezentowanych w nim doświadczeń rodzinnych.

Wiersze, które składają się na *Śliwki w czekoladzie*, są formalnie zróżnicowane, różnią się pod względem długości, stylu oraz struktury, co dynamizuje przekaz. Autorka rezygnuje z tradycyjnej rymowanej formy na rzecz wiersza wolnego, który lepiej oddaje naturalność i swobodę jej przemyśleń. Taki wybór podkreśla autentyczność wypowiedzi i pozwala na nawiązanie bezpośredniego dialogu z czytelnikiem. Język wierszy jest prosty, ale zarazem pełen finezji – Roksana Bach bawi się słowem, wplatając w tekst subtelne i błyskotliwe gry językowe. Charakterystycznym zabiegiem jest również wykorzystanie krótkich, zwięzłych fraz, które działają jak celne puenty, zaskakując czytelnika i skłaniając do refleksji. Dzięki temu nawet najprostsze obrazy, a także wspomnienia z dzieciństwa czy codzienne sytuacje nabierają nowego, zaskakującego znaczenia.

Kolejnym wyróżnikiem formalnym tomiku jest rytmiczność. Mimo że autorka rzadko korzysta z tradycyjnych metrów i klasycznych rymów, jej wiersze posiadają specyficzny rytm wynikający z układu słów, powtórzeń czy paralelnej intonacji. Budowa utworów współgra z ich treścią, a lekkość i humor tematyki odzwierciedla swobodny, potoczny język. Z kolei utwory refleksyjne zwalniają, nabierają wagi i zachęcają, by zatrzymać się nad ich treścią, prowadząc czytelnika w stronę głębszych

przemysleń. Forma jest więc nie tylko środkiem wyrazu, ale także częścią przekazu – podkreśla ciepło, a jednocześnie pełne ironii spojrzenie na codzienność. *Śliwki w czekoladzie* to tomik bardzo spójny w swej różnorodności – składające się nań teksty tworzą poetycką mozaikę, która angażuje zarówno intelekt, jak i emocje.

Spróbujmy przyjrzeć się bliżej dwóm wybranym utworom z tej książki. Pierwszy z nich nosi tytuł *Kobieta w płaszczu pije herbatę*, drugi nie ma tytułu, zaczyna się incipitem „ta szafa już tu była...”:

kobieta w płaszczu pije herbatę

stary okrągły stół, drewniany i twardy
na którym wylało się ze dwanaście herbat
przez ostatnie pięć lub sześć dekad

pomiędzy nogami wstydlive miejsca
gdzie przyklejona różowa guma
jest twardsza niż kamienny parapet

chciałam się kiedyś pod nimi chować
wyglądać spod obrusu, jak spod spódnicy
i obserwować świat z poziomu kolan

w szczelinie utkwiał drobny cukier
będzie tam czekał, aż stół rozłożymy
i z koła zrobimy elipsę na święta

skrzypi, kiedy go przesuwam
odbił w dywanie cztery kwadraty
a ja badam je jak ślady zwierząt

to przy tym stole, kole i kwadratach,
prostokątach, elipsach, szczelinach i liniach
pijesz czarną herbatę ze szklanki

ciecz przyjmuje kształt naczynia
z każdym spotkaniem wrastasz
w stary okrągły stół, drewniany i twardy

ta szafa już tu była nim zbudowano mieszkanie
wygląda starzej od ściany
i wytartego w dwóch miejscach dywanu
ma drzwiczki, głuche wnętrze i szeroką szufladę
w której zamiast trzymać skarpetki to ukrywasz
zdjęcia

nikt nie wie, kiedy spłowiła po cichu
na górze schówek, gdzie wkładasz poszewki
w środku ubrania na baczność powieszono,
kilka apaszek, beret i torba z wyprawką do szpitala

mała dziewczynka chowała się w niej kiedyś
po cichu wchodziła pod spódnice i sukienki
zamykała drzwiczki ciągnąc za wąski pasek
pewnego razu nigdy już z niej nie wyszła

spośród kilku sukienek, o jednej wciąż mówisz
wyjmujesz z namaszczeniem, odkurzasz pokrowiec
jest szaroniebieska, za długa, jakby nie twoja
podszewka tylko do połowy, wiązanie przy dekolcie

na tym samym wieszaku wisi bielizna, rajstopy
I gołębiowe myśli, przytroczone do ramienia
o tej jednej sukience wciąż mi przypominasz
a ja o niej zapomnieć nie mam sumienia

Oba wiersze operują krótkimi obrazowymi zdaniami, które układają się we fragmenty wspomnień. Nieregularna struktura i brak interpunkcji podkreślają swobodny, strumieniowy sposób wypowiedzi podmiotu lirycznego. Taka struktura monologu lirycznego nadaje tekstom otwartość i sprawia, że czytelnik sam musi „porządkować” obrazy, co angażuje go w interpretację.

W *Kobiecie w płaszczu...* autorka koncentruje się na stole jako centralnym elemencie codzienności i życia rodzinnego, a także na otaczających go szczegó-

łach. Opis stołu, jego kształtu, skrzywienia i śladów pozostawionych na dywanie staje się budulcem narracji o przemijaniu, pamięci i bliskości. Forma utworu oddaje chaotyczny, ale jednocześnie zorganizowany rytm życia, w którym detale (cukier w szczelinach, obrus) nabierają symbolicznego znaczenia.

Drugi wiersz rozwija podobną narrację, tym razem skupiając się na szafie jako metaforze czasu i ukrytych wspomnień. Szafa, pełna śladów życia (ubrania, apaszki, beret, wyprawka do szpitala), staje się przestrzenią przechowującą nie tylko rzeczy, ale i emocje. Rytm wiersza jest nieregularny, pełen pauz i przejść, co przypomina sposób wywoływania wspomnień – fragmentarycznych, ale pełnych znaczenia.

Stół i szafa – przedmioty, które zajmują miejsce centralne, mają znaczenie symboliczne. Stół symbolizuje życie codzienne, spotkania rodzinne, relacje i przemijanie. To miejsce, gdzie „przez ostatnie pięć lub sześć dekad” toczyło się życie, którego ślady – jak różowa guma pod blatem czy cukier w szczelinach – mówią o przeszłości. Opis stołu jako „okrągłego, drewnianego i twardego” podkreśla jego trwałość i odporność, ale także surowość – jakby był świadkiem wielu wydarzeń, wzrastania i przemijania. Szafa z kolei to metafora ukrywania i przechowywania wspomnień. Przechowuje zdjęcia, ubrania i historie – zarówno te opowiedziane, jak i zapomniane. Jej wnętrzu jest „głuche”, jakby odzwierciedlało milczenie i przemijalność rzeczy. Obraz dziewczynki, która kiedyś chowała się w szafie, a „pewnego razu nigdy już z niej nie wyszła”, można odczytać jako nawiązanie do dziecięcej niewinności, która zostaje utracona wraz z dorastaniem. Szafę można też traktować jako nośnik pamięci o osobach, które odeszły, taki kierunek interpretacji wskazuje sukienka „za długa, jakby nie twoja”. Czas jest tu materializowany w przedmiotach, będących świadkami wydarzeń, o których ludzie już zapomnieli. Dlatego sukienka, którą bohaterka z namaszczeniem wyjmuje z szafy, symbolizuje

nie tylko osobę, której już nie ma, ale także niemożność pogodzenia się z przemijaniem.

Kobieta w płaszczu pije herbatę i „Ta szafa już tu była...” ukazują relacje rodzinne w perspektywie wspomnień. Podmiot liryczny obserwuje świat przez pryzmat rzeczywistości minionej – zarówno stołu, przy którym „czarną herbatę” piją bliscy, jak i szafy, w której ukryte są zdjęcia, ubrania i myśli. W obu wierszach do głosu dochodzi tęsknota za bliskością oraz pragnienie utrwalenia więzi rodzinnych. Dominantą jest tu refleksja nad czasem, przemijaniem i pamięcią. Wspomnienia zakłęte w przedmiotach takich jak stół i szafa stają się wehikułami czasu, a równocześnie unaoczniają ulotność życia. Zwyczajne codzienne przedmioty nabierają głębszego wymiaru – stają się pomostem między przeszłością a teraźniejszością, nośnikami wspomnień i refleksji nad ulotnością życia.

Analizowane wiersze pokazują, że codzienność może się stać źródłem uniwersalnych prawd. Poezja osadzona w zwyczajnych przestrzeniach odśladania wielowymiarową naturę ludzkich doświadczeń, pozornie prostych i prezentuje wachlarz emocji – od radości, jaką daje bliskość drugiej osoby, po melancholię przemijania. Dzięki połączeniu subtelnej ironii z głęboką czułością liryczna opowieść zarówno bawi, jak i wzrusza, zachęcając do odkrywania piękna w prozaicznych detalach i doceniania bliskich, póki są z nami. Ta poezja jest nie tylko osobistym pamiętnikiem, ale też uniwersalnym świadectwem zmagania człowieka z czasem. Minimalistyczna, ale pełna finezji forma wierszy angażuje odbiorcę, czyniąc zeń aktywnego uczestnika tego literackiego doświadczenia.

Można powiedzieć, że *Śliwki w czekoladzie* są nie tylko zbiorem wierszy, ale także intymnym dialogiem autorki z przeszłością, który unaocznia, że wystarczy odrobina uważności w obserwowaniu otaczających wydarzeń i szczerości w opowiadaniu o nich, gdyż, jak pokazuje Roksana Bach, duże opowieści mogą kryć się w krótkich historiach.

ULTIMA THULE

Łukasz Maciejewski

Sny pełne Globisza

Sny pełne dymu, reż. Dorota Kędzierzawska

Tegoroczny laureat Grand Prix na „Kozzi Film Festivalu” – *Sny pełne dymu* to film pełen dymu, nie tylko dymu.

Wspólny film Doroty Kędzierzawskiej, jednej z najciekawszych rodzimych autorek filmowych, z główną rolą Krzysztofa Globisza, jednego z tych aktorów, którego zawsze, w każdych okolicznościach, chce się oglądać.

Sny pełne dymu są eksperymentem, również jeśli chodzi o przyzwyczajenia widza. Trochę chaplinowskim slapstickiem, trochę bajką, trochę moralitetem. Zafascynowana Globiszem (i z nim zaprzyjaźniona) reżyserka postanowiła napisać scenariusz dla ulubionego aktora. Jak na Kędzierzawską, latami przygotowującą kolejne filmy, sprawy potoczyły się szybko. Zdjęcia do *Snów pełnych dymu* realizowane były w ścisłej pandemii.

Postcovidowa atmosfera udziela się również oglądającemu. Film jest zamknięty, duszny, klaustrofobiczny. Albo wchodzi się w podobne rejestr, albo się z nich rezygnuje. Pod względem filmowej formy to chyba najbardziej radykalny tytuł w dorobku autorki *Wron*.

Fabula jest pretekstowa. Był sobie mężczyzna w sile wieku – nazywany w filmie *Starym Lisem* (w tej roli oczywiście Krzysztof Globisz) i była sobie dziewczyna, Panna Crazy (fascynująco wyjęta jak gdyby z filmu noir



Żaneta Łabudzka). Dziewczyna usiłowała popełnić samobójstwo, mężczyzna temu zapobiegł, a uprowadzając młodą kobietę do swojego oddalonego siedliska, dał jej schronienie.

Pomiędzy tą dwójką rozgrywa się seans milczenia, zwierzeń, monologów, papierosowego dymu i śpiewu, co i raz przetykanych, na wzór kina niemego, planszami rekapitulującymi wszystkie zdarzenia (plansze są autorstwa Krzysztofa Globisza).

„Scenariusz *Snów* pisałam z myślą o dwóch wyjątkowych aktorów – wybitnym artyście i wspaniałym człowieku, Krzysztofie Globiszu (Stary Lis) oraz młodej, nikomu nieznannej Żanecie Łabudzkiej (Crazy)” – mówi Dorota Kędzierzawska. – „Napisy i rysunki, jakie towarzyszą filmowi, są autorstwa Krzysztofa, który kilka lat temu, nieoczekiwanie dla siebie odkrył nowy rodzaj ekspresji. W większości powstały specjalnie dla filmu, pełnią w nim specjalną rolę i są ważnym elementem mojej filmowej opowieści”.

*

Autorskie kino rządzi się swoimi prawami. To truizm, ale wart przypomnienia. Autorskie kino Doroty Kędzierzawskiej to twórczość, w której forma często dominuje nad treścią, a każda scena, ba, każde ujęcie, wydaje się częścią wysublimowanej konstrukcji bez mała architektonicznej.

Kędzierzawska w *Snach pełnych dymu* opracowała pełną koncepcję wizualną, była także montażystką. Kino autorskie *tout court*. Są pluse i minusy takiej drogi. Film ogląda się niczym świadomie ożywiony obraz, ruchome rysunki – wielokrotnie używany obiektyw ze zmienną osią ostrości, spowolnienia i przyspieszenia, skupienie na detalu: na kieliszkach pełnych wina, lustrach, powiewającej firanie i innych częściach wyposażenia Pałacu w Rzęsinach, gdzie film był kręcony, sprawiają wrażenie przemyślanej, ekstrawagancji konstrukcji, która z wolna przestaje mieć wiele wspólnego z realizmem.

Realny jest za to Globisz. Wspaniały także i w tym filmie. Operujący zmarszczką na czole, spojrzeniem, uśmiechem i słowami, kalekimi słowami, niepełnymi słowami, które w przypadku Starego Lisa są naturalną potrzebą kontaktu. To bohater ambiwalentny, samotnik nie tylko z wyboru.

Żaneta Łabudzka ma charakterystyczny tembr głosu, ekranową siłę, jest aktorsko konsekwentnie prowadzona.

Wierzę, że jak zawsze w przypadku Doroty Kędzierzawskiej, również i *Sny...* odnajdą swojego wernego widza.

Zielona Góra nie mogła wybrać lepiej.



Nie tak się to rusza. O designie w ruchu

Otoczeni na co dzień idealnie zaprojektowanymi przedmiotami, odnosimy wrażenie, że powstały bez udziału człowieka, jakby wypączkowały z rzeczywistości. Swoją oczywistością zaludniają przestrzeń podobne jak obiekty natury. Nie tylko szklanki, czajniki, biurka, ale zwłaszcza dobrze zaprojektowane składniowe przestrzeni cyfrowej wydają się szczególnie bezosobowe i pozbawione autorstwa.

Aplikacje mobilne, interfejsy graficzne, strony internetowe, portale socialmediowe stanowią jednak zupełnie odrębną rzeczywistość, a ta rzeczywistość z kolei wytworzyła zapotrzebowanie na zupełnie nową dziedzinę projektowania, kategorię designu wchodzącego właśnie w swój Złoty Wiek. To jest motion designu.

Złota epoka motion designu

Na wstępie przełożmy roboczo „motion design” jako „design w ruchu”. Motion design jest zjawiskiem stosunkowo świeżym, a jego złote lata przypadają na ostatnie dwadzieścia lat rozwoju kultury w kierunku upowszechnienia komunikacji wizualnej. Szczególnie rosnąca popularność rolek, shortów oraz form pośrednich filmu przyczyniły się do rozwoju „motionu”. Specjalistów odpowiedzialnych za produkcję materiałów wideo lub elementów animowanych nazywa się motion designerami albo animatorami, w opozycji do produkujących statyczne materiały projektantów. Motion designerzy pracują w studiach animacji, w studiach projektowania graficznego, agencjach reklamowych, a jedni z najlepszych – na freelansie.

Gdzie możemy spotkać rezultaty ich enigmatycznej pracy? Wchodzimy z nimi w interakcję częściej, niż nam się wydaje.

Z motion designem mamy do czynienia, oglądając czołówkę swojego ulubionego serialu, *Gry o tron*, *Dr. House'a*, *Kompanii Braci*. Spotykamy go w interfejsach gier komputerowych i w aplikacjach mobilnych, gdzie interaktywne ikony wypełniają się płynnie kolorem po kliknięciu. Spotykamy go w paskach postępu na stronach internetowych. Spotykamy wreszcie motion design w poruszających się maskotkach aplikacji edukacyjnych, takich jak *Duolingo*. Wszędzie tam, gdzie same nagrania video nie wystarczają i potrzebne jest stworzenie lub nadanie ruchu obiektom.

W klasycznym designie mamy do czynienia z formą i funkcją, a rezultatem prac designerskich jest fizyczny obiekt. Przede mną, na blacie, między papierami i dwoma monitorami przycupnął ten oto nakrapiany kubek. Służy do picia espresso – oto jego funkcja. Formą jest kolor, kształt, uchwyt lub ucho – brak uchwytu i ucha – decyzje, które zapadły w procesie projektowania odnośnie do materiałów, szklana. W sztuce projektowania motion design jest przypadkiem wyjątkowym i wcześniej nigdy niespotykanym, ponieważ nie wytwarza obiektu. Rezultat prac motion designerskich jest niefizyczny. Jego tkanką – i punktem dojścia – jest ruch.

A skoro motion design nie tworzy obiektu, warto spytać, co takiego tworzy?

Przedmiot motion designu

Rezultatem prac motion designerskich, z punktu widzenia praktycznego i użytkowego, jest najczęściej film cyfrowy lub element ruchomy.

Film ma to do siebie, że stanowi amalgamaty wszystkich innych form artystycznej ekspresji: literatury, muzyki, malarstwa, fotografii. Za Kubrickiem można powiedzieć, że jedynym wyjątkowym, a więc kluczowym, środkiem wyrazu filmu jest montaż, a więc długość i kolejność ułożenia ujęć względem siebie oraz znaczących przerw między nimi, pozwalających, na przykład, na nieliniarną narrację. Montaż dotyczy jednak głównie filmu aktorskiego.

Dla motion designu, jako dziedziny związanej z filmem, istotną częścią składową oprócz montażu jest właśnie zjawisko ruchu samego w sobie, a to dlatego, że film rejestruje ruch, natomiast motion design go wytwarza.

Dumania filozoficzne na temat samego ruchu mogą wywołać i pewnie wywołują reakcję obronną pod postacią uśmiechu pełnego politowania. Zawieśmy przekonanie o tym, że wiemy, jak powstaje ruch, a okaże się, że praktyka nie jest wcale oczywista. Odpowiedzmy więc sobie na pytanie, jak się powołuje ruch do życia i przede wszystkim – czym jest – lub może być ruch dla nas, jako odbiorców.

O ruchu

Ruch stanowi równie istotny środek ekspresji, co kolor czy kompozycja, jest więc elementem języka całkiem niezależnego i nieredukowalnego. Motion design przy swoim eksplodującym tempie rozwoju forsuje konieczność powstawania całkiem nowego w polszczyźnie słownictwa, próbującego wyjaśnić subtelne rozróżnienia między poszczególnymi sposobami ruchu: „wyanimuj to, proszę, na twardo”, „na trójkach”, „poklatkowo”, „na sztywno”, „wyhamuj”, „z poślizgiem” i tym podobne zwroty stają się codziennością dla praktyków motion designu.

Jak jednak wytwarza się ruch technicznie? Standardowa taśma filmowa składała się z klatek, czyli następujących po sobie ramek lub obrazków. 24 obrazki wyświetlane na sekundę wystarczają, aby uzyskać dla ludzkiego oka poczucie płynności ruchu i po dziś dzień są standardem technicznym. Wspominam o tym, ponieważ historycznie zjawisko motion designu miało swój początek w sztuce filmowej. Najbardziej znanym przykładem będą tu rozbiegówki filmowe serii bondowskiej, prace Saula Bassa w *Psychozie* Hitchcocka czy intra *Różowej Pantery* z Peterem Sellersem. Jest to więc zjawisko z długą tradycją, wywodzące się z filmu, które zawsze stało w rozkroku między filmem, animacją i grafiką.

Motion design cechuje się tym, że nie rejestruje ruchu jak film aktorski, a preparuje go. Oto istotny dla zrozumienia poczucia ruchu paradoks: *rotoskopia*, czyli metoda polegająca na podrysowaniu nagranych ujęć aktorskich i upodobnienie ich do kreskówki, wykorzystana między innymi w klasycznej disnejowskiej *Królownie Śnieżce* wypada dla widzów sztucznie. Paradoksem jest, że faktyczny, zarejestrowany ruch, po nadaniu plastyki, a więc przeprojektowaniu graficznym, powoduje u odbiorcy dysonans poznawczy. Jego odbiór wywołuje poczucie dyskomfortu, *nieprawdziwości*.

Rozwiązaniem tej dysocjacji emocjonalnej jest wytworzenie ruchu. W naszym odbiorze faktyczność ruchu stoi więc w sprzeczności z autentycznością uczuć. Ruch domaga się spreparowania, odręcznego wytworzenia i stylizacji. Ruch nie jest nam więc dostępny jako skończony „produkt” w samej rzeczywistości i nie jest bezpośrednio przenoszony w obręb motion designu – podobnie jak dźwięki tworzone przez Sound Designera na potrzeby aplikacji mobilnej nie występują w przyrodzie. Nie spotykamy nigdzie w naturze odgłosu przycisków, słyszanych podczas korzystania z aplikacji, a mimo to niektóre z nich wydają nam się trafione, gdy inne odczuwamy jako chybione. Podobnie sprawa ma się z ruchem.

Dlatego „motion design” możemy tłumaczyć zarówno jako „design w ruchu” – grafikę wprawioną w ruch – jak i „design ruchu” – projektowanie, tworzenie ruchu samego w sobie. Polszczyzna, jak widać,

nie radzi sobie, grzęźnie, ale druga z wersji przekładu, niezgrabna i obcobrzmiąca, jest mimo wszystko trafniejsza merytorycznie.

Wiedząc to, co wiemy już o filmie i jego wymaganiach, według których 24 obrazki wyświetlone po sobie w ciągu sekundy są potrzebne do uzyskania wrażenia płynności, możemy stwierdzić, że ruch w motion designie to odpowiednio ułożone względem siebie w przestrzeni i w odpowiedniej długości wyświetlane po sobie obrazki lub rysunki.

Cała sztuka motion designu, jak i zresztą animacji – podobne medium i często synonimy – stanowi rodzaj iluzji optycznej i sztuczki magicznej. Jak każda sztuczka magiczna posługuje się metodą manipulacji. Motion design operuje na przecięciu zrozumienia ludzkiej psychologii, optyki, estetyki, do tworzenia iluzji oraz zasłon dymnych. Gdyby chciał zdradzić swoje sekrety, powiedziałaby: „Patrz. Najpierw odwrócę twoje spojrzenie. Potem skupię twoją uwagę na tym, co mówię i mojej lewej ręce. I proszę, królik zawsze był w kapeluszu, twój portfel zawsze znajdował się za moim prawym uchem, prawda? Patrzyłeś tam, gdzie chciałem. Śledziłeś lewą rękę. A prawa cię oskubała. I nawet się nie zorientowałeś”.

Motion designer podczas pracy stawia – lub powinien sobie stawiać – pytania: w jaki sposób sprawić, żeby człowiek patrzył w odpowiednie miejsca na ekranie, w odpowiednim czasie i jakich narzędzi użyć, aby skierować wzrok widza na najważniejszy przekaz: tekst, ruch, postać, obiekt. Jak wykorzystać ruch, a więc zmianę, do wzmocnienia komunikacji z użytkownikiem lub odbiorcą? I jak sprawić, aby ruch sam w sobie był już komunikatem?

Ruch stanowi rodzaj osobnego języka, a zadaniem motion designera jest znalezienie odpowiedniego, „naturalnego” sposobu poruszania się zadanego przedmiotu. Mimo że ruch, jak sobie wyjaśniliśmy, jest spreparowany, nosi jednak pozory prawdziwości, co z kolei prowadzi do interesujących konsekwencji.

Kiedy poprawiając film lub obiekt animowany, zwracamy uwagę, że coś się rusza „niepoprawnie”, nie mówimy wcale o tym jak przedmioty, ludzie lub obiekty poruszają się faktycznie w rzeczywistości, ale o naszych uczuciach wywołanych przez ten ruch. Z tego powodu nie mówimy lub nie powinniśmy mówić o tym, że coś rusza się ładnie lub design „jest ładny”, ponieważ nie poruszamy się w kategoriach estetycznych, a w kategoriach skuteczności. Szukamy odpowiedzi na pytanie, czy emocje wywołane przez dany obiekt są zgodne z założeniami projektowymi. Próbuujemy antycypować emocje, które rezultatami swojej pracy wywołujemy.

Motion designerzy są więc architektami ruchu. Skoro ustaliliśmy jednak, że film i animacje, elementy ruchome nie są obiektami, czym są? Jak mamy je rozumieć? Szukając odpowiedzi, stwierdzamy, że jeśli nie są obiektami, wydają się bliższe wydarzeniom. Doświadczamy ich, zamiast z nich korzystać.

Emocje i pojęcie sztuki

Lubimy sobie dzisiaj nazwać wszystko, co nam się podoba i sprawia radość, „sztuką”. Mówimy, że przygotowanie krewetek to „prawdziwa sztuka”, mówimy o „sztuce projektowania ogrodów”, nazywamy sushi naszego ulubionego kucharza „dziełem sztuki”. Za tym niechlujstwem stoją rzecz jasna dobre intencje i nasz entuzjazm, za którym język nie nadąża.

Całe pomieszenie wynika z dwóch sposobów użycia terminu „sztuka” w naszym życiu codziennym, przy czym każde z nich służy innym celom. W pierwszym przypadku, kiedy mówimy o „sztuce”, mówimy o tym, że ktoś posiada umiejętności warsztatowe, jak w angielskim terminie *craft*. W drugim przypadku „sztuka”, nie jako umiejętność, określa rezultat działań artystycznych. Dzieło artystyczne przybliży nas do metafizycznego, poszerza nasze rozumienie innego, porusza egzystencjalnie. Te dwa wykorzystania słowa „sztuka” nie mają ze sobą większego związku.

O ile potrafimy docenić sprawność kucharza i wykrzyknąć z uznaniem: „w swoim fachu? to artysta!”, mówimy o jego praktycznej zręczności, wizji wykorzystywania składników. Osobiście, jako smakosz, zafascyno-

wany teoretycznymi aspektami kuchni, stwierdzam, że nasze doświadczenie jedzenia świetnie przyrządzonej kiełbasy jest dalekie od doświadczenia metafizyczności i przykryj przyjemności, jaką sprawia wysłuchanie lub przeczytanie historii, w której uczucie przedstawiona została ludzka kondycja. Gdzie Kafka, gdzie kiełbasa? Kto pyta? Chyba nikt. Co wcale nie umniejsza szefom kuchni – nie takie stawiamy wobec nich chyba oczekiwania.

Design, posiadając własne ambicje, nie jest sztuką w takim rozumieniu, w jakim grafika użytkowa nie jest malarstwem, copywriting nie jest literaturą, sound design nie jest komponowaniem muzyki, praca nad filmem reklamowym nie jest pracą nad fabularną produkcją filmową, choć może ją przypominać czysto technicznie i w podejmowanych czynnościach. Design wykorzystuje jedynie środki artystyczne, czerpie z nich i przetwarza je w celach praktycznych. Plakaty wykorzystują plastykę i techniki oraz sposoby ekspresji Picassa, Basquiata, Muchy lub osiągnięcia wycinankowego kolażu Matisse'a. Design zawsze jest wobec sztuk plastycznych spóźniony, ponieważ wykorzystuje sprawdzone i ugruntowane znane rozwiązania do celów praktycznych, a najczęściej oczywiście komercyjnych.

Różnicę podkreśla samo intuicyjne rozróżnienie, z którego korzystamy, gdy mając na myśli zespół designerów, mówimy o „kreatywnych”, nigdy o „artystach”.

Motion design nie porusza się więc w antynomiach „ładne – nieładne, „prawdziwe – nieprawdziwe”, a w kategoriach skuteczności: „działa – nie działa”. Przede wszystkim, czy działa w samej warsztatowej sprawności (formie). Po drugiej, czy pełni swoją funkcję – na przykład czy wywołuje odpowiednie emocje, które skutecznie nakłonią do podjęcia przez konsumenta lub widza jedynej słusznej decyzji („kup nasz produkt”, „zamów już teraz”, „dowiedz się więcej”, „wybierz nas”, „uznaj naszą markę za fajną dla ciebie i twoich rówieśników”).

Gdzie szukać nadziei w kapitalizmie?

Ponieważ większość motion designerów jest z wykształcenia lub powołania artystami, monetyzują w sztuce użytkowej, a więc designie, swoje talenty – gust, oko, warsztatową sprawność, wiedzę. Jestem przecież artystą, chciałoby zakrzyknąć, ale nikt przecież nie pytał. Więcej: nikt nawet nie prosił o podzielenie się swoimi motywacjami. Moje końcowe refleksje mogą być gorzkie, ale nie muszą. Tak, motion design jest sztuką, z tym że rozumianą jako rzemieślnicza sprawność i zęczność w wykonaniu lub zamyśle.

Jak więc ten nieszczęsny, skomercjalizowany motion design, w który wchodzi się z przekonaniem o robieniu sztuki i który sztuką nie jest, odchamić, aby nie czuć się tylko trybikiem w kapitalistycznej maszynie?

Oto moja odpowiedź, a może prośba lub życzenie. Portale branżowe i informacyjne – Onety, Interie, Pudelki – fora internetowe czy też portale social mediowe – Facebooki, Instagramy, YouTube, TikToki – są przestrzenią publiczną. Formalnie należą do osób prywatnych, koncernów, ale tworzą społeczności, a więc przestrzeń wspólną, którą to my, użytkownicy oraz twórcy designu, mamy do zagospodarowania w postaci contentu, czyli zawartości. Ta zawartość może być reklamowa, rozrywkowa, edukacyjna. Wraz ze swoim dojrzewaniem, zawsze zaczyna jednak przypominać ruchome tablice ogłoszeniowe.

I podobnie jak baneroza w małych miastach, a więc spiętrzenie i absurdalne nagromadzenie plakatów, reklam, szyldów, woła i prosi o wsparcie umiejętnościami designera, a więc uporządkowanie – aby łatwiej nam się poruszało, żyło i doświadczało przestrzeni – tak samo robotą motion designera i jego praktyką oraz misją codzienną powinna być troska o przestrzeń wspólną, jaką jest przestrzeń online. Zwłaszcza kiedy mościmy się w niej coraz bardziej, a mój telefon złośliwie przypomina, że spędzam przed jego ekranem około czterech godzin dziennie.

Uprasza się więc o troskę o naszą codzienność. Wytwarzanie reklam, a więc doświadczeń nieinwazyjnych. Zadbanie o to, aby elementy interfejsów ruszały się w sposób niemal niewidoczny dla oka i intuicyjny – oto misja, rola i zadania godne motion designera. Pożyteczna i wynagradzająca służba społeczeństwu. Nie gorsza od innych służb, o których moglibyśmy pomyśleć.

Upozowani w „społeczeństwie designu”

Socjolodzy, poszukując najbardziej trafnych metafor opisujących współczesne społeczeństwo, mówią często o „społeczeństwie spektaklu”, „designu” czy „voveryzmu”. Oznacza to, że ludzie bardziej niż kiedykolwiek koncentrują się na tym, co zewnętrzne, przywiązują wagę do formy, widoczności, estetyki swojego otoczenia i wyglądu. Dobrym przykładem są współczesne, immersyjne wystawy i muzea. Miejsca te znacząco różnią się od tradycyjnych ekspozycji, gdzie przedmioty mają swoje stałe miejsce; nie można ich dotykać, a widzowie, przechadzając się po kolejnych pomieszczeniach, oglądają (czasem zza szyby) dzieła twórców, zgodnie z projektem twórców wystawy.

Na przykład słynne ostatnio immersyjne wystawy poświęcone sztuce Fridy Kahlo, Vincenta van Gogha czy Michała Anioła (*Kaplica Sykstyńska. Dziedzictwo*) to nie tylko miejsca, które ukazują historię twórczości czy powstawania określonego produktu. To wydarzenia dostarczające narracji, która pozwala uczestnikom poczuć się, jakby byli „w środku” opowieści. Człowiek zwiedzający wystawę staje się jej częścią, aktywnym aktorem w wielobarwnym spektaklu. Zwiedzając może, jeśli zechce, położyć się albo poskakać, skosztować (na przykład czekolady w warszawskim muzeum czekolady), malować, rysować, we własnym tempie doświadczać tego, co jest do obejrzenia-wysłuchania-smakowania-odczuwania. Innymi słowy – projektowanie wystawy albo spektaklu stworzonego z kolorów, dźwięków, zapachów musi uwzględniać możliwość współuczestnictwa osoby zwiedzającej, pobudzać jej kreatywność i emocje.

Immersyjne wystawy to tylko fragment świata, który ma wywoływać intensywne emocje, co jest możliwe dzięki temu, że ich twórcy zaprojektowali doskonałą formę ekspozycji dzieła. Nowoczesne muzea i wystawy stają przed wyzwaniem, by przyciągnąć uwagę nowego odbiorcy. To człowiek, który docenia formę i design. Ważną rolę w jego życiu zajmuje projekt.

Projektem może być własne życie, związek z inną osobą, wychowanie dziecka, wystrój mieszkania, rozwój osobisty etc. Styl życia bywa starannie zaprojektowany i chociaż potrzeba odzwierciedlenia siebie w oczach innych jest znana od stuleci, zmieniają się narzędzia projektowania, rozszerzają możliwości wykorzystania rekwizytów i ekspozycji tożsamości osobistej. Dzieło, którym staje się tożsamość, jest nie tylko prywatną sprawą – jest przedmiotem nieustannej refleksji i domaga się zaprezentowania innym ludziom. Należy pokazać siebie w starannie wybranej pozie. Poza, z natury zmienna, domaga się utrwalenia. Często jest to tradycyjne zdjęcie, film nagrany telefonem, ale także blog, podcast etc. Możliwości zaprezentowania tego, co upozowane, są szeroko dostępne. Małe narracje na temat wydarzeń z życia zamieszczane w mediach społecznościowych, tworzą charakterystykę (lub iluzję) stylu życia, albo przynajmniej własnych aspiracji.

Projektowanie może przybierać postać bardziej długofalowego procesu realizowanego systematycznie, z poświęceniem wielu środków i czasu. Takim projektem jest doskonały związek – bliska relacja z drugim człowiekiem lub wychowanie dziecka (które powinno w pełni zrealizować swój potencjał). Ograniczeniem może być tylko wyobraźnia, która podsuwa pomysły, jak się ubrać, urządzić dom, na jakim tle wystąpić. Są również tacy, którzy wolą naśladować istniejące wzory. Projektowanie stało się egalitarne – wszyscy mogą

to robić. Każdy bowiem ma dostęp do bardziej lub mniej doskonałych narzędzi projektowych. Powszechności tego zjawiska sprzyja, jak się wydaje, rozmyta granica pomiędzy sztuką „wysoką” i „niską”. Brak uniwersalnego kanonu, który pozwalałby stwierdzić, co jest w dobrym guście, a co niekoniecznie, co stanowi sztukę, a co nią nie jest, wreszcie – co jest prawdą, a co kłamstwem (fałszem, fake newsem, oszustwem, podróbką etc.). W procesie projektowania umyka czasem rozróżnienie pomiędzy światem realnym a iluzją.

Specjaliści w zakresie badania sztucznej inteligencji przewidują, że w niedalekiej przyszłości każdy będzie mógł (korzystając z aplikacji) zaprojektować, stosownie do własnych potrzeb, wirtualnego przyjaciela, z którym można porozmawiać na dowolny temat, który nigdy nie traci cierpliwości, nie porzuci i nie obrazi, nie zdradzi, nie zlekceważy, zawsze obdarzy uwagą i wsparciem. Już dzisiaj jest to możliwe, ale ze względu na stosunkowo wysokie koszty korzystania z zaawansowanej technologii – nie dla każdego dostępne. Jak się wydaje, są to kolejne wyzwania projektowe, które czekają społeczeństwo designu, spektaklu, ale także „społeczeństwo epidemii samotności, depresji i narcyzmu”. Projektowanie ma bowiem swoją jasną stronę oraz pułapki, w które wpadają ludzie zwabieni migoczącym światłem doskonałej formy... projektu.



Wolfsbeeren Leonie Ossowski. Po drugiej stronie lustra

W sierpniu 2025 roku mija setna rocznica urodzin niemieckiej pisarki Leonie Ossowski (1925-2019), urodzonej we wsi Osowa Sień, w powiecie wschowskim. Ogromna szkoda, że w naszym regionie nie jest szeroko znana jej twórczość, portretująca XX-wieczne realia pogranicza polsko-niemieckiego. Książki tej autorki mają dla mieszkańców Ziemi Lubuskiej znaczenie szczególne, bo są pięknym i przejmującym świadectwem przeszłości naszego regionu.

W polskim przekładzie ukazała się jedynie powieść *Wilcze jagody* (przekład: Eugeniusz Wachowiak, Dom Wydawniczy Rebis 1998). W oryginale została wydana w 1987 roku. Jest to pierwszy tom cyklu, na który składają się także utwory: *Weichselkirschen* (dzieło zekranizowane, w znakomitej obsadzie, w polsko-niemieckiej współprodukcji pod tym samym tytułem w 1979 roku) oraz *Holunderzeit*. Wydawnictwo Ullstein w 2003 roku wydało wszystkie trzy tytuły w jednym woluminie – i w tej edycji przyszło mi właśnie się z nimi zapoznać¹.

Więź z rodzinną ziemią

Leonie Ossowski to literacki pseudonim; pisarka naprawdę nazywała się Jolanthe von Brandenstein. W Osowej Wsi mieszkała do dwudziestego roku życia. Zimą 1945 roku wraz z rodziną podzieliła los Niemców przymusowo przesiedlonych na Zachód z ziem, które po drugiej wojnie światowej przypadły Polsce. To traumatyczne wydarzenie, jak się wydaje, nie przekreśliło emocjonalnych związków Jolanthe von Brandenstein ze swoją rodzinną ziemią. Nie zerwała z nią łączności. Na swój pseudonim wybrała polsko brzmiące nazwisko (Ossowsky byli właścicielami ziemskimi, między innymi dóbr w rejonie Wschowy). Wielokrotnie gościła w swoim dawnym miejscu zamieszkania, utrzymywała kontakt z samorządowcami ze Wschowy². Do przedwojennej przeszłości wracała w swoich utworach, w których z dużą dozą pewności można się doszukiwać elementów autobiograficznych. Literacki talent odziedziczyła po matce, prozaiчке i poetce Ruth von Ostau (1899-1966), która publikowała, jeszcze zamieszkując w Osowej Wsi pod Wschową.

O wielkiej wartości twórczości Leonie Ossowski może świadczyć fakt, że pisarka w 2007 roku otrzymała od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznakę honorową „Zasłużona dla Kultury Polskiej” za wkład w pojednanie polsko-niemieckie.

Sophie

Warto więc zastanowić się, czy z upływem czasu oraz w zmieniających się realiach niemiecko-polskiego sąsiedztwa dorobek literacki Leonie Ossowski nadal wart jest uwagi. Niniejsze omówienie będzie dotyczyć

¹ L. Ossowski, *Wolfsbeeren. Weichselkirchen. Holunderzeit*, Ullstein, 2003.

² K. Bodzińska, *Wspomnienie o Leonie Ossowski, pochodzącej z Osowej Sieni popularnej pisarce*, „Wschowa Nasze Miasto”, 21 lutego 2021, <https://wschowa.naszemiasto.pl/wschowa-wspomnienie-o-leoni-ossowski-pochodzacej-z-osowej/ar/c1-5003658> [dostęp: 30 lipca 2025].

powieści *Wolfsbeeren*. Pod względem chronologii fabuły jest ona pierwszą częścią trylogii, choć napisana została jako druga, jedenaście lat po *Weichselkirschen*.

Akcja powieści rozgrywa się w latach 1918-1945. To historia życia Sophie, lat jej młodości (ujętych tu w formie spisywanych przez nią wspomnień) oraz okresu małżeństwa i macierzyństwa. Kobieta wychodzi za mąż za arystokratę, właściciela ziemskiego. Na świat przychodzą ich trzy córki. Można by powiedzieć: przyzwoita ziemiańska rodzina, żyjąca spokojnie i dostatnio, bez skandali ani dramatów. Tak to wygląda jedynie z daleka. Zdziawiająca jest historia młodości Sophie: dawniej mieszkała w Monachium i była po uszy zakochana w Filipie, radykalnym żydowskim socjaliście i dziennikarzu. To archetyp walczącego idealisty, niezdolnego do trwałego związku. (Podobną postacią był Marcin Śniadowski z *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej). Po jakimś czasie Sophie przenosi do Berlina, gdzie nawiązuje bliski kontakt z tamtejszą bohemą i zaprzyjaźnia się z ekscentryczną Margo (to bodaj najlepiej, a już na pewno najbardziej intrygująco sportretowana postać drugoplanowa). Obraz stolicy Niemiec z czasów Republiki Weimarskiej jest barwny, ale i dramatyczny. Życie naznaczone jest niedostatkiem i niepewnością jutra, spowodowaną przede wszystkim galopującą inflacją.

W Berlinie Sophie poznaje Clemensa, ambitnego wojskowego, prnącego się po szczeblach ministerialnej kariery. Dokąd zajdzie ten człowiek, gdy nastanie nowa władza narodowych socjalistów? Dla młodej kobiety znajomość z Clemensem to znaczący przełom. Wszystko wskazuje na to, że dojdzie do ich małżeństwa, ale tu następuje szereg dziwnych zbiegów okoliczności. Oto Sophie zostaje żoną kogoś zupełnie innego... Tworzy się swoisty trójkąt, bo Clemens i Leopold dobrze się znają. A nawet czworokąt, bo z orbity nie znika również Filip. Zdziawiająco, że narzeczony jest w pełni świadomy przeszłości Sophie, ale uważa, że to nie zagrozi jego małżeństwu. To może być dla czytających mocno zaskakujące, bo przecież były to jeszcze czasy, gdy obowiązywały dosyć rygorystyczne normy obyczajowe.

Zwiebelmuster

Ale Sophie naprawdę potrafi być przykładną żoną Leopolda von Sarbacha. Małżonkowie mają ze sobą dobre relacje, nie ma w ich związku przemocy ani awantur. Prowadzą stabilne życie, a Sophie ma dużo swobody i do dyspozycji własny pokój, w którym maluje i spisuje wspomnienia z młodości. Są one przytaczane w retrospekcjach w pierwszej osobie, naprzemiennie z fabułą dotyczącą jej małżeńskiego życia.

Majątek od siedmiuset lat jest w rękach rodziny von Zertsch. Szlachectwo zobowiązuje – oboje wypełniają swoje obowiązki, dając poczucie stabilności służbie, wszystkim pracującym w ich majątku oraz trzem córkom. Ale być może też traktują swoją rolę z pewnym dystansem? Gdy Sophie niedługo po ślubie trafiła do nowego domu, pierwszą rzeczą, która przykuła jej uwagę, była ogromna witryna zastawiona kosztownym serwisem na 24 osoby (!) z fabryki porcelany z Miśni, z Zwiebelmuster, charakterystycznym kobaltowym wzorem z motywami roślinnymi na białym tle. Ściszym głosem przyznała się mężowi, że nie przepada za tym wzornictwem, na co Leopold odpowiedział: „ja też nie”.

Von Zertschowie żyją z dala od wielkich metropolii, w majątku ziemskim Rohrdorf. Autorka nadała mu też polską nazwę: Ujazd. To fikcyjna miejscowość, ale jej położenie zostało dosyć precyzyjnie określone. Znajduje się na Śląsku (o którym, jak się okazuje, Sophie wcześniej nie słyszała, co można odczytać w ten sposób, że dla wielu Niemców ten region rzeczywiście był odległy i mocno peryferyjny). „Pochodzę z Pogranicza poznańsko-zachodniopruskiego³, jak nazywa się ten nasz kawałek ziemi po przegranej wojnie”, wyjaśnia Leopold swojej przyszłej żonie. „Na południowy zachód od Poznania i na wschód od Głogowa. Majątek nazywa się Rohrdorf i leży dokładnie przy granicy z Polską”. Takie właśnie położenie ma prawdzi-

³ W oryginale: Grenzmark Posen-WestPreußen, region ten nosił też nazwę Marchia Graniczna Poznańskie – Prusy Zachodnie. Jego częścią były między innymi: Wschowa, Babimost, Międzyrzecz i Skwierzyna.

wa Osowa Sień, czyli dawniejszy Röhrsdorf, rodzinna miejscowość Leonie Ossowski. Drobna różnica w pisowni fikcyjnej nazwy wsi wydaje się świadomym zabiegiem.

Świat, którego już nie ma

Sporo elementów autobiograficznych można odnaleźć w tych fragmentach powieści, gdzie pojawiają się opisy przyrody, prac na roli, zaplanowanych dokładnie według kalendarza natury, portrety ludzi pracujących na swój codzienny byt. Są piękne obrazy tradycji i kultywowanych obyczajów. Wśród książkowych postaci są także Polacy – przyjeżdżają z bliskiego sąsiedztwa do pracy, nawiązują zażyłe kontakty z miejscową ludnością. Ossowski miała świadomość, że odtwarza świat, którego już nie ma, miała z pewnością do swoich wspomnień z dzieciństwa i młodości głęboki stosunek emocjonalny. Jednak w *Wolfsbeeren* nie znajdziemy jakichkolwiek przejawów szowinizmu czy rewanżyzmu, tych nut, które po drugiej wojnie światowej często zniekształcały polsko-niemieckie relacje, a nawet całkowicie uniemożliwiały ich nawiązywanie.

W wiosce, choć geograficznie znajdującej się na uboczu, słychać z całą mocą echa toczącej się wokół wielkiej historii. Wydłużają się cienie zła. W latach 30. XX wieku, jak wiemy, wydarzenia toczyły się w szybkim tempie. Do Rzeszy przyłączono Austrię, zajęta została Czechosłowacja. Nazistowska partia stała się coraz bardziej atrakcyjna dla niektórych, co widać też w Rohrdorf. Leopold zaczyna się obawiać, że nowa władza wprowadzi reformę rolną: „To by nas zrujnowało”, mówi do żony. A poza tym ludzie zaczynają się przekonywać, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Bo gdy zaczyna się wkradać strach i niepewność jutra, nigdy nie warto mówić za dużo, nawet tym, których dobrze znamy.

Wolfsbeeren to po części także Bildungsroman, powieść o dojrzewaniu. W krótkim jej fragmencie na pierwszy plan wysuwa się Anna, córka Sophie i Leopolda. Jest bardzo inteligentna, ciekawa świata i ludzi, ma wielkie poczucie niezależności, chce wiedzieć jak najwięcej o sprawach dorosłych. (W drugim tomie cyklu, w *Weichselkirchen* zostanie pokazana jako dziennikarka, która powróci w swoje rodzinne strony).

Dorastanie Anny oznacza także przeżycie z bliska dramatu Nocy Kryształowej (9 listopada 1938) oraz doświadczenie wybuchu drugiej wojny światowej. Jej bez troskie dzieciństwo bezwzględnie się kończy. Do Rohrdorf dociera wojenna zawierucha. Na front wschodni zostaje powołany Leopold. Rodzina musi radzić sobie bez męża i ojca, a majątek – bez gospodarza.

Światło od wschodu

Nie brakuje w utworze licznych opisów relacji Niemców z Polakami, kształtujących się w bezpośredniej bliskości granicy. Losy niektórych postaci są bardzo dramatyczne, by wspomnieć Jana Orlińskiego czy Ludwika Janika. Są oni przedstawieni w pozytywnym świetle. Janik dokonuje bohaterskiego czynu, ratując dwie Polki zbiegłe we Wschowie z transportu do obozu pracy. Zostaje aresztowany. Ludwik będzie bardzo ważną postacią w kolejnym tomie cyklu.

Powieść *Wolfsbeeren* zamyka dramatyczna scena, gdy rodzina von Zertsch pakuje się i opuszcza swój majątek. Jest zima 1945 roku. Wielka historia zatrzęsał posadami ich świata i już nic nie będzie takie, jak dawniej. Gdy wyjeżdżają, za siebie ogląda się tylko najmłodsza córka, Maria. Nie patrzy jednak na swoją rodzinną posiadłość, ale na niebo, gdzie od wschodniej strony pojawia się słoneczne światło. To dla mnie także swoisty symbol przerwania ciągłości pokoleniowej i kulturowej.

Losy zwykłych ludzi

To spotkanie z twórczością Leonie Ossowski przekonuje mnie, że nie tylko opiera się ona próbie czasu, ale też wpisuje się wręcz idealnie w jeden z bardziej ostatnio popularnych nurtów powieści historyczno-obyczajowych, kreślących losy zwykłych ludzi, których życie zostało uwikłane w trudne historyczne realia. Ich głównymi bohaterkami są przeważnie inteligentne, zaradne kobiety. Nie brakuje przykładów księżek, któ-

rych fabuła skupia się na polsko-niemieckim sąsiedztwie. Z przyjemnością można zauważyć, że jest to twórczość, która ma zasięg ogólnopolski, a nie tylko regionalny. W kręgu powieści o tej tematyce swoje uznane miejsce ma wybitna trylogia *Wendyjska winnica* Zofii Mąkosy (Wyd. Książnica, 2017-2020). Dwa tomy cyklu *Pomiędzy* (Wyd. Książnica, 2024 i 2025) też autorki rozgrywają się również w podobnym czasie i dotyczą realiów pogranicza w Trzcielu – to tylko inne miejsce tej samej granicy, przebiegającej niedaleko Rohrsdorfu z powieści Leonie Ossowski!

Problemy trudnych niemiecko-polskich relacji i wspólnej przeszłości porusza R. A. Olek w *Matilde* (Wyd. Książnica, 2025), a także Barbara Wysoczańska, by wymienić takie jej utwory, jak *Świat na nowo* (Wyd. Folia, 2022) czy *Nigdy się nie poddam* (Wyd. Folia, 2024). Warto tu także przywołać powieść Niny Zawadzkiej *Na wschód od Breslau* (Wyd. Folia, 2023), skłaniającą do refleksji nad niemiecką przeszłością Wrocławia. Trudnymi relacjami polsko-niemieckimi zajmuje się też znakomita książka z gatunku literatury faktu – *Poniemieckie* Karoliny Kuszyk (Wyd. Czarne, 2019), zgłębiająca temat materialnego dziedzictwa Ziemi Zachodnich i traumy polsko-niemieckiego sąsiedztwa.

Pogłębić relacje

Nawiązując pół żartem, pół serio do marketingowych sloganów wydawców, można z całą pewnością podsumować, że jeśli cenimy książki wymienionych wyżej autorów, sięgnięcie po twórczość Leonie Ossowski będzie dobrym wyborem. Może tylko w porównaniu z tymi współcześnie napisanymi utworami powieści niemieckiej pisarki wydają się trudniejsze w odbiorze, chociażby z tej racji, że nie ma w nich zaznaczonych wyraźnie dialogów, w treści są bardziej zawiłe i refleksyjne, z pewnością mniej nastawione na rozrywkę i na spektakularną, wartką akcję.

Z perspektywy naszych czasów twórczość Leonie Ossowski jest doniosłym odkryciem. Przede wszystkim dlatego, że można ją odczytywać jako absolutnie bezcenne dopełnienie polskiej współczesnej literatury historyczno-obyczajowej. To daje nam niepowtarzalną możliwość przekonania się, co jest po drugiej stronie lustra... Jest to tym ważniejsze, że pozwala ona spojrzeć na polsko-niemieckie pogranicze z punktu widzenia naszych sąsiadów, a tym sposobem – znacząco pogłębić wzajemne relacje. To znakomita okazja zarówno do kontynuowania dialogu, jak i do poszerzenia wiedzy i pamięci o zróżnicowanej kulturowo przeszłości Ziemi Zachodnich, w tym także regionu Ziemi Lubuskiej, a w szerszej perspektywie – historii Polski. Jest tam wiele trudnych rozdziałów, co do tego nie ma wątpliwości. Ale, jak napisał urodzony w Ełku niemiecki pisarz Siegfried Lenz, „Przeszłość należy do nas wszystkich, nie można jej dzielić ani wygładzać”.

Parszywe wizje o umierającej literaturze

Literatura pozostaje tematem palącym, lecz żar ten nie ogrzewa już społeczeństwa, jak jeszcze kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu. Mówi się, że ludzie (młodzież?) nie czytają już tak dużo. W roli antagonistów stawia się tutaj gry komputerowe, filmy i seriale, media społecznościowe. Inaczej powiedziawszy – jako poważnego konkurenta czytelnictwa uznajemy wszelkie media torpedujące odbiorców większą liczbą bodźców naraz, z każdej strony. Nasz umysł nie utrzymuje tak łatwo uwagi, jeśli nie okładamy go dopaminą jak zboże cepem. Świat pędzi, a my razem z nim, tracimy tzw. *attention span*, w luźnym tłumaczeniu: zakres uwagi. Potrzebujemy znacznie mniej czasu, aby uznać coś za niewarte naszej chęci poznania, a szczególnie narażeni są na to ludzie młodzi, z którymi sam jestem, całe szczęście, utożsamiany. Czy to prawda? I co za tym idzie: czy możemy dożyć czasów, w których literatura zostanie tylko miłym reliktem przeszłości, a w życiu codziennym – zainteresowaniem wymarłym?

Ewolucja pisma nie jest potrzebna...?

Wszystko wokół nas ewoluuje, a literatura nie pozostaje w tym bierna. Rozwija się, adaptuje do nowego środowiska – jednakowoż znacznie wolniej i słabiej, niż powszechnie się sądzi. Instynktownie porównujemy rozwój książek do rozwoju branży technologicznej, czyli tego ich wielkiego oprawcy. Na co dzień wydaje się, że ebooki i audiobooki stanowią już dużą część rynku książkowego – dodatkowo ciągle słyszy się o niedomagających księgarniach stacjonarnych, które upadają ze względu na wspaniałe prosperujące sklepy internetowe. Nasuwa się zatem wniosek, że książki przechodzą mocną cyfryzację – i jest to myślenie błędne, przynajmniej na ten moment.

Szybkie zerknięcie w tzw. cyferki – chociażby za sprawą Biblioteki Narodowej – uświadamia nam, że w skali roku co najwyżej jeden na dwudziestu czytelników przeczytał książkę (książkę, nie książki!) przy pomocy ekranu tego złowieszczego komputera lub smartfona. Malejącą liczbę księgarń stacjonarnych można uznać za problem mocniej wybrzmiewający, ponieważ według jeszcze innych cyferek na przestrzeni tylko roku 2024 z naszych ulic zniknęły 82 punkty z 1648 zarejestrowanych. Jeśli zatem zaledwie pięć procent czytelników deklaruje zapoznawanie się z książkami za pomocą ekranów, raczej mówimy o cyfryzacji sprzedaży książek, a nie zapoznawaniu się ze słowem pisanym samym w sobie. Wystarczy wejść na dowolne media społecznościowe i wkroczyć w mały świat ludzi mówiących o literaturze, by co kilka sekund wpadać na posty zaczynające się od słów: „przyszła mi dzisiaj paczka z książką!”.

Natomiast my, jako naród, wcale nie czytamy tak mało. Około siedmiu procent społeczeństwa możemy uznać za „książkowych pozeraczy”, a w kontekście Europy jesteśmy mniej więcej na środku zaszczytnej drabinki. Nie czytamy tak dużo jak Szwajcarzy, ale tak mało jak Rumuni też nie. I to jest ten mały sukces, który powinien zasiewać radość w naszych biało-czerwonych sercach.

Temat ewolucji pisma – tylko w znacznie szerszym znaczeniu tych słów – poruszał już m.in. Jacek Dukaj w swoim zbiorze esejów *Po piśmie*^{*}. Z jego wywodu można wywnioskować, iż pismo samo w sobie przetrwa ze względu na wiele różnych jego zastosowań komunikacyjnych, nawet jeśli książki, jakie znamy dziś, w formie papierowej, miałyby zostać kategorią eksponatów w muzeach.

Trudno z dzisiejszej perspektywy jednoznacznie orzec, czy książki będą wieczne, natomiast niewiele wskazuje, byśmy w najbliższym czasie ujrzeli jakkolwiek postrzegany upadek literatury skupiający się na zanikaniu czytelnictwa – takie zdanie mam jako, w pewnym sensie, jeden z reprezentantów tego młodego pokolenia. Z tegoż też powodu dogłębnie wierzę, że mój tok postrzegania tejże sprawy jest cenny.

Młodzież nie gardzi papierem

Trudno wskazać kogoś, kto nigdy nie usłyszał powtarzanej tezy, że „młodzież nie czyta już książek”. Niezależnie od gorliwości zwolenników tego wyznania, raczej nie jest to coś, czym powinno się szczególnie przejmować. Raczej jest to jedynie przejaw empiryczności wśród bardziej krzykliwych jednostek. Aczkolwiek łatwo odnieść wrażenie, że takie zdanie powiela zadziwiająco duże grono ludzi.

Otóż młodzi nieszczególnie się tym przejmują, ponieważ zajęci są zapoznawaniem się z różnego rodzaju czytałkami. Ich obecność w tym sektorze kultury jest na tyle zauważalna, że zagospodarowali sobie naprawdę dużą część rynku. Czytelników w wieku 15-18 lat jest najwięcej – według statystyk – a żeby ujrzeć ten rzekomy fenomen na własne oczy, wcale nie trzeba ani przenosić się w czasie, ani zwiedzać całego świata. Wystarczy wybrać się na duże targi książek, np. w Poznaniu, Krakowie czy Warszawie, gdzie z łatwością na własne oczy dostrzeżemy siłę młodych ludzi. Pojawiają się tam licznie oczywiście ze względu na to, że takie wydarzenia są w dużej mierze dedykowane właśnie im, aczkolwiek kolejny raz świadczy to o ich potęgę.

Warto też napomknąć o rozbiciu gatunkowym w kategoriach książek. To, co kiedyś określilibyśmy zbiorczo jako literatura młodzieżowa, teraz zyskuje nowe podgatunki, jak na przykład young adult czy new adult – taka polaryzacja również świadczy o rozrastającym się segmencie rynku. Wydawcy odpowiadają na zapotrzebowanie, a w tym przypadku ludzie młodzi zaczęli dawać sygnały o potrzebie stworzenia nowych kategorii, które bardziej będą odpowiadać ich gustom czytelniczym.

Elitaryzacja czytania książek

Śmiało można rzec, iż jako społeczeństwo odchodzimy od przeświadczenia, że czytanie książek jest dla ludzi mądrych i jest przejawem wysokiej inteligencji. Teraz bardziej patrzy się na nie jako rozrywkę, odskoczninę od pędzącego i przebudźcowanego świata, czy sposób na wyrażenie zamiłowania do kultury. Nie widzimy tego także jako nerdowskie godło – młodzież w ten sposób obcuje z kulturą nie jest postrzegana jako kujony. Czytanie staje się po prostu modne i dobrze odbierane przez ogół, a w najgorszym przypadku zbywane jest wzruszeniem ramion, zamiast być piętnowane.

Postrzeganie czytania jako czegoś dla lepszych nigdy dobrze nie służyło literaturze, bo i jaki to miałyby mieć cel, inny niż łechtanie swojego ego i zniechęcenie osób chcących wejść w ten świat? Takie same walory edukacyjne mogą mieć książki, jak i wykłady (mówione czy nagrywane), filmy albo gry komputerowe. W końcu media są wyłącznie pośrednikiem i forma przekazu nie ma znaczenia. Znaczenie natomiast ma, jak z danego źródła się korzysta. Odbiorca także nadaje wartość. Ten sam przedmiot w różnych rękach może zmieniać swoją rangę z perspektywy użytkującego, od ratującego życie po zupełnie bezużyteczny, choć obiekt sam w sobie nie ulega nawet najdrobniejszej zmianie. Zmienia się wyłącznie jego użytek.

^{*} J. Dukaj, *Po piśmie II. Wyzwolenie z pisma*, [w:] *Po piśmie*, pod red. A. Kasperek, Kraków 2019, s. 221.

Dlaczego więc utarło się, że właśnie słowa na papierze są wykwintne? Zapewne takie przeświadczenie wywodzi się z czasów, kiedy za cenę książki można było kupić małą wioskę wraz z ludnością i ich posiadanie dosłownie było pewnym wyznacznikiem statusu społecznego, wyraźnie świadcząc o majątności. Tylko że te czasy minęły. Książek mamy więcej, nie tylko pod względem samych tytułów, ale także nakładów, a ich ceny niewyobrażalnie wręcz spadły i są dostępne w zasadzie dla każdego. Tylko ile „dużo” równa się faktycznie dużo?

Książki masowym przekazem informacji

Każda osoba śledząca rynek literacki prędzej czy później zda sobie sprawę, że pomimo najszerszych chęci, człowiek nie jest w stanie zapoznać się ze wszystkimi dostępnymi pozycjami. Wąskie grono najbardziej zagorzałych pozeraczy książek może osiągnąć próg jednego procenta w skali roku. Tylko w 2024 na polskim rynku pojawiło się 33 957 nowych książek – średnio co około piętnaście minut ukazuje się nowy tytuł.

Tekstów literackich wydaje się coraz więcej. Jasne, część z tych pozycji to wydania naukowe finansowane przez najróżniejsze instytucje, państwowe i nie tylko, jednak najpopularniejszymi czytаныmi gatunkami pozostają sensacja, kryminał, obyczaj i romanse – a w końcu literatura popularna kierowana jest do mas, więc spokojnie można założyć, że te pozycje stanowią najbogatszą część rynku zbytu. A należy pamiętać, że wydawnictwa, choć bez wątplenia podążają za jakimiś wyższymi celami, w wielu przypadkach bowiem założyciele są ogromnymi pasjonatami, pozostają firmami, których wręcz obowiązkiem jest zarabianie pieniędzy. Bez tego firma upadnie, a ludzie stracą pracę. Skoro wydaje się tyle pozycji popularnych, ergo nastawionych w dużej części na sprzedaż, rynek musi mieć się wcale nie tak źle.

Półzartem można też dodać o powtarzającym w mediach społecznościowych w ostatnim czasie przeświadczeniu, iż przecież czytanie i kolekcjonowanie książek są dwoma oddzielnymi hobby (a kupka wstydliwie rośnie), jednak pokazuje to również, że choć ponad siedem książek rocznie czyta zaledwie/aż siedem procent polskiego społeczeństwa, tak ci bardziej oddani czytelnicy potrafią pochłaniać od kilkudziesięciu do ponad stu książek w skali roku.

Temat mediów społecznościowych w odniesieniu do tekstów literackich to jeszcze zupełnie inna historia. W porównaniu do najbardziej popularnych tematów, w tym właśnie filmów, seriali i gier komputerowych, rynek książkowy ma się znacznie gorzej – lecz w ostatnim czasie rośnie w siłę. Platformy takie jak TikTok czy Instagram zdominowane są przez młodzież, a tam temat literatury jest poruszany bardzo często. Terminy takie jak booktoker czy bookstagramer nie są niczym dziwnym, a znalazły swoje miejsce w języku potocznym i używa się ich na porządku dziennym. Tylko czekać na moment, w którym będzie to postrzegane jako zawód.

Chyba jesteśmy bezpieczni

Bardzo łatwo zatracić się w myśli, że ludzie zgubią pociąg do czytania książek w dobie rozwiniętej elektroniki. Może dobrze by było przyjąć narrację, że czytanie jest modą, która z jednej strony dopiero się kreuje, ale z drugiej może doświadczać wznoszenia i upadków popularności, a także z czasem wracać – jak np. spodnie „dzwony”.

Już teraz w zasadzie czytanie książek jest w pełni opcjonalne, a mimo to nieustannie mnóstwo osób decyduje się na taką rozrywkę. W jednym roku statystyki wyglądają lepiej, w drugim gorzej, lecz już mówi się o ustabilizowaniu, że czterech na dziesięciu Polaków czyta. I z pewnymi zahowaniami myślę, że przez jeszcze długi czas tak pozostanie. Bo czytanie nie jest przymusem ani statusem elitarności jednostki – jest przede wszystkim formą spędzania wolnego czasu, którą wiele osób wciąż wybiera, aby choć na chwilę uciec od niebieskiego światła ekranów, którymi karmione są nasze oczy całymi dniami.

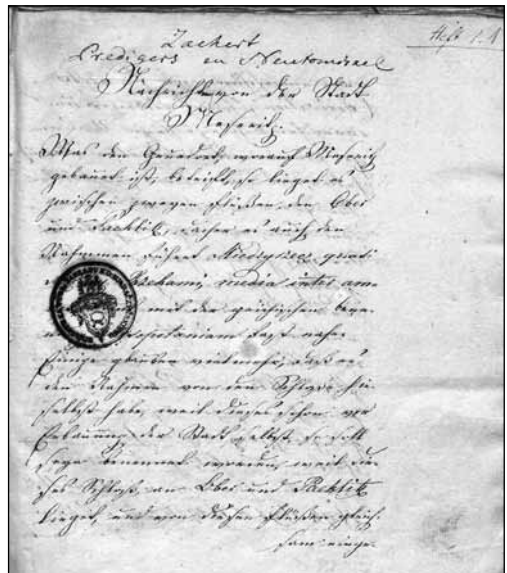
KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Marceli Tureczek

Kronika Zacherta – rozpoznane od nowa źródło do dziejów regionu

W obliczu swoistego kryzysu regionalizmu, przejawiającego się coraz częstszym wykorzystywaniem w licznych publikacjach nie tyle źródeł, co materiałów wtórnych publikowanych np. w internecie i dostarczanych w formie „gotowej” przez sztuczną inteligencję, albo starszych opracowań niemieckojęzycznych nacechowanych nierzadko dość specyficzną interpretacją przeszłości, poszukiwania nieznanymi dotychczas materiałów w formie właśnie źródeł oraz umiejętność ich interpretacji wydają się być ważkim obecnie problemem. Jednym z przejawów tego kryzysu jest również coraz rzadsza umiejętność pracy z materiałem źródłowym w języku niemieckim, pisany starszym pismem gotyckim. Powszechny współcześnie w edukacji język angielski, choć jakże przydatny we współczesnym świecie, eliminuje dziś umiejętność pracy z materiałami źródłowymi, które w naszym regionie są oparte najczęściej na języku niemieckim, a przyczyn tego stanu nie trzeba tłumaczyć. Ważne są również publikacje krytyczne materiałów źródłowych pozornie znanych, które nierzadko funkcjonują w obiegu bez należytej refleksji badawczej. Przykładem takiego ujęcia może być opublikowana w Zielonej Górze przez prof. Marka Biszczanika krytyczna interpretacja (głównie na polu językoznawczym) monografii Hugona Schmidta. Przedsięwzięcie to, choć opatrzone przede wszystkim spojrzeniem natury językowej, ukazało, jak słabo zna-

my pozornie dobrze rozpoznane źródła lub opracowania. Wokół tej książki odbyła się również ciekawa dyskusja za sprawą zielonogórskiego klubu „Tygodnika Powszechnego”, podczas której podejmowano m.in. zagadnienie znaczenia tego typu przekazów dla współczesnej historiografii. Zielonogórski przykład, który miał w pewnym stopniu szczęście – zna-



Rekopies nr 282, pierwsza karta z opisem autorstwa oraz pieczęć własnościowa Biblioteki Raczynskich w Poznaniu

łaż bowiem swojego badacza – pokazuje, jak duży potencjał tkwi w wielu materiałach źródłowych w regionie. Pokazał również, jak wiele możemy jeszcze uzyskać, prowadząc badania nad zasobami archiwalnymi i bibliotecznymi, co dziś jest znacząco ułatwione dzięki rozbudowanym narzędziom, które oferują archiwa i biblioteki. Wywołując przykład opracowania Marka Biszczyńskiego, chciałbym odnieść się do innego, w mojej ocenie równie cennego materiału – pozornie znanego, który udało się dzięki kilkuletnim poszukiwaniom rozpoznać i opracować na nowo.

Kronika Zacherta – bo o tym mowa – to najważniejsze zachowane źródło historiograficzne do dziejów Międzyrzecza. Warto tu podkreślić, że nie była to jedyna taka kronika w dziejach miasta. Z przekazów fragmentarycznych znamy jeszcze kroniki rodziny Spillerów i Wotschke. Ta pierwsza zaginęła jeszcze pod koniec XIX wieku, zaś druga najpewniej w wyniku II wojny światowej, choć akurat kronika Wotschke już w opinii niemieckich historiografów miasta miała najmniejszą wartość poznawczą, gdyż w odniesieniu do okresów starszych (do schyłku XVIII wieku) powieleła dwie pozostałe. Kronika Zacherta, albo Zachertów, powstała w XVIII wieku w kręgu protestanckiej parafii w Międzyrzeczu (nie jest to kronika parafialna), znana była dotychczas z publikacji powstałej na przełomie XIX i XX wieku za sprawą poznańskiego wówczas archiwisty Adolfa Warschauera (1855-1930), wybitnego znawcy zasobów źródłowych i archiwaliów do dziejów Wielkopolski.

W przekonaniu już przedwojennych badaczy oryginał miał zaginąć, tak też uważało wielu polskich historyków. Jednak prace nad polską edycją tego źródła, która dotychczas nie została zrealizowana, początkowo tylko w oparciu o okrojoną edycję Warschauera, przyczyniły się do poszukiwań archiwalnych, w efekcie których udało się w zbiorach poznańskiej Biblioteki Raczyńskich zidentyfikować dwa rękopisy (oznaczone jako Rkps. 275 i Rkps. 282), nierozpoznane w treści, a będące wtórnymi, powstałymi najpewniej na przełomie XVIII i XIX wieku (nr 282) oraz w XIX wieku (nr 275), redakcjami międzyrzeczkiej kroniki Zacherta. Szczególnie rękopis nr 282 wydaje się bardzo interesujący, gdyż jest najpewniej redakcją powstałą jeszcze w kręgu ro-

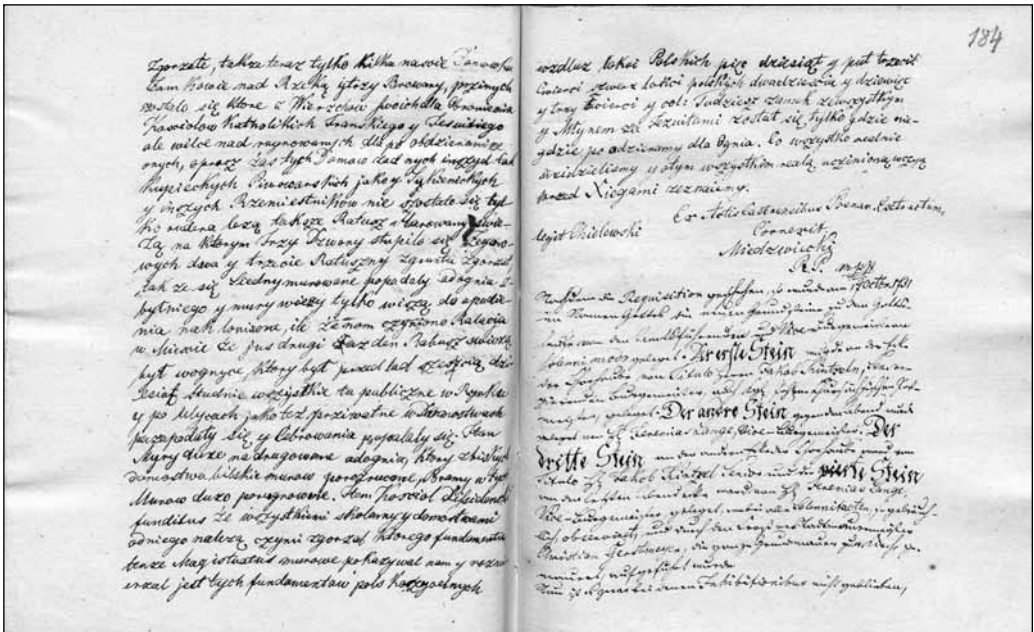
dziny Zachertów, ale być może już w Nowym Tomysku. Jeden z przedstawicieli rodziny – Christian Friedrich Zachert, związany z Międzyrzeczem, był tam wówczas od 1790 roku pastorem i właścicielem (jest podpisany) rozpoznanego egzemplarza rękopisu (a zatem bardzo wcześnie wobec oceny naszego źródła). Na marginesie warto dodać, by zmysłowość o jakiej rodzinie mówimy – mieszczański ród Zachertów, którzy byli zamożnymi rzemieślnikami i pastorami, po 1815 roku przeniósł się na fali migracji „celnej” z zachodniej Wielkopolski – wówczas w zaborze pruskim (z Międzyrzecza i Międzychodu) do Królestwa Kongresowego, gdzie zakładał takie ośrodki przemysłu tkackiego jak Supraśl czy Zgierz. Ostatni z przedstawicieli tego rodu, Jan Zachert odwiedził Międzyrzecz na zaproszenie autora w 2013 roku (zmarł w 2016 roku w Warszawie).

Pomimo że nie jest to oryginał, lecz najpewniej kolejny odpis kroniki (choć w istocie nie wiemy, czym był oryginał w pierwotnej wersji), okazało się, że jest on znacznie szerszy pod względem treści niż wspomniana edycja Warschauera. Przede wszystkim badania rękopisu pozwoliły stwierdzić, że edycja Warschauera w znaczący sposób zmieniła źródło pod względem językowym, ale i w wymiarze treści. Rozpoznany rękopis obejmuje bowiem bardzo ciekawy zbiór dokumentów królewskich, przywilejów miejskich, kościelnych itp., które Warschauer skwitował w swojej publikacji w zasadzie jednym zdaniem: zbiór interesujących dokumentów. Szereg tych dokumentów udało się skomentować i ocenić dzięki badaniom w archiwach w Gorzowie Wielkopolskim, Zielonej Górze, Poznaniu, ale nie brakuje tam materiałów nieznanymi, niezachowanymi w żadnych zbiorach i niepublikowanych nigdy wcześniej, w tym np. znany tylko z ogólnych przesłanek przywilej na budowę konwentu jezuitów w Międzyrzeczu czy też listy królewskie sankcjonujące w XVIII wieku opiekę nad parafią protestancką w obliczu permanentnego konfliktu religijnego w ówczesnej Rzeczypospolitej. Ten wątek jest szczególnie ciekawy, gdyż obrazuje realia społeczno-kulturowe, które w wielu opracowaniach przedstawiane są całkowicie błędnie, ukazując tolerancję religijną w przedrozbiorowej Polsce. To, co widać w źródłach proveniencji szlachec-

kiej, wygląda zgoła inaczej w źródłach proveniencji mieszczkańskiej. Są to materiały nowe, zmieniające w niektórych obszarach wiedzę o przeszłości miasta na tle dziejów politycznych Królestwa Polskiego w XVIII wieku. A przecież mówimy o mieście, które było miastem królewskim, jednym z najbogatszych kluczy dóbr królewskich w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Na uwagę zasługuje fakt, że kronika powstała nie tylko w języku niemieckim, co wcześniej uchodziło za oczywistość za sprawą wielu publikacji niemieckojęzycznych, lecz również w języku polskim i łacińskim. Bardzo ciekawy pozostaje tu język polski – jak się okazuje był to język dokumentów miejskich i kancelarii królewskiej w XVIII wieku. Badania nad proveniencją i treścią rękopisów dostarczyły bardzo wielu wniosków nie tylko w wymiarze historycznym (kwestie wyznaniowe, gospodarcze, społeczno-mentalne, ale i np. meteorologiczne, wojny i klęski), jak również w zakresie badań źródłoznawczych, językowych, szeroko pojmowanych kulturowych na dawnym pograniczu wielkopolsko-brandenbursko-śląskim. Jest zatem odnaleziony rękopis kroniki zabytkiem piśmiennictwa, zabytkiem języka

polskiego i niemieckiego, jest znacznie bardziej bogatym źródłem nie tylko do dziejów Międzyrzecza. I jakkolwiek w wymiarze historycznym dzieje Międzyrzecza, w tym źródła do dziejów miasta, rozpatrywać należy przede wszystkim na tle historii królestwa polskiego i zachodniej Wielkopolski, co znacząco różni ten fragment współczesnego regionu od przeszłości terenów niegdyś śląskich czy brandenburskich, to na tle dziejów współczesnego regionu lubuskiego pozostaje wyjątkowym i dotychczas nieznanym polskim badaniom zabytkiem historiograficznym na tle podobnych, znanych ze Szprotawy, Zielonej Góry, Świebodzina. Odnaleziony zabytek w postaci kroniki, wpisuje się w potrzebę pełnego rozpoznania piśmiennictwa historiograficznego regionu w okresie do XIX wieku, gdy zaczęła się rozwijać nowoczesna historiografia pruska na tych terenach.

Dzięki trwającym kilka lat badaniom i poszukiwaniom rzeczona kronika od tego roku będzie dostępna dla czytelników w formie obszernej krytycznej publikacji książkowej wraz z polskojęzyczną edycją źródła oraz elektronicznym dostępem do oryginału.



Rękopis nr 282, fragmenty w języku polskim

RECENZJE I OMÓWIENIA

Żeby rodzina nie zgaśła...

– o hybrydowym dramacie Jolanty Fainstein *Balony*

Jolanta Fainstein, *Balony*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2025, [68] s.

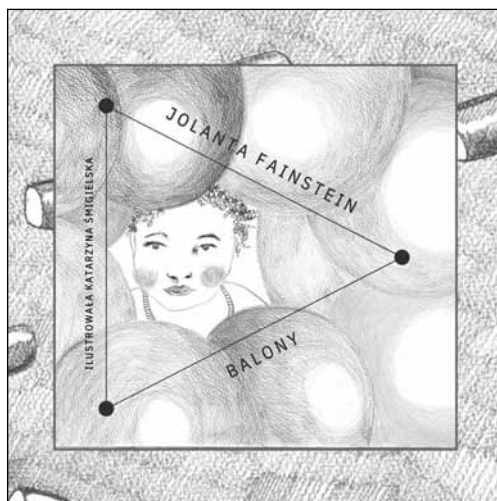
Zwyczajny dzień, poranek, czułe rozmowy, żarty, śniadanie i wymarsz do codziennych obowiązków – taki jest początek. Łagodny, mruga jak iskierka do czytelnika, któremu chce opowiedzieć bajkę...

Zgrana drużyna

Poznajemy rodzinę. Mama – promotorka zdrowego odżywiania i ćwiczeń, z ozdobną spinką w kształcie pawiego ogona we włosach marzy o fermie pawi. Tata ubrany w koszulę w cyfry, liczy, oblicza, odmierza, musztruje: „Ogłaszam zbiórkę przy drzewach. Do dwóch odlicz!”¹. Dziecko, około 10 lat, pieszczotliwie nazywane „Żabcią”, doświadcza w relacjach z rodzicami rozmów, śmiechu, czułych gestów, takich jak próby pocałowania jego stópek, łaskotki czy przytulenie. Rodzina wspólnie spędza czas, uczy się, gra w gry ruchowe, układa puzzle. Rodzice i dziecko tworzą zgraną drużynę – wspólnotę, połączoną bezpieczną, stabilną więzią. Panują tu charakterystyczne zasady i komunikacja. Czas przyjrzeć się im bliżej.

„Kłótniny”, czyli o komunikacji

Dialogi rodziców zbudowane zostały tak, aby uchwycić sztamperki, odtwarzane bez większego namysłu schematy. Dominują w nich komunikaty „ty”, nadmierne uogólnienia poprzez formy typu „zawsze”, „nigdy”, wzajemne obwinianie się, krzywdzące porównania i oceny. Dzięki refrenom, powtórzeniom, powstaje efekt echa. Rozmowy są właściwie bez treści, kon-



¹ Wszystkie cytaty z omawianego utworu Jolanty Fainstein pochodzą z wydania: J. Fainstein, *Balony*, Białystok 2025.

kretnego tematu, oparte na wzajemnych pretensjach zamiast mówienia o potrzebach i uczuciach, skoncentrowane na szukaniu winnego, a nie rozwiązań.

Towarzyszy im charakterystyczna komunikacja niewerbalna, ujęta w didaskaliach: wymachiwanie rękami, nerwowe chodzenie po pokoju. Kroki i gesty dziecko widzi jako poruszające się cienie, odbijające się na ścianach, słyszy też podniesione głosy. I to wszystko kładzie się cieniem... „Kłótniny” – nazwa z wymownym przyrostkiem – kłębią się w głowie dziecka, które wierszuje:

Kłótnie, kłótniny,
Znów to samo...
Pyk! I nie ma rodziny...

Chciałoby się westchnąć: „Cyt, iskierka zgasła...”. Jednak na szczęście kurtyna w tym momencie nie opada i kiedy lęki zostają oswojone, a szczerze, ale spokojne rozmowy o uczuciach podjęte, znowu można grać w Twistera. I nie trzeba czekać na wybuch, a z balona emocji i dystansu można bez hałasu spuścić powietrze i znowu być razem, blisko.

Zabałaganieni czy sensoryczni?

Zanim nadejdzie happy end, emocje czynią w głowie – i nie tylko – spore zamieszanie. Dziecko ma poczucie winy, boi się, że rodzice kłócą się z jego powodu. „Balonowy” dystans, nadęcie, naburmuszenie rodziców nie pozwalają im zachować porządku, spokoju: „Tylko przewracacie rzeczy, robicie bałagan w domu i w mojej głowie”; „Macie dłoń, ale ich nie używacie. Nie macie dotyku”. Rodzice, między którymi powstaje atmosfera napięcia, przestają przytulać dziecko, układać z nim puzzle. Napompowani nie potrafią być sensoryczni.

Gdy rodzice się kłócą, dziecko cierpi z powodu bólu brzucha, mamę boli głowa, tatę serce. Przeciwwagą dla takiej somatyzacji stają się szczerokość i płacz dziecka, które uwalniają smutek, złość i emocjonalną „opuchliznę”. Rodzina odzyskuje sprawność, dotyk, ruch i radość życia, a szare myśli i mrok nocy zamieniają się w kolory jak w dziecięcej rymowance o pawiu:

[...]
Czy pióra twe rozświetlą ukrytą drogę w mroku?
Czy oczka na twych piórkach ujrzą prawdę świata?
Czy miłość, co uskrzydła – u pawi jest skrzydlata?

Wmyślanie się w dziecko i dorosłych

Jak zauważają znawcy teatru Marzanna Wiśniewska oraz badacz antropologii literatury i dzieciństwa Maciej Wróblewski:

[...] widowisko teatralne niesie w sobie kulturową i psychospołeczną energię pomocną w kietznaniu lęków, interpersonalnych konfliktów, burzących psychofizyczną równowagę wewnętrznych napięć. Oczywiście, teatr nie jest remedium na nowoczesne bolączki dzieci i dorosłych, ale na pewno pomaga uporządkować rozchwianą rzeczywistość i choć na chwilę nadać „płynnej nowoczesności” formę przejrzystej struktury².

Autorka *Balonów* mentalizuje uczucia zarówno dziecka, jak i – dzięki wspomnianym już np. sztampowym kłótniom – rodziców. Potrafi „wmyślać się” w te postacie, empatycznie i rozumiejąco rozpisuje świat ludzkich emocji na sceny. Ten przekaz wspomagają koncepcje scenograficzna i muzyczna, odpowiadające wydarzeniom, np. kolorystyka czy „łagodna kakofonia dźwięków wydawanych przez ryby, koniki morskie, fale, bąbelki powietrza unoszące się ku powierzchni”. W ten sposób:

[...] sztuka teatralna pozwala uczestnikowi widowiska na uchwycenie prawd niekiedy ledwie przeczuciwalnych. Nieprzypadkowo starożytna idea *katharsis* zasadzała się na rozpoznaniu między sytuacją sceniczną a własną, na prowadzącej od uczucia lęku i trwogi identyfikacji z bohaterem, a ostatecznie na oczyszczeniu się z negatywnych emocji³.

² M. Wiśniewska, M. Wróblewski, *Teatr dla małego i młodego widza. Zarys problematyki*, [w:] *Teatr i dramatyka dla dzieci i młodzieży*, pod red. M. Wróblewskiego, Toruń 2016, s. 16-17.

³ J. Kaniewski, *Zapomniany język? O roli wypowiedzi teatralnej w dyskursie tożsamościowym. Na materiale projektu „Laboratorium Teatralne”*, [w:] *Teatr i dramatyka...*, s. 53.

Dramat hybrydowy

Jolanta Fainstein sięga po estetykę hybrydową. Łączy w *Balonach* plan żywy i plan lalkowy, realistyczną przestrzeń domową i abstrakcyjną przestrzeń wodną. Problemy realne i bliskie młodemu człowiekowi zestawione zostały ze światem baśni i przyrody.

Gdy pewnej nocy dziecko wpada do kałuży swoich łez, spotyka postacie, które uosabiają problemy, ale też znajdują ich rozwiązania. Strach na wróble czuje się fizycznie i emocjonalnie odrzucony przez tych, którzy się go boją. Uczuciowa chmura miewa w sobie dużo złości. Meduza cierpi z powodu poczucia winy. Brzydkie Kaczętko mówi o swoim przeżywaniu opuszczenia, samotności. Następuje tu wymiana – świat realny i abstrakcyjny wzajemnie sobie pomagają. Ten drugi podpowiada: poznać, oswoić swoje uczucia, nie obwiniać się, rozmawiać: „Szczerość to podstawa”, uwalniać emocje jak... krople deszczu.

Hybrydowy charakter dramatu odzwierciedla się także w dziecięcej kreatywności – w wierszykach, które występują obok fragmentów nierymowanych, choć również rytmicznych. Ta „mowa wierszowana, zrytmizowana zdaje się być swoistym znakiem umowności zdarzeń, co zresztą przypisuje się w ogóle sztuce teatralnej”⁴.

⁴ K. Koziołek, M. Wójcik-Dudek, *Dziecko w teatrze*, [w:] *Literatura dla dzieci i młodzieży (po roku 1980)*, t. 2, red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 2009, s. 19, cyt. za: V. Wróblewska, *Dramat dla dzieci folklorem podsztyty*, [w:] *Teatr i dramat...*, s. 2018.

*
Ilustrowany przez Katarzynę Śmigielską i wydany przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku utwór z serii „Bajkowa Książniczka” był już prezentowany w formie czytania performatywnego w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze. Twórczyni *Balonów* jest też autorką dramatów dla dorosłych: *Mama ma szorstkie ręce*, *Dybukii* *Zjem babie lato*. Wyróżniana w konkursach, publikuje również wiersze i nie tylko.

Tym razem adresatem dramatu jest przede wszystkim młodsza część widowni, choć odnajdą się w nim zapewne także dorośli. Tekst można czytać wspólnie, rodzinnie, z podziałem na role. Ważną funkcję w koncepcji dramatu pełnią lalki, które są częstym elementem polskich spektakli dla dzieci i młodzieży. Co ciekawe:

Teoria teatru adresowanego do dziecka nawiązuje do różnych dziedzin: pedagogiki, psychologii, socjologii sztuki czy teorii teatru w ogóle, ale ostatecznie nie stworzono jeszcze jakichś zwartych koncepcji, które mogłyby być odniesieniem dla twórców teatru dla dzieci, jego krytyków, teoretyków, a także samych odbiorców. Istotnym bowiem wyróżnikiem jest tu adresat artystycznych działań, czyli dziecko⁵.

Katarzyna Krysińska

⁵ E. Tomaszewska, *Odnaleźć siebie. O teatrze dla dzieci i młodzieży*, [w:] *Teatr i dramat...*, s. 24.

Igrekowe smętymęty

Karol Bosek, *Pierwsza cytrynówka*, Graf Media, Zielona Góra 2025, 72 s.

Dawno, dawno temu w odległej... Nie. Wcale nie tak dawno temu i w żadnej odległej galaktyce, a na początku XXI wieku w Polsce wchodził w dorosłość Y. A dokładniej – całe pokolenie o tej nazwie. Literę Y w alfabecie angielskim czytamy jako [waɪ], co jest homofonem wyrazu „why” (znaczy: dlaczego). Generacja, której myśli i przeżycia wyfaniają się z tomiku *Pierwsza cytrynówka* (urodzonego w 1987, a więc

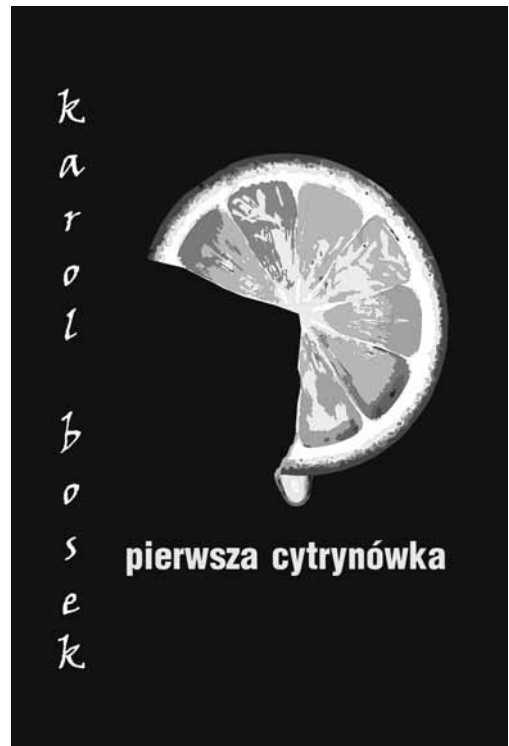
należącego do niej) Karola Boska, ma wiele powodów, żeby zadawać pytania zaczynające się od „dlaczego?”. Będąc aktualnie bliżej tak zwanego wieku średniego, ma przed sobą jeszcze sporo chwil, ale także wiele już za sobą. Rodzi to tak refleksje, jak i sentymenty. Lub *smętymęty*, jak woli nazywać je podmiot liryczny w pierwszym wersie utworu (*Pomiędzy grawitacją*).

Zacznijmy jednak od początku. Granatowa okładka (projekt autorstwa Macieja Staszaka), na niej żółty napis „pierwsza cytrynowka”, ponad nim zielono-żółty plasterek ze spływającą kroplą soku wycięty w charakterystyczny kształt ozdoby szklanki z drinkami. Po lewej białymi literami zapisano imię i nazwisko autora. Te kontrasty przyciągają wzrok i dobrze komponują się ze znajdującymi się we wnętrzu publikacji treściami. Przywołują skojarzenia z okładką płyty lub ulotką reklamującą bar z czasów końca lat 90. i początku 2000. – zapraszają do świata doświadczeń i wspomnień.

Tomik ten podzielony jest na trzy części: *Podobno to tylko słowa*, *Wiersze rymowane* i *Wiersze szczepione*. Wbrew pozorom, nie różnią się one aż tak tematycznie. Ich główną różnicę stanowi forma zapisu. Wyłaniający się z nich, a zdający się być wspólnym mianownikiem, podmiot liryczny od pierwszych wersów porusza się bezbłędnie w popkulturze, z którą chętnie wchodzi w dialog. Dzieje się tak choćby w wierszu *Dzieci*, w którym trudno nie dostrzec nawiązania do treści ogranego przez każde radio hitu Elektrycznych Gitar *Dzieci wybiegły*. Jest doskonale zorientowany w aktualnych tematach i problemach – żongluje nimi, bawiąc się słowami (jak w wersie z *Syren*: „Był o samej wodzie, wpadł w cug bezalkoholowy”). Ostro rozprawia się także ze światem idoli, choć niektórych z nich, jak Roberta Brylewskiego w utworze *Postacie fikcyjne*, oszczędza. W tym samym utworze rozlicza za to bezlitośnie z powierzchownych deklaracji, za którymi nie idą żadne czyny lub, jeśli idą, stoją w absurdalnej sprzeczności z wyznawaną ideologią. Ma to miejsce w wersach: „Nie wiem, co stało się z ludźmi/ Widzę punka i anarchistę gotowego strzelać/ Świadomą społecznie homofobkę i rasistkę”. W wielu momentach stawia trafną i smutną diagnozę współczesnego świata, wskazując na kiepską kondycję próbującego odnaleźć się w nim człowieka. Najmocniej zdaje się to być słyszalne w ostatnich wersach dystopijnych *Smutnych miasteczek*: „Ludzie nie widzą cię, ale zauważają. / Nie zauważają, a myślą, że widzą. / Dzień dobry mówią jak »żegnaj«”, ale także w *Relacjach*, które „Grają pierwsze skrzypce, choć nie są mocną stroną/ Schematyzują się [...] / Kumpel powiedział kiedyś, że jesteśmy

jak w Oz:/ bez rozumu, bez serca, odwagi/ A w rzeczywistości to nasze główne cechy”.

W moim odczuciu *Syreny* są najmocniejszym (choć cały tomik jest raczej równy pod względem warsztatowym) utworem diagnozującym współczesny świat. Będący w pewnym sensie poematem drogi, nieuchronnie prowadzi w kierunku podobieństw z historią Odysusza (który – w przeciwieństwie do bohatera Boska – dzięki sprytowi nie uległ morskim nimfom), ale też piosenką Artura Rojka o tym samym tytule (zwłaszcza fraza „Chociaż jak syreny/ Budzą mnie o tobie sny”). Narracyjnie czasem przypomina również *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego. Pozornie banalne omówienia spotkań z przedstawicielkami płci przeciwnej stanowią tak naprawdę zapis tego, w jakich realiach porusza się (i poruszał – gdyż nie brak tu nawiązań do przeszłości) podmiot liryczny. Jest to także historia, w której gra słów odzwierciedla chaos i komizm otaczającej go rzeczywistości. Czytamy tu między innymi takie frazy: „Najemca chciał wy-



rzucić moje rzeczy na polbruk/ (Bo w Polsce nie ma bruku, to nie zagranica)" czy „Wyprawiane kłopoty, sprawiane urodziny”. Te językowe zabiegi (stosowane także w innych lirykach) ściągają z dość gorzkiej w wydźwięku historii ciężar patosu, który mógłby ją przytłoczyć. Prowadzą także z czytelnikiem grę. Gdy już wydaje nam się, że wiemy, kim lub czym są tytułowe syreny, pojawia się fraza „Samotność brzmi jak głos rozlegających się syren” i tracimy pewność, że chodziło o nęcące miłym głosem kusicielki, a zaczynamy zastanawiać się, czy to jednak nie sygnały alarmowe czasu wojny.

W tomiku tym pobrzmiewają echa muzycznych festiwałów, zakrapianych tytułową cytrynowką studenckich imprez, dźwięków wiadomości SMS w aparatach bez polifonii i popiskiwań modemów z początków globalnego podłączenia do internetu. To wszystko doskonale wtapia się w opowieść o współczesności, gdy udzielono głosu dwóm generacjom naraz w wierszu *Y, Z*, w którym podmiot liryczny nie dzieli ich na stojące w kontraście, jak to ma obecnie miejsce w dyskursie publicznym. Przeciwnie – dla niego więcej ich łączy, niż dzieli. Ci ludzie według niego „Są jedną nogą w trumnie/ Jedną nogą w traumie [...] Jedną w prawdziwym świecie/ jedną w Internecie” i jednocześnie „Sami jak pająki”. Trudno o bardziej trafną, a jednocześnie przejmująco smutną diagnozę. Pojawia się tu również tęsknota za przeszłym życiem, które, jak w *Vincencie (Abstrakcji)*, „było

wtedy bardziej abstrakcyjne, [...] nie tak neuronalne i streszczone”. Twórczość Boska stawia pytania o to, dlaczego świat wygląda tak, a nie inaczej, jednocześnie nie dając żadnych odpowiedzi. Podsuwa wprawdzie pewne sugestie. Za przykład może tu posłużyć ważne pytanie z *Konduktu pogrzebowego*: „A co, jakbyśmy jechali z umierającą ciężarną/ Czy byłby to taki sam grzech/ Jak aborcja, przejechać »na czerwonym«?”. Religia zresztą często jest tu na celowniku, jak choćby w krótkiej, a wymownej *Fotografii prezbiterium*, gdzie czytamy: „[...] to jest kościół/ Tu zawsze będzie ciemno” – stwierdzenie będące kolejną ponurą konstatacją.

Pierwsza cytrynowka Karola Boska to tomik, w którym świadome zastosowanie słownych gier rozbawi czytelnika, wprowadzi do krainy nostalgii, ale też skłoni do refleksji nad współczesnością, która w dużej mierze jest tu przedstawiana w niewesołym świetle. Ze składających się na tę publikację wierszy przebija świadomość twórcza – poeta doskonale wie, co i w jaki sposób chce odbiorcy przekazać. Odnoszę także wrażenie, że – celowo lub nie – aspiruje do stania się głosem pokolenia (a może nawet, momentami, dwóch pokoleń?).

Bez wątpienia jest to ciekawa propozycja czytelnicza. Nie tylko dla pogrążonych w „smętymentach”, nostalgicznym igreków.

Agata Kostrzewska

Nie zwykliśmy publikować reakcji poetek/poetów na recenzje ich książek, ale często słyszymy, jak bardzo są zaskoczeni tym, co przeczytają lub usłyszą na temat własnych utworów. Publikując książkę, odcinają jakby pępowinę, nie mają już wielkiego wpływu na jej dalsze życie. Czasem zdarza się też tak, że twórca nie wie wszystkiego o swoim dziele. Znając przekorę Karola, wysłaliśmy mu zgrabnie napisane przez Agatę Kostrzewską omówienie jego najnowszego tomiku. Długo nie musieliśmy czekać, bo Karol oczywiście odpisał. Nie chcieliśmy jednak, żeby to było skierowane tylko do nas, więc namówiliśmy go, żeby napisał odpowiedź do kwartalnika.

redakcja

Przeźrocza. Kilka komentarzy poety do recenzji

Dziękuję za recenzję. Nie chciałbym, aby moja odpowiedź wyglądała na pretensje lub polemikę – po prostu świeżo po pracy redakcyjnej pamiętam odniesienia pojawiające się w książce i swoje intencje. Oczywiście interpretacja zawsze jest subiektywna. Na uczelniach i w szkołach zmusza się do zgadywania, co autor miał na myśli, pracując do w bardziej spontaniczny lub wysublimowany, polonistyczny sposób. Nie w tym rzecz. Z mojego punktu widzenia twórcy zawsze bawią się formą, wyrażając jednocześnie jakieś swoje odczucia, emocje i wizje. Autor zawsze ma jakieś intencje, styl, myśli do przekazania – w efekcie chodzi jednak czasami o frajdę i okazję do trochę innego przeżywania niż na co dzień.

Wiersze siłą rzeczy są bardziej wieloznaczne niż dosłowne, choć mogą być takie i takie. W tym tomiku, w przeciwieństwie do poprzedniego, który był, zdaje się, odrobinę bardziej naturalistyczny, dominują chyba emocje i – jak sugerują mi czytelnicy – przenośnia. Dlatego pozwolę sobie odnieść się do niektórych spostrzeżeń, aby naświetlić swój punkt widzenia. Chociaż nie ma obowiązku się tym sugerować. Mówiąc o czyjejs poezji, czy szeroko pojmowanej twórczości, dorzuca się swoje do pieca – odkrywa się swój świat wewnętrzny i swoje odniesienia.

Oprawa

Nie miało być nawiązania do drinków, świadomie chcieliśmy uniknąć takiego odniesienia, chociaż to rozumiałe, że *Pierwsza cytrynówka* przywodzi na myśl taki obraz. Rzecz w tym, że to bardziej „pierwszy krok w chmurach” – pierwsza myśl, świeżość spojrzenia i pewnego rodzaju nostalgia. Poniekąd kontynuacja *Cytrynówki* (to tomik z 2022 roku), a jednak coś pierwotniejszego, jak debiut. W poprzedniej książce był wiersz o białej, rozłożystej i pięknej ćmie. To coś w tym rodzaju – hełm z irokezem, sok z rozchylonych nóg, gra (słów) i równoległy świat. Ale to po prostu okładka i – moim zdaniem – nie ma co tego nadinterpretować.

Syreny

W *Syrenach*, które sam też mógłbym nazwać wierszem wiodącym, nie było nawiązania do piosenki Rojka, chociaż wyszła w podobnym czasie, w którym osadzona jest akcja tego poematu, ale rok później. Jest za to *Długość dźwięku samotności* – „samotność brzmi jak głos rozlegających się syren”. Myslovitz miało też lubieżną piosenkę na temat Marilyn Monroe. Ta „pieczęć” Andy’ego Warhola pojawia się w utworze o „smętymętach”, a chodzi w niej o dziewczynę przypominającą aktorkę z *Trainspotting*, fajniejszą niż te na obrazkach.

W wierszu o syrenach (i Syrenach) pojawia się np. nieprzyjazny gest, „sieć heil to the thief” – to nawiązanie do Radiohead. To raczej echo, ciekawostka, pewnego rodzaju kontekst, ale na pewno nie trop, którymi trzeba podążać, aby pojąć sens. Nie było też nawiązania do Elektrycznych Gitar. Oczywiście nie mam pretensji o taką interpretację. Poza paroma wyjątkami raczej unikam kontekstów kulturowych – chcę, aby wiersz sam w sobie był dla odbiorcy tropem, postmodernizm i *gros* punktów odniesienia to nie mój sposób wypowiedzi, przynajmniej nie w tym tomiku.

Syreny to kanibale wyciągające człowieka w morze lub miasto, wabiące go swoim śpiewem. Chociaż to po prostu obrazowy motyw o dwojakim znaczeniu, naturalnym i koszmarnym. Chociaż *Syreny* są (dla mnie) trochę takim *opus magnum* tego tomiku, niemniej, a może i bardziej istotne wymieniłbym *Postacie fikcyjne* czy *Vincenta*.

Oszczędzanie

Brylewskiego czy Kory „nie oszczędzam” tylko, jak już, upamiętniam – i nie wiem, czy tak bardzo rozprawiam się z ludźmi, stronię chyba od uderzania w konkretne osoby, a już na pewno nie imiennie. Może diagnozuję ze swojego punktu widzenia jakiś moment w historii, przedstawiam osobiste wspomnienia. Jeśli ktoś znajdzie w tym swoje odbicie, to znaczy, że uczestniczył w czymś, albo był czymś podobnym.

Podmiot liryczny i twórca

Recenzentka żongluje podmiotem lirycznym i Karolem Boskiem. W porządku. Podmiot liryczny zakłada kreację, choćby autentyczną – prawdziwe zmyślenie, ale też nieco inną emocjonalność niż prezentuje się na co dzień. Imię i nazwisko to zaś dla poetów nieraz sztucznie stworzony piedestał, wizerunek wykreowany na kanwie ich wierszy, potencjał, ale też pułapka. Dlatego że każdy odbiera to inaczej – świat przedstawiony, postać, człowieka, przenośnię. Na pewno nie chcę być głosem pokolenia. Dobrze wziąć pod uwagę, że dusze artystyczne, niespełnione osoby, ludzie zafascynowani sztuką to tylko garstka osób. Chwilami ze względu na ciągłe przemiany i presję odczuwalną wokół odnoszą się do tego wszystkiego. Ciągle jednak z własnego, nieraz chwilowego punktu widzenia. Jeśli ktoś ma zbliżone odczucia, choćby z powodu empatii czy podobnego sposobu myślenia, nie znaczy jeszcze, że noszą koszulkę z definicją sugeruję, że wszyscy przeżywalimy podobnie i myślimy to samo. Ten tomik to melancholia, spojrzenie na chwilę obecną, poetyczna odklejka. „Smętymęty” brzmiały-

by przy tym pejoratywnie – to przede wszystkim gra słów i autoironia przechodząca jednak w przeżroczą.

Wolność, równość i dowolność

Recenzentka nie powiedziała jednoznacznie, że moja książka jej się podoba, chyba jednak tak było, skoro wypowiedziała się o niej z nutą zaciekawienia. Jedną z kwestii podjętych w komentarzu była równość wierszy. Moim zdaniem wiersze nie mogą być równe. Mogą być autentyczne, dobre, pewnie i takie sobie, dosłowne, alegoryczne, lekkie i chropowate, zrozumiałe lub nie. Czyta się je dla przyjemności, z nudów, potrzeby serca. Poeci są obecnie gatunkiem niemalże objętym ochroną, a jeśli mówią, że piszą dla siebie, kłamią, bo każdy potrzebuje odbiorcy. Dlatego wszelkie wydawnictwa możliwie niezależne i próby tworzenia bastionów twórczych były, są i będą cenne. Wspomnę tylko jako ciekawostkę, że *Wiersze szczenięce* zawarte w tomiku są z 2005 roku.

Pozdrawiam Autorkę recenzji szczególnie, a także innych odbiorców.

Karol Bosek

Literatura, która nie milczy. Maria Fraszewska w ogniu języka

Maria Fraszewska, *Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem, refleksje zagajane eseistycznie*, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2025, 204 s.

Maria Fraszewska – poetka, prozaiczka, eseistka, aktywistka. Jej głos od ponad trzech dekad rozbrzmiewa na styku literatury i rzeczywistości społeczno-politycznej. Najnowszy zbiór esejów *Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem* potwierdza, że autorka nie tylko aktywnie uczestniczy w przemianach świata, ale też je komentuje – z pasją, wnikliwością i odwagą.

Obserwatorom zielonogórskiego życia literackiego sylwetki Marii Fraszewskiej przybliżyć nie trzeba. Znamy ją bowiem od roku 1990, kiedy zadebiutowała poetycko, publikując swoje teksty zarówno w Zielonej Górze (na łamach „Gazety Nowej”), jak i w ko-

szalińskim „Gońcu Pomorskim” – pierwszej prywatnej gazecie codziennej w regionie Pomorza Zachodniego i Środkowego (należy przypomnieć, że M. Fraszewska pochodzi ze Słupska).

Od tego czasu jej wiersze, eseje i proza ukazywały się wielokrotnie – w prasie literackiej, w antologiach oraz jako samoistne publikacje książkowe. Wśród czasopism, które publikowały jej twórczość, wymienić należy m.in. „Bezkres”, „bruLion”, „Migotania”, „Na Winnicy”, „Przedproza”, „ReWiry”, „Suburbia” czy „Tygodnik Literacki”. Spośród antologii warto przywołać zwłaszcza *Wiersze na murach 2010-2020* (Kraków: Fundacja Poemat, 2021), czyli zbiór utwo-

rów wyświetlanych uprzednio na słynnej kamienicy przy ul. Brackiej 2 w Krakowie*.

Lektura poszczególnych wypowiedzi Fraszewskiej pozwala stwierdzić, że oto mamy do czynienia z postacią wyjątkową w krajobrazie współczesnej kultury polskiej – poetką, eseistką, prozaiczką i aktywistką, która od dekad nie tylko komentuje rzeczywistość, ale aktywnie ją współtworzy. Cechują ją bezkompromisowy język, odwaga w stawianiu trudnych pytań oraz umiejętność łączenia literackiej wrażliwości z wyrazistym etosem obywatelskim. Jej twórczość nieustannie sytuje się zatem na styku literatury i życia publicznego, balansując pomiędzy refleksją filozoficzną a interwencją społeczną (za swoje szeroko rozumiane zaangażowanie artystyczne i społeczne w roku 2023 otrzymała tytuł „Kobiety Roku Województwa Lubuskiego”, przyznany podczas 14. Lubuskiego Kongresu Kobiet).

Od wczesnych lat 90. XX wieku Fraszewska angażuje się w działania na rzecz wolności słowa, praw człowieka i niezależności instytucji kultury. Współtworzy niezależne inicjatywy wydawnicze i społeczne, jest też jedną z liderek ruchów obywatelskich, reagujących na narastające napięcia polityczne i kulturowe w Polsce. Jako autorka esejów wyróżnia się stylem pełnym erudycji, a jednocześnie głęboko zakorzenionym w codziennym doświadczeniu. Odwołuje się do klasyki filozofii, literatury i myśli krytycznej, ale równie często sięga po

sprawy lokalne i konkretne – mniej lub bardziej widoczne na pierwszy rzut oka. Jej głos bywa w nich ostry, niekiedy prowokacyjny, zawsze jednak skłania do myślenia i działania. Nie inaczej rzecz się ma w przypadku jednej z ostatnich jej publikacji – *Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem*.

Eseje zebrane w tym tomie powstawały w różnym czasie. Są reakcją na konkretne wydarzenia czy zaobserwowane procesy społeczne i kulturowe. Stanowią, a w każdym razie trudno nie odnieść takiego wrażenia, kolejną odstonę twórczej wrażliwości ich autorki. Z jednej strony poruszają tematy, które zewsząd nas osaczają (myślę, że nie przesadzam – zwłaszcza w kontekście przywołanej tu napaści Rosji na Ukrainę), a z drugiej – pozbawione są takiego ciężaru, co nie oznacza, że brak im istotności! Dotykają bowiem „metafizyki codzienności”, wysuwając na pierwszy plan rozważania odnoszące się do sposobu przesypywania „przez sito własnej niedoskonałości wielkość i szlachetność własnych doznań” (to na przykładzie twórczości Anny Świrskiej, której liryki, zdaniem Fraszewskiej, „edu-

* Akcję tę zapoczątkowała 24 października 2002 r. Fundacja Poemat i poeta Michał Zabłocki w ramach projektu „366 wierszy w 365 dni” – codziennie wieczorem projektowano nowy wiersz polsko-angielski na fasadzie budynków w Krakowie i Warszawie. Od 1 stycznia 2006 roku projekt przeniósł się na stałe do Krakowa (na ul. Bracką 2) i od tej pory codziennie w jej ramach prezentowany jest nowy wiersz. Przywołany zbiór zawiera 245 starannie wybranych wierszy z lat 2010-2020. Ich doboru dokonał sam M. Zabłocki. W antologii znalazło się około 120 różnych autorów – zarówno debiutantów, jak i uznanych poetów, samo zaś wydanie antologii przygotowano z okazji 20. rocznicy istnienia projektu. Więcej na ten temat – zob. 20 lat „Wierszy na murach” w Krakowie. *To najdłużej działająca poetycka akcja w przestrzeni miejskiej na świecie*, https://www.wprost.pl/kultura/10917580/20-lat-wierszy-na-murach-w-krakowie-to-najstarsza-akcja-poetycka-na-swiecie.html?utm_source=chatgpt.com [dostęp: 11 lipca 2025].



kuj[ą] nas współczesnych, rozbitych na kawałki, i zapraszają] do nawiązania współpracy”).

Należy też zauważyć, że poszczególne odstony pomieszczone w zbiorze „refleksji zagajanych eseistycznie” brzmią tak, jakby wyszły spod pióra nie tylko literatki, ale i badaczki literatury czy socjologii, której wykłady są efektem głębszego zastanowienia się nad poruszonymi zagadnieniami, nie stroniąc przy tym od analiz właściwych psychologii.

Każdy z zamieszczonych w prezentowanej książce tekstów zasługuje na lekturę (niekoniecznie wszystkie naraz i zgodnie z zaproponowaną kolejnością). W każdym z nich, w tym samym natężeniu

i z tą samą przejrzystością wywodu, wybrzmiewają intuicyjne odczuwanie rzeczywistości z eksperckim łączeniem faktów, spajanie nauki z poetycką refleksją.

Po wydanej w roku 2024 powieści *W siłach namiętności. Wirtualni ulicznicy* i po wcześniejszych tomikach poetyckich *Wio w snach* (1995), *Z wiatrem* (2009), *Płonące języzki* (2021), *Posypana wiatrem* (2022), *Prze konanie* (2023) oraz *Od mięty i od męty* (2024) otrzymaliśmy „refleksje zagajane eseistycznie”. Zapewne i ów zbiór nie sposób będzie „prze milczeć” – jakby to powiedziała sama autorka.

Tomasz Ratajczak

Wierszoterapie jako filozofia życia?

Patrycja Purgał, *Wierszoterapie*, Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Wrocław 2024, 46 s.

Poezja Patrycji Purgał charakteryzuje się tym, że choć silnie opiera się na jej osobistych doświadczeniach, porusza tematy uniwersalne. Na pierwszy rzut oka jest to poezja opisująca doświadczenia wkraczających w wiek dojrzały millenialsów (albo to moja projekcja, od której spróbuję się odbić poniżej): powrót do małych ojczyzn, konieczność odnalezienia się w mieście z jednym teatrem, gdy wcześniej miało się do dyspozycji sceny metropolii. Trudne wybory, pierwsze ćwiczenia z utraty, pożegnania, ale i nowe początki. Zwijanie i rozwijanie się.

Dominujące jest tu poczucie niesprawiedliwości pojawiające się w kontakcie ze światem. Alergia na zło. Psychosomatyczna reakcja na cierpienie i niesprawiedliwość, którą współodczuwamy jako czytelnicy. Życie w obliczu pewnej konieczności, która zawraca cię z pewnych – jak się wydawało – na trwałe wytyczonych torów. Konieczność ta konfrontuje cię z twoją przeszłością i pochodzeniem, ale – co przecież banalne, a prowadzi do niebanalnych konkluzji – patrzysz na to wszystko już innymi oczami. Zmęczonymi i pozbawionymi złudzeń, ale też wyposażonymi w ironię. *Wierszoterapie* ściskają za gardło, ale często zamiast antycypowanego szlo-

chu (który też się pojawia, ściele się gęsto jak trup w kryminatach) wydobywa się śmiech: śmiech ratujący życie. Ironia jako koło ratunkowe. Opisując cierpienie, Patrycja Purgał potrafi być ironiczna jak Ewa Lipska. Kiedy czytelniczce robi się już naprawdę bardzo smutno, poetka przychodzi z odsieczą w postaci poczucia humoru (*Pokrzywka idio(pa)tyczna*). „Co miesiąc będzie pani przyjeżdżać na oddział na wlewy dożylnie immunoglobulin w wściekłego chomika, które obniżą pani przeciwciała wrażliwości”.

Podstawowym środkiem zaradczym jest pisanie: pisanie, żeby żyć i pisanie mimo dziejącego się życia. „Gdybym miała odwagę, zajmowałabym się tylko pisanie” (*We śnie*). Nie sposób nie skojarzyć tego z tym, jak w dziennikach i listach przedstawiał siebie Franz Kafka: „Nie *jestem* niczym innym jak *tylko literaturą*, niczym innym być nie mogę i nie chcę”.

Autorka pisze też o tych bardziej dosłownych kołach ratunkowych, których świat nie rzucił tonącym dzieciom. Mówi o swojej nietolerancji na zło, o tym, że nawet przewlekła choroba (ból kręgosłupa, drżenie rąk) nie wykańcza jej tak, jak świadomość istnienia zła w świecie i pewna związana z tym bezradność: „[...] palce mrowieją, pisanie sprawia

trudność" (*Koniec lata*) albo „W pracy uciekam od pracy. W domu uciekam do poezji. W poezji brakuje odpowiedzi. Nie ma mnie ani tu ani tam” (*Koniec lata*).

W wierszu *Zimowy poranek* Purgał pisze o poczuciu niesprawiedliwości, skrzywdzonych dzieciach, obozach śmierci, wojnie, łodzi ratunkowej, która jest złudzeniem, oraz rzece, w której nie przybywa dobra: „W pustym pokoju o świcie zarys poduszki na łóżku przypomina łódź ratunkową. Złudzenie trwa tylko moment, gdy oczy dotknięte światłem lampki jeszcze poddają się grze szarości i pozorów. Przez pusty zimny pokój przepływa wysychająca rzeka”.

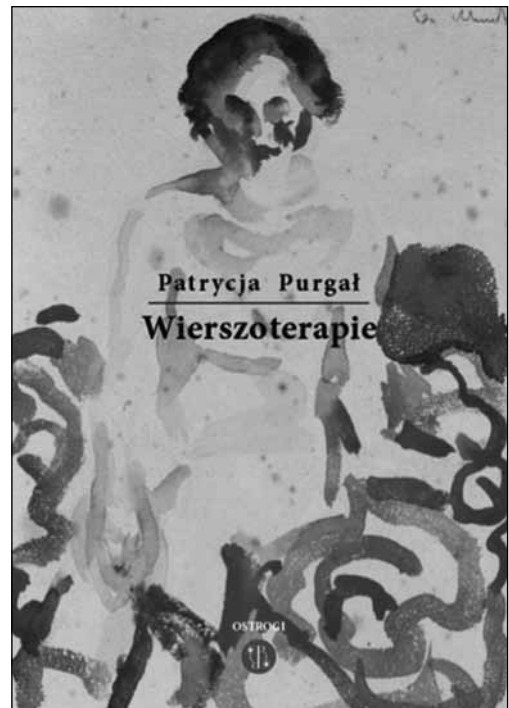
Muszę tu napisać o skojarzeniu z *Poszukiwaniami zła* Anne Sexton. „Rodzimy się i to powinno wystarczyć, od tego momentu powinniśmy już sobie radzić, ale trzeba nauczyć się, czym jest zło, czym jest nieludzki człowiek, zobaczyć, jak krew tryska niczym krzyk, trzeba ujrzeć noc zanim zrozumie się, czym jest dzień, trzeba wsłuchać się w zwierzęcy głos i przejść się po krawędzi dachu jak lunatyk, i rzucić jakąś część swojego ciała na pożarcie diabłu” (tłum. Adam Buszek).

Patrycja Purgał często podkreśla, że długo wierzyła w to, że żyjemy i będziemy nadal żyć w czasach „powojennych”, i że ta wiara okazuje się być złudna. W wierszu *Światy odzyskane* (poemat o pamięci) podnosi dręczącą filozofki i filozofów kwestię, że tego, co jest, mogłoby właściwie nie być, co jest nieuniknioną konsekwencją zadawania filozoficznego pytania „dlaczego istnieje raczej coś niż nic?” (metafizyczny problem Leibniza). „Czasy kultury Zachodu wiszą na włosku zakrzywionego zegara – jeśli będzie wojna jądrowa nie zdążymy nawet zapłakać. Wyobraźcie sobie, nie będzie ani dymu, ani ognia, tylko jak chciał Buñuel, spojrzenie czyste”.

W *Światach odzyskanych* uwidacznia charakterystyczne dla takich twórczyń jak choćby Julia Hartwig przywiązanie do pewnej ciągłości, trwałości kultury, spuścizny, o którą trzeba się troszczyć, znaków i symboli służących nam do komunikacji. Klasycyzm. Pobrzmiewają tu echa *Odwiedzin* Hartwig, poematu z 1946 roku opisującego zniszczoną Warszawę, a w szerszym ujęciu – kruchość i monumentalność

tego, co stworzył człowiek, to jak niewiele potrzeba, by zawałił się świat. Purgał pisze o wojnie jądrowej, a Hartwig o „pyłe ognistym bomby atomowej”. Przerazająca przestroga.

Jedną z reakcji na życie w takiej niepewności jest choroba, często autoimmunologiczna. W *Parametrach życiowych* podmiot liryczny, osoba zdrowa i względnie młoda, czuje się źle: „Parametry życiowe są w normie, mimo to powtarzam badanie. / Brak odporności wywołany długotrwałym stresem”. To samo znajdujemy w *Grze w sapera* oraz *Trasie turystycznej*: trudy życia z chorobą, wykańczający psychicznie brak przewidywalności. Czasem pozostaje nam już tylko to obśmiać. Ironia, autoironia, hiperbola, teatr absurdu. *Wierszoterapia* pokazuje udrękę, jaką stały się wszechobecne i wszechodnaswymagane afirmacje, które w istocie prowadzą do coraz większego zwątpienia i frustracji, zwłaszcza w świecie targanym konfliktami, który zmusza nas do życia w nieznośnej niepewności. „Jesteś silna, dasz radę. Ale ja nie mogę.. To weź się powieś!”



W *Wierszoterapiach* widoczna jest rozciągnięta w czasie narracja, pewne od-do. Wraz z Patrycją Purgał idziemy przez kolejne pory roku, zmierzch lata, jesień, chłód zimy, by potem z ciemności przejść ku coraz większej jasności. Towarzyszymy poetce w bardzo osobistych doświadczeniach życiowych (choroba, śmierć bliskich, narodziny dziecka, stawianie się matką, przeprowadzka), a jednocześnie widzimy w tym siebie. *Przeprowadzka* opisuje dialektykę zmiany: najpierw zakorzenienie (z dala od domu rodzinnego) – wykorzenienie (z nowego domu) – ponowne zakorzenienie (w tym, co kiedyś było domem). „Zaczynam nowe życie, opuszczam wielkie miasto, robię krok nad przepaścią”. Ziemię, na które wraca poetka, to ziemię odzyskane. Odzyskane podwójnie, bo i w kontekście historycznym, który czyni je bardzo specyficznymi w zestawieniu ze stolicą, a drugi raz przez przeprowadzkę, która radykalnie zmienia perspektywę. Mamy tu swoiste doświadczenie Guliwera w Krainie Liliputów, redefiniowanie siebie, zwątpienie, akceptację, etc. „Wracam z długiej podróży z wielkiego miasta do domu w mieście z jednym teatrem”. [...] „Biorę oddech, wracam do siebie”.

„Ty też możesz stworzyć nowy świat!” (*Nowy świat (Kapitan Ameryka)*). Czujemy się pokrzepieni, możemy zrobić pewne analogie do swoich doświadczeń i lepiej zrozumieć siebie i otaczający nas świat, który bardzo broni się przed byciem zrozumianym. Stąd też pozwoliłam sobie odczytać *Wierszoterapie* filozoficznie – a co! – jako pewną filozofię życia.

Filozofia życia widzi rozdźwięk między człowiekiem a światem i w tej szczelinie dopatruje się tego, co definiuje nasz los. Człowiek nie ma już niezmiennej istoty, jak chcieli tzw. starzy filozofowie, ma historię, doświadczenia, narracje, dramaty. W *Wierszoterapiach* – jak w filozofii autobiografii – to, co autobiograficzne, okazuje się powszechne. Człowiek ukazuje się przez pewne obiektywizacje, w czasie, w przemianach, przedstawia się w swojej historyczności i tylko tak możemy go zrozumieć, a nie jako coś danego raz na zawsze i niezmiennego. Wilhelm Dilthey mówił o *Selbstbesinnung*, namyśle nad samym sobą, stanowiącym wstęp do autobiografii, która opisując relację ja-świat, staje się ogólniejszą refleksją nad życiem.

Być może bliższy Autorce okaże się J.W. Goethe, który w autobiografii *Aus meinem Leben. Dichtung und Wahrheit* chciał przedstawić swoje życie jako rozwijające się etap po etapie, zgodnie z prawami, jakie obserwujemy w metamorfozie roślin. Łącząc role historyka i artysty, autor przedstawiał warunki życia swojej epoki, analizując relacje między nimi a jednostką. W procesie twórczym wybierał i przekształcał fakty, nadając im artystyczny wymiar. W rezultacie, autobiografia stała się nie tylko zapisem życia, ale przede wszystkim dziełem sztuki.

Patrycja Purgał stawia pytanie godne teodycei: *unde malum?* (skąd zło?) – pytanie św. Augustyna, Leibniza, Różewicza i odpowiadającego mu Miłosza (którego zresztą poetka przywołuje w wierszu *Światy odzyskane (poemat o pamięci)*) i wielu innych, którym nie dawało ono spokoju. Jak wyjaśnić zło? Jak wytłumaczyć jego pochodzenie i czy mamy prawo nadawać mu sens? Czy może, jak pisała Hannah Arendt, zło jest banalne? Czy można je usprawiedliwić? Czy to brak dobra? Rak dobra? Wolność jako źródło zła w najlepszym z możliwych światów? Zły człowiek versus dobra natura? Czy może jednak człowiek jest zdolny tak do dobra, jak i zła?

Wierszoterapie to debiutancki tomik, ale nie dajmy się zwieść; Patrycja Purgał jest dojrzałą poetką. Gdybym miała się poważyć na pewną kategoryzację, zaproponowałabym określenie „poetka zmagająca się” i do takiego grona bym ją zaliczyła, wraz z Anną Świrszczyńską walczącą w powstaniu warszawskim, Sylią Plath i Anne Sexton, które zmagaly się z chorobami i wieloma innymi, dla których życie w świecie było wyzwaniem. Widać wyraźnie, jakie wpływy ją ukształtowały. Mamy tu choćby wiersz dedykowany Krystynie Miłobędzkiej, *Zapisuję poetkę*, który nabiera nowych znaczeń z uwagi na jej niedawną śmierć. Autorka mówi o niej: „Była jedną z moich największych inspiracji do skreślania słów”.

Poezja Patrycji Purgał, w której można odnaleźć elementy charakterystyczne dla twórczości wyżej wymienionych poetek, posiada jednocześnie własny, niepowtarzalny charakter. *Wierszoterapie* są w mojej ocenie również pewnym narzędziem poznawczym, służącym do przyjrzenia się światu ta-

kim, jaki on jest, bez z góry zadanej tezy. Mimo pesymizmu, poetka nie popada w katastrofizm. Ba! Widzimy wręcz niekiedy spore pokłady optymizmu. Nie jest to jednak optymizm naiwny, abstrahujący od wstrząsających faktów. Jest to optymizm, który jest

zarazem obowiązkiem moralnym, pewnym etycznym postulatem i tylko czekać, jak Patrycja Purgał zrealizuje go w dalszej twórczości.

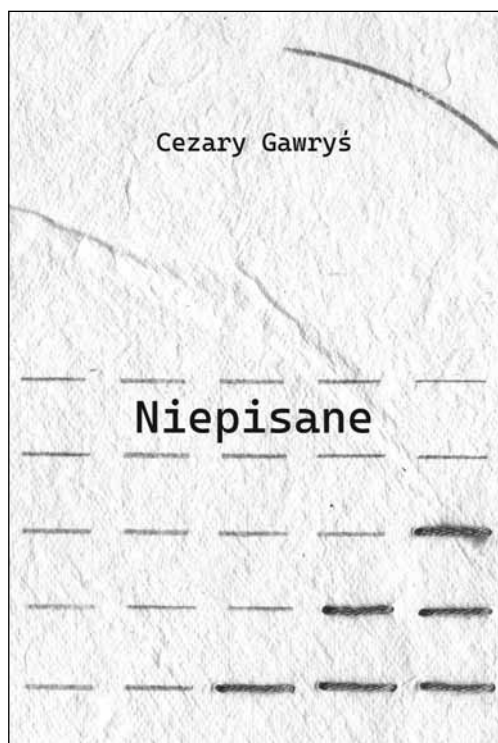
Sonia Kamińska-Tarkowska

Pamiętnik wierszem

Cezary Gawryś, *Niepisane*, Graf Media, Zielona Góra 2025, 64 s.

Niepisane Cezarego Gawryśa jest rodzajem osobistego memuaru, utkanego z serii wielorakich reminiscencji życiowych. Mimo iż w przeważającej mierze noszą piętno pozornej błahości, zwykłych zdarzeń, koncentrują się – w tej akurat wypowiedzi – wokół emocjonalnej esencji jednostkowego trwania – miłości, mówiąc możliwie krótko. Uczucie to otrzymuje rozmaite oblicza na kanwie snutyh refleksji, raz to cud odrębnej chwili, słowo lub słowa, tęsknota, radość i radość z... radości innych, niepokój, ból (fizyczny, wewnętrzny), strach, żal i świadomość straty miłości. Dorzucmy do tego pokrewne potrzeby – szczęście i poczucie spełnienia. Natomiast sens tytułu zbioru niweluje jego zawartość, zarazem akcentując rangę podejmowanego tematu, rzecz jasna, dla podmiotu snującego swoją opowieść, co zresztą także odzwierciedla typową sytuację pamiętnikarza, gdyż ten na ogół utrwała własne spostrzeżenia, kiedy to wreszcie bagaż doświadczeń, upływ lat stanowi istotny impuls, by uchronić od zapomnienia choćby namiastkę bezpowrotnie minionego wczoraj. W ten sposób dochodzi do rozliczenia ze światem. Jeden tekst opatrzony wszak został wymowną informacją – „1962-2022” (*O szczęściu* <*palimpsest*>) – i choć jest klarowna, budzi wątpliwości co do istoty rzeczy. Wszelako niewolniczego schematyzmu chronologicznej rekonstrukcji w tym tomie nie odnajdziemy (może jedynie ślady, widoczne choćby w klamrze tomu), zastąpi go bowiem przemyślany dobór nieomal powszednich fenomenów, uporządkowanych w ciąg opisów, zaklętych w logice kompozycyjnej zamysłu książki. I z dochowaniem wierności ważnego kryterium – bo to tylko (zapewne) to, co wcześniej *Niepisane*.

Niepisane nie znaczy zarazem nieznanne, sugeruje raczej „palimpsest” meandrów podniebnej wędrówki zarchiwizowany wreszcie w piśmie. Na taki trop naprowadza już inicjalny wiersz *O szczęściu* (*palimpsest*), w którym „brudny śnieg na butach” okazuje się szczęściem. Aczkolwiek nie ta oryginalna definicja wysuwa się tu na pierwszy plan, lecz jej mało ekscytująca geneza i krótkie „dzieje” w odbiorze czytelniczym, oddane z poczuciem humoru i sporą dozą autoironii. Dodać warto, że problema-



tyka ta poprzez wieki zaowocowała licznymi wypowiedziami różnej natury i trudno przeoczyć ewidentną analogię z opracowaniem monograficznym w tej materii Władysława Tatarkiewicza – oczywisty i zaznaczony już na wstępie dowód erudycji C. Gawrysia, jak wspominała Mirosława Szott, uwypuklając inne aluzyjne nawiązania, przy czym uczoność ta przejawia się w sposób naturalny i bez jakiegokolwiek zadęcia. *O szczęściu* wyznacza ton kolejnym utworom, czyli temu, co dawniej *Niepisane*, aczkolwiek może jest inaczej (?). Przecież gdyby (nie tylko eksperymentalnie) skondensować wszystko do minimum, uwzględnivszy wyłącznie niewralgiczne punkty całości (początek i absolutny koniec, ponieważ te „łączą się”, jak czytamy w *Archetypie ze snu*), pojawia się oto inny klucz (oparty na grze słownej i z odwołaniem do popularnego frazeologizmu), otwierający podwoje tomu – „»szczęście« »już?« (*Nastuchiwanie*) »niepisane“”. Taki tok rozumowania uzasadnia fraza, odnosząca się do nieco bardziej wąsko pojmowanych okoliczności, ale wybrzmiewa jakże symptomatycznie (a pomijamy jej skrajnie uniwersalny charakter): „spełnienie/ nikomu/ niepisane” (*Niepisane*).

Prawdopodobnie dopiero co zgłoszona propozycja interpretacyjna wypada nazbyt drastycznie, niemniej znajduje uzasadnienie w wielu kontekstach. „Płaczesz nogi/ Wiązesz mi ręce/ Prowadzisz w ślepą uliczkę/ Stawiasz pod ścianą” (*Boże mój*) – ileż zarzutów? Ale wobec kogo? Wolno jedynie przypuszczać. „W środku nocy budzi mnie/ cisza dzwoniąca na alarm” – to świadomość dramatycznego losu uchodźców w oddali skorelowana z bliskim pomiau-kiwaniem schorowanego kota (*Nic nie mogę pomóc*). „Życie jest ciemnością” – wrazenie i przeczucie siedmiolatka podczas prymitywnej przeprawy przez San, przypieczętowane potem wieloletnią autopsją (*Mętna rzeka*). „Być ojcem to dać wolność synowi/ być synem to zabić ojca” – druzgocąca konstatacja o konsekwencjach biologicznego bytu i zwłaszcza relacjach wewnątrzrodzinnych (*Archetyp ze snu*). „Kiedy jesteś na samym dnie/ [...] umieram/ z twoim imieniem na ustach” – niewymowny, rozdzierający ojcowski żal (***) zabiegasz o uznanie). Ze starości „chwiję się idąc po ulicy” (*O wronie spacerującej*

po trawniku). „Czy to naprawdę ty?” – pytanie zdumionego ojca w reakcji na przesłaną fotografię syna (*W zimie, w słońcu*). „Wielkimi krokami/ szło ku gorszemu” – słuszne podejrzenie o zaistniałej tragedii na podstawie nieodebranego połączenia telefonicznego przez rozmówczynię (*W szczelinie*). „Zanim nadejdzie ten dzień/ jeszcze wiele bezsennych nocy/ bliskich osób poza zasięgiem/ pytań bez odpowiedzi [...]// zanim to przyjdzie” – w oczekiwaniu na kres (*Zanim*). „Zasnąć raz/ i już się nie obudzić” – na zawsze skończyć z katogą bezsenności snem wiecznym (*Wariacje w bezsennej noc*). „Powracam do lekcji dzieciństwa/ uczę się kaligrafować/ czułość” – spóźniona ocena wartości zdobytej dawniej wiedzy o tym, co naprawdę się liczy (*Lekcja kaligrafii*). „Zostały tylko brudne plamy na spłowiłym tynku/ ślady po gwoździach/ i czarne dziury/ w pamięci” – niepokromiona siła zapomnienia (*Dzień odejścia*). „Myślałem że cokolwiek rozumiem/ no i wszystko na nic” – gorzkie rozczarowanie (*Przed metą*). „Trzeba iść i strzelać” – myśl o położeniu poborowych i cywilach, których reżyserzy współczesnego świata skazują na uczestnictwo w wojnie (*Pod ścianą*). „Moje wnętrze to/ jedna wielka/ szrama” – przeświadczenie o własnym pokiereszowanym „ja” (*Moje wnętrze*). „Nie wiem nic” – przejaw zdziwienia, że śmierć wciąż nie nadchodzi (*Idąc*). „Po drodze tak wiele/ przeoczyłem” – wyrzuty sumienia (*To jedno*). „Zbliża się nieuchronnie/ nic i nikt cię nie obroni” – śmierć (*Nastuchiwanie*). Byłoby pewno tego więcej..., wszelako „dziś przypominam to sobie po latach” (*Jeden z nas*). Chyba, dodajmy z rozpędem domysłu, między innymi „to”.

W takiej właśnie perspektywie jawi się rozrachunek z przeszłością – dojrzały, prywatny, smutny, jednak zapewne wcześniej głęboko przeczuwany, potem coraz wyraźniej odczuwany i ostatecznie również przeżywany do wnętrza trzewi. Równocześnie wreszcie w tym kształcie już spisany. Pretekstem dla tych wynurzeń są epizody codzienne i z uwagi na ich trywialność nieomal niezauważalne. To drobiazgi, zmieszczane w ascetycznie odtworzonych scenkach – modlitewne może zwątpienie, podróż, spacer, fotografia na ekranie smartfonu, nieodebrane połączenie telefoniczne, wizyty w muzeum,

w domu umierającego, w hospicjum, namysł nad kocim niebem, przejazd autobusem w towarzystwie dwu dziełatek itp. Łańcuch tych kalejdoskopowych migawek stanowi zasadnicze tło, na którym wyrażenie i donioślejsze mogą zaistnieć formułowane wnioski – stanowcze, dramatyczne, bolesne. Ostateczne. Błahy detal, kontrastując, eksponuje niebłahą myśl. Rzecz urasta do podstawowego wyznacznika strategii literackiej C. Gawrysia.

Przerwywając ten teoretyczny wtórny warto zauważyć, iż pesymistyczną wymowę większości *Niepisanego* bądź *Niepisanych* (to też zagadka, a tkwi nie tylko w gramatycznej łamigłówce) dyskontują sformułowania, pozwalające jednak dostrzec światło w tunelu. Buńczuczne cokolwiek wyznaczenie – „nic sobie z siebie/ śmierci/ nie robię/ myślę o tych którzy dopiero/ wyruszają w drogę” (*Czytając Aglę*) – daje szansę przyszłym pokoleniom. I nasuwa się skojarzenie z wyśpiewanymi w 1967 roku przez Louisa Armstronga fragmentami piosenki pt. *What a wonderful world*. Patronem innego, dającego nadzieję podejścia jest Cyprian Kamil Norwid: „z ciemnej czeluści losu/ jedynym wyjściem/ dobroć i poezja” (*Lustro*). Kolejny werdykt, z nieco kontrowersyjnym zabarwieniem i dezynwolturą właściwą karykaturze, również zawiera nutę osobliwego optymizmu (miłosiernego poniekąd i na wyrost, bo wynikłego z przyjętej optyki): „jestem dziwnie spokojny/ o zbawienie/ ich obu” (*Ewangelia według św. Mateusza*), tj. o łaskę dla skandalizującego intelektualisty Piera Pasoliniego, którego w 1975 roku miał zamordować niepełnoletni „biedny chłopak”, Giuseppe Pelosi. I ten ostatni „wierszowo” został uwolniony od winy. Za tym karkołomnym bądź co bądź i skrajnym orzeczeniem stoi zdeterminowany religią światopogląd. Usprawiedliwia bowiem przestępstwo w imię „poprawności” płciowej, z zachowaniem w pamięci dokonania ofiary, mianowicie arcydzieła filmowe – *Ewangelię według [św.] Mateusza* (oryg. *Il Vangelo secondo Matteo*) – wyreżyserowane przez homoseksualistę. Zbawienie w końcu to przywilej Boga. I taką naturę, pełną dylematów etycznych i jednostronnych rozstrzygnięć, odślania (wprawdzie z rzadka) *Niepisane*.

To aspekt kształtowania gruntu dla osobistej wivisekcji, samookreślenia i wyznaczenia własnego miejsca w świecie. Formacyjna stabilizacja prowadzi do ujęć wyjątkowo zwięzłych, zwieńczonych puentą – raz zaskakujących lakonicznością i trafnością, innym razem – zaskakujących tokiem rozumowania i konkluzją. Właściwie każdy utwór zamyka tego rodzaju finał. Nie bez wątpliwości wypada zarejestrować tę opinię w obliczu deklaracji „nie dzielę ludzi na/ wierzących i niewierzących/ musiałbym samego siebie/ podzielić/ przez zero” (***) nie dzielę ludzi na), a wiadomo przecież, że taka operacja jest matematycznie i logicznie błędna, stąd też płynnie atrakcyjność jałowego, aczkolwiek – paradoksalnie – zrozumiałego podsumowania, bazującego na postulowanej i koniecznej powściągliwości w związku z ferowaniem opinii w odniesieniu do religijnej „odpowiedniości” innych. Zero ponadto cieszy się jeszcze kolejnymi konotacjami językowymi, co może prowadzić do dalszych skomplikowań w odbiorze tego tekstu, jednak tryb przypuszczający czasownika osłabia możliwą wymowę utworu i tego wielkości ilorazu nie poznajemy. Słowem, to inny wymiar „szram”, jakie zauważyła M. Szott (*Ciepło zimno*), a dokładniej – źródła blizn w zderzeniu z rzeczywistością. „Moje wnętrze to/ jedna wielka/ szrama” (*Moje wnętrze*) i oto dosadnie wybrzmiewa pytanie, „czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz?” (Mt 7, 3). Pominąwszy zupełnie wcześniejszą dygresję, należy odnotować, iż tekstom C. Gawrysia deficytu puenty nie sposób zarzucić, pojawia się, a jakże, choćby w utworze *Idąc*. „byle dotrzeć do świtu/ i nie paść na twarz/ przed czasem”. Oto ważny, wciąż obecny, instrument metody literackiej autora, stosowany niemalże rutynowo.

Język kompletu enuncjacji prosty, dążący do zwięzłości, rozumiały, mimo że wzrok czytającego prawie w ogóle nie natrafia na znaki przestankowe, pominąwszy oczywiście wyjątkowe w tych okolicznościach ekscesy z kropką, przecinkiem, wykrzyknikiem. Wydatnie służą tej taktyce odpowiednie wyróżnienia graficzne – niby strof bądź strofiek lub wersów i wersecików. Czasem w wierszu zagnieżdży się rekwiwit, zwyczajny, jak np. pościel,

a świeży zapach poszew przywołuje wspomnienie domu rodzinnego z dzieciństwa. Jej zmiana zmęczyła, co także znalazło swoje miejsce w tekście pt. *Zaspiając w świeżej pościeli*. W innym miejscu, gdzieś na ulicy, przejście utrudnia „kamień filozoficzny”, dlatego też „stawiam krok za krokiem/ ostrożnie”, by się nie potknąć o tę przeszkodę (*Idąc*), by uniknąć eliksiru życia, by nie stać się nieśmiertelnym „przed czasem”. Gdzieś zamajaczy trzepak na jakimś blokowisku, to w jego pobliżu samobójczą śmiercią zakończył swój żywot „pan Chudy” (*Widok z tarasu*). Są narty w dwu konfrontacyjnych odstonach – najpierw te współczesne z profesjonalnym kombinizonem mężczyzny wtopionego w „śnieżną pustynię” fotografii i te rachityczne, improwizowane „deski” sprzed dekad, spontanicznie, pomysłowo mocowane „do filcowych butów” (*W zimie, w słońcu*). Jedyne właściciele i beneficjenci tego sprzętu wypadają neutralnie – wnioski poety zaś sięgają krańcowych biegunów uczuć zgnębionego i cokolwiek zdezorientowanego ojca.

Trafiają się, warto odnotować, udane i ciekawe sformułowania: „cytat z niemego filmu”, co wszelako można obecnie rozumieć szerzej, nowocześniej, a nie wyłącznie literalnie (*Porozmawiaj z nią*); „zmieniały się jak w filmie/ klatki obcych twarzy” (*Dziwne zdarzenie na Dworcu Centralnym*); podlotki „z namaszczaniem/ przeglądają się/ same w sobie” (*Ciepło zimno*); „przez całe życie przytulałem się do liter/ i do ukochanych osób” (*Lekcje kaligrafii*). To jedynie wybór. Niektóre passusy nabrzmiewają dodatkowymi kontekstami poprzez przywołanie nazwisk: Pedro Almodóvar, David Lynch, wspomniany już Pier Pasolini – to filmowcy, są też reprezentanci świata nauki, wśród nich m.in. Martin Heidegger, Edmund Husserl, Leszek Kołakowski, Krzysztof Pomian, Edyta Stein, Maria i Stefan Świeżawscy czy „ksiądz T.”, a „domyślamy się, o kim mowa” – pisze M. Szott (*Ciepło zimno*). Ponadto jest i „M.” – obiekt westchnień piętnastolatka („miała głos chrapliwy kiedy się śmiała”) oraz „nauczycielka”, a także „Piotr H.”. Osobno trzeba wymienić jeszcze „wielkich poetów”, a właściwie ich kariery literackie pozbawione noblowskich szlifów: Zbigniew Herbert, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Różewicz – z jednej strony, z drugiej zaś ten zapo-

mniany i zupełnie nieznanymi – „Wiktor Chorodczinski/ rozstrzelany w gułagu w roku 1937/ zostały po nim tylko trzy wiersze” (*Niewydarzeni poeci*). W galerii tej nie zabrakło Wisławy Szymborskiej, wskutek autocenzury bodaj „połowa” jej wierszy lądowała w koszu na śmieci (*Jak poznać dobrego poetę*). Inaczej jeszcze – poczet znakomitości, a wśród nich autor – świadek zdarzeń, niekiedy ich uczestnik w różnych rolach (to nie *argumentum ad auctoritatem*).

Z feerii zawirowań znaczeniowych wyłania się zarys jakiejś topografii, przefiltrowanej intencjonalną, bo chyba nie przypadkową, selekcją autora. Oto bowiem małe wierszowane fabuły „dzieją się” w miejscach konkretnych – nowojorskim Metropolitan Museum of Art, Pewli Małej, Rudniku, nad Sanem, ale też w nieco mniej rozpoznawalnej scenerii – w „zadymionych kawiarniach”, na uczelni, w mieście albo w sypialni lub i w wymagowanym kocim niebie, nadto gdzieś pod „wysokim drzewem” w zaświatach. Poza ostatnim wypisem, wszystkie inne przykłady przydają czynionym rachunkom waloru realizmu, włączywszy w ten zamysł także incydentalnie wpleciony w jedną z obserwacji leksem z niższego rejestru mowy – „zajebisty”, a jest oczywistą repetą odtworzonego w telegraficznym skrócie dialogu, zasłyszanego niezbyt dawno w autobusie. Dotyczy ten epitet Paryża, tak ponoć stolica Francji funkcjonuje w wyobrażeniu nastolatka, a nie ma powodu, aby w tej kwestii nie wierzyć C. Gawrysiowi. Za sprawą owej przelotnej „przygody” w środku transportu publicznego, za sprawą mimowolnego świadectwa rozmowy do tomu trafił kolejny materialny przejaw dzisiejszej ikonosfery, precyzyjniej – mody, a mianowicie „fioletowe tip-sy” (*Ciepło zimno*). Dlaczego? I kto to mówi? Mówi przecież nie ten, który może o sobie wyznać „*I am sixteen*” years old – powiedzmy nieco enigmatycznie, zachęcając może w ten sposób do lektury tych wierszy – lecz ten, który w istocie wcale nie dopiero wczoraj przekroczył sześćdziesiątkę (*Stan wolności*), co jeszcze bardziej urealniali zaprezentowany obraz (ułamkowego) procesu rozrachunku, często zestawianego i konfrontowanego ze współczesnością.

Ostatni już akapit. To teksty, które mogą przejść bez echa, ale nie muszą. Świadczą w końcu o nas,

o wspólnym losie, mimo iż z różnym nastawieniem, losie prawie zawsze jednakowym, niemniej odmienionym zaledwie jakimś niuansiem, hojnym łutem szczęścia lub przesadnie sporą dawką pecha. Siłą *Niepisanego* (ewentualnie *Niepisanych*) jest jego (ich) szczerść, aczkolwiek zanurzona w subiektywnym szkicu przedstawianego świata, a to kolejna właściwość pamiętników i niezbywalna cecha autentycznych wypowiedzi literackich. I bronią się

te wypowiedzi, pomimo braku umiejętności lub prędkiej woli, by „zrezygnować z jednego słabego wiersza”, zwłaszcza że „dotykam nim boleśnie/ twojej rany” (*Jak poznać dobrego poetę*), bo „*errare humanum est*” – a to dodatkowa przesłanka, dowodząca prawdziwości, za wszelką cenę, serii tych prywatnych wyznań. Takie mniej więcej jest lub są już spisane *Niepisane*.

Radosław Szyber

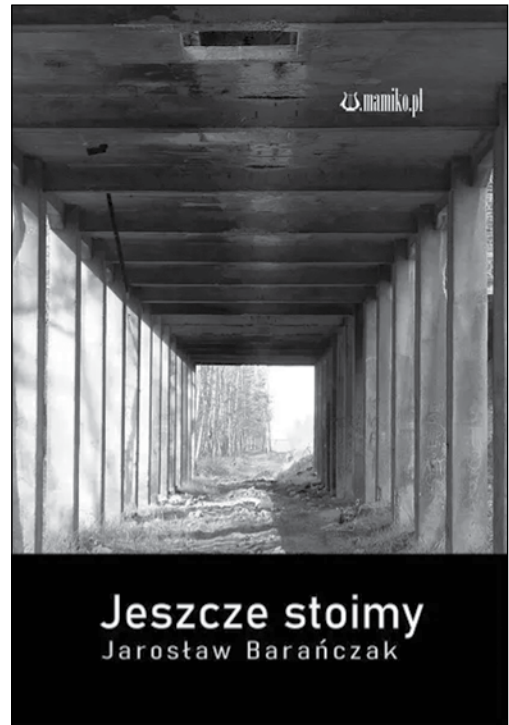
Odważny zachwył

Jarosław Barańczak, *Jeszcze stoimy*, Wydawnictwo MaMiKo, Nowa Ruda 2025, 58 s.

W ciągu pięciu lat ukazały się trzy zbiorki wierszy Jarosława Barańczaka: *Znak*, *Bruzdy wyryte rydwanem* i obecnie *Jeszcze stoimy* – dwa ostatnie w Wydawnictwie MaMiKo. Można najogólniej rzec, że cechuje je wnikliwe i intensywne doznawanie całej, jakby natłoczonej, wielowarstwowej pod każdym względem tkanki świata. Świata bliskiego, w którym poeta jest biograficznie i sytuacyjnie, społecznie zakorzeniony, i nieustannie sprawy cywilizacji go obchodzą. Widać, że intrygują go rzeczy, krainy odległe, których sens, całą ich egzotykę, próbuje zobrazować i zrozumieć. Konfrontuje je ze swoim ja, swoją wyobraźnią, wiedzą, zmysłem obserwacyjnym i wrażliwością duchową. Różne treści układają się w autorski znak rozpoznawczy Jarosława Barańczaka. Inicjują w nim pasję i determinację literackiego opisu. Bardzo dla poety ważne jest, by nie zajmować się światem powierzchownie, ale dociekliwie docierać do głębi znaczeń i ich skomplikowania czy nagromadzenia. Zapewnia to przyrodzona wrażliwość. Autor tkwi w nim, a więc patrzy na zewnątrz, i bardzo go wszystko obchodzi. Poszczególne wiersze wypełnia (tak należy powiedzieć) przywołanie wagi losów i biografii ludzi i rzeczy, które go stanowią, wzruszają, inicjują reakcję. Nawet muzyka to wywołuje. Doświadcza autor, że jest częścią społecznej przestrzeni, więzi międzyludzkich, kultury i cywilizacji. Niczego nie chce ominąć ani zlekceważyć. Poeta buduje w tym zbiorku swoją pozycję z niejednorodności treściowej, z przylegających

do siebie sekwencji i odrębności istnienia. Adekwatnie kreuje w wyobraźni jego kształt.

Myślę, że szerokie widzenie, bo o takowym można tu mówić, wynika poniekąd z bycia podmiotu w nieustannej podróży przez świat. Widać,



jak odwiedzanie miejsc naznaczonych historią (np. *Galicja*) wyzwala uczestniczącą narrację. Początkowe kilka stron, układ wiersza po wierszu, stanowi relację z podróży dalekich. Czytelnik znajduje coś interesującego (tak sądzę), gdy czyta opis świata Italii, jego niezwykłości, jego piękna i bogactwa sztuki i krajobrazu (*Chianti*): „Zieleń winorośli tonie w wytyczonych/ rzędach, i mgła jeszcze Osłania ziemię”, ale jednocześnie przekonuje się, że ten kształt, także spokój na freskach, całe nagromadzenie form kultury, tradycji, myśli, poezji Dantego jest zagrożone (zauważa) „hordami, które zachłannie zdeptują/ przeszłość, żeby poznać smak eliksiru”. Budzi to mimowolne zatroskanie. Oczywiście nie turystycznej proweniencji, ale jako rzeczywiste docenienie symbolicznych wartości. Pojawił się problem – co z nimi. Poeta-humanista ukazuje cienie cywilizacyjnego lęku. W tym kontekście odważnie nie wzbrania się przed fascynacją dawnością bolońskich „madonn, / tronujących na średniowiecznych deskach”, ma do nich swój mentalny dostęp, sąsiadują one jakby równolegle z „płonącymi witrinami/ sukien Versace z tęczami krawatów”. Jest jednak jedno i drugie objęte jakąś dozą wspólnoty współczesności. Kłopot jest taki, że nie daje się ona inaczej ukształtować. Muszą współistnieć sprawy trywialne epoki obok wartości mających odwieczny horyzont. Na tym styku, ale jednak wyraźnie obok, są Kubeczki „marzeń o małym pieniążku / i wielkiej zupie”. I w wierszu *Greckie pogody* ta niepokojąca mozaika odmienności i dwutorowości zostaje wyraźnie wychwycona. Nie ma pewności poza tą tylko oczywistą, że: „Życie nie ustaje” (*Hotel The Bridge*). Ale jakie ono jest? Uświadamia sobie poeta i temu poświęca sporo uwagi, że jednak radykalnie, brutalnie zmieniono to, co było w danym miejscu kiedyś uformowane. Ktoś mieszkał, czymś się zajmował. I nie ma nikogo. Teraz „Pośród twardych głosów” może poeta poczuć się jak obcy (jak intruz), ale też wie, że ciągle „Nagie kobiety patrzą na nich ze ścian/ z rysunkami Bruno Schulza”. Tak to J. Barańczak w swoich podróżach nieustannie konfrontuje swoje kulturowe ja z innością tego rodzaju sytuacji. Co ważne, daje temu wyraz, w poczuciu osobistego obowiązku (*ostre światło. Domaga się pamięci*),

wiedząc co było, co stało się, więc daje wyraz skamieniałego dramatu czasu, miast, których domy są raczej „jak pomniki” dawnego życia. Czyni to, ledwo skrywając swój ból. Jako coś zupełnie innego jawią się odwiedzone Indie, Nepal, buddyjskie świątynie, kosmiczna harmonia, Annapurna, Ganges, kąpiele w rzece, Katmandu, Zielony Przylądek. Nie tyle ma miejsce konfrontacja, a bardziej ogarnia podmiot zaciekawiająca swoją innością egzotyka każdej tamtej sfery życia. Te tropy zwieńcza najbardziej wymowny wiersz *Nowe życie*. Nie brak w nim oczywiście dozy zadziwienia formami, które służą funkcjonowaniu społeczności. Toteż „odważny zachwyt”, wiodący ponad lęk i ciemność, jest możliwy.

Póki co... Poeta próbuje uchwycić refleks sensu w samym tyleż realnym, co symbolicznym „toczeniu się/ kul” życia. Bowiem nawet „Cyprysy wspięły się”. Zostaje jednak owo „ale”. Jest świadom tego, że wielkie zmaganie obejmuje świat. Wiersz *Jeszcze stoimy* cechuje też ważny osobisty akcent jego podmiotowej egzystencji, która wkracza i przez którą przenikają wszystkie bliższe obserwowane i doznawane sprawy. Raz panoramicznie są podsumowywane, zapoznane, jednak nie oswojone emocjonalnie, migoczą blaskiem wielkiej skali zmiany, np. jak w *Nowe Życie*, a raz są to skupienia na banalnym, ale poniekąd bliskim – bo podmiot jest tu i teraz – epizodzie, jak w tytułowym wierszu: „Białe pasy na jezdni namawiają i nas/ do przejścia. Jeszcze stoimy”. To nie jest zbiór wierszy wsobnych, które by drażyły egotyczne klimaty i determinacje. Wynikają one ściśle z postawy szerokiego prezentowania egzystencji, zdarzeń, spotkań, rozmów. Z uwzględnienia wektora wskazującego na zewnątrz. A więc chodzi o rzetelność przedstawienia i opowiedzenia czegoś, co oczywiście poeta w biegu swojego życia poznał, dowiedział się i nie stało mu się to obojętne, ale trudne i po ludzku bolesne. Tak jak np. w wierszu *Zabrany most*, który eksponuje czyjś dramat: „Kiedy patrzyła na tę wielką wodę/ wiedziała, że znów została zdradzona”. Ta formuła retoryczna brzmi, jak refren i słyszymy w niej melodię, lament. Te powtórzenia wzmacniają ważność i obsesyjność treści, która w tym „patrzeniu” się uobecnia.

Albo jak w innym pt. *Rower*, zupełnie nieegzotycznym, ale dającym swojski rys wczesnych życiowych przygód i dorastania oraz ucieczki od czegoś. Wszystko jest w nim istotne: „spadał mi łańcuch” (znam to), „piłem piwo,/ z wentyla uchodziło powietrze”, „Uczyłem się uciekać” (znam to). Takie to epizody z dorastania i młodzieńcze wtajemniczania nabierają tu znaczenia. Poprzez tego rodzaju utwory w znacznym stopniu poznajemy wnętrze poety, kształt jego prywatnych doznań. Jest ich nie mało, bo to i *Dym*, w którym mają miejsce sprawy i zabawy ze „sznurkiem rozpiętym” do przeskakiwania, czyli chłopięce przygody podwórkowe. Od nich idzie się potem w szerszy świat. W swoje mądrości. Ten zbiorek jest relacją z aktywnego poznawania. Przywoływane są zdarzenia, jakby przypadkowe, epizodyczne, wyjazdy, zwiedzania. Towarzyszą im próby odpamiętywania, nie do końca jednak możliwego, „tego co tu było a może być mogło”. Chodzenie, pobyty w różnych miejscach, „zmagania się z czasem” (*Cienie*). Wnikanie w historię jest w *Jeszcze stoimy* czynnikiem bardzo ważnym i powtarza się. Dotyczy przenikania polskich spraw tragicznych. Z drugiej strony poetyckie obrazowanie dotyczy zwyczajnej codzienności, poniekąd zwykłości, która nie

niesie negatywnych skojarzeń, ba, na chwilę jawi się wręcz idyllicznie, pięknie, uciszająco (*Pszczółki*): „W porannej ciszy słyszę tylko pszczoły./ Bezczyenne leżenie pochłania sen [...] Powoli zanurzam się w jasno. Znów tu jest,/ wykropkowane szczęknięciami psów”. Jest na tak. Na chwilę udaje się ta ucieczka z trudnego, niepokojącego świata w piękno łagodnej zwykłości, w ciszę życia.

Kiedy przeczytamy ten zbiorek, widzimy, że poeta sytuuje się na jakiejś granicznej linii kruchości, zarówno możliwości poznania, jak i ludzkiego trwania. Swoją rację odzyskuje Barańczak głównie w muzyce klasycznej, np. w muzyce Mahlera, Bacha, Mozarta, Rachmaninowa... Ta jej ponadzmysłowość jakby duchowo ocala podmiot. Oczywiście nie gwarantuje pełnego spokoju, ale jego namiastkę bez wątpienia. W gruncie rzeczy Barańczak jest kimś ciągle poszukującym, stawiającym dociekliwe pytania. Daje opis zarówno trudnej współczesności, jak i wyraz swojej prywatności. I jeszcze. Określa stylistykę tych wierszy przerzutnia, która też oddaje rytm współczesności. Zastanawiam się, jaka będzie dalsza droga poetycka Jarosława Barańczaka.

Czesław Sobkowiak

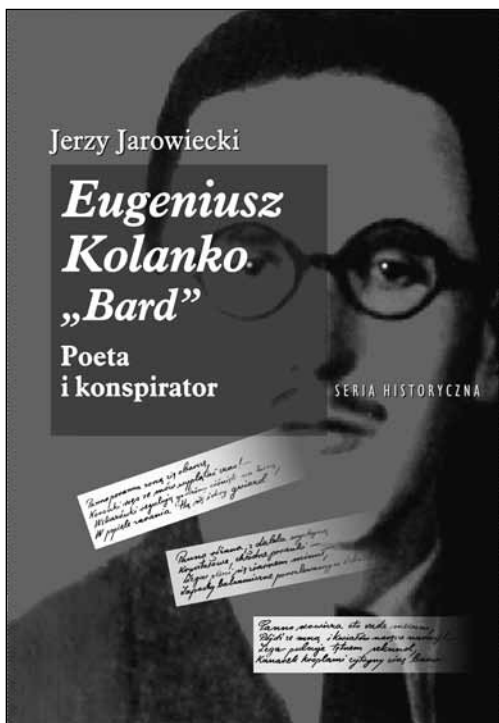
Poezja Eugeniusza Kolanki

Jerzy Jarowiecki, *Eugeniusz Kolanko („Bard”), poeta i konspirator*, Pro Libris – Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne SBP, Zielona Góra – Warszawa 2025, 250 s.

Z perspektywy mieszkańca okolic Zielonej Góry działalność pomniejszych oddziałów krakowskiego podziemia okresu niemieckiej okupacji wydaje się tematem dyskusji wąskiego grona pasjonatów. Dla historycznego laika konspiracja okresu II wojny światowej kojarzy się przede wszystkim z Powstaniem Warszawskim oraz innymi bohaterскими postawami polskich żołnierzy, harcerzy i zwykłych obywateli, których opór przeciw najeźdźcy stanowił fundament przetrwania Polski. Jeśli chodzi o literacką część podziemia, słyszy się wtedy najczęściej takie nazwiska jak Baczyński, Borowski czy Gajcy. Kim natomiast był

Eugeniusz Kolanko? Może oprócz uczniów i absolwentów Szkoły Podstawowej nr 4 w Krośnie, które ów autor jest patronem, raczej mało kto potrafiłby udzielić konkretnej odpowiedzi.

Publikacja profesora Jerzego Jarowieckiego pod tytułem *Eugeniusz Kolanko („Bard”), poeta i konspirator* trafiła do mnie w dość nieoczekiwanych okolicznościach. Gdyby nie to zrządzenie losu, prawdopodobnie nigdy nie usłyszałbym o poecie, jakim był Eugeniusz Kolanko (pseudonim „Bard”) i tragicznej historii jego krótkiego życia. „Bard”, choć nie zasłynął nigdy szerzej jak jego wyżej wymienieni rówie-



śnicy, jest niemniej autorem wartym uwagi – współpracującym zarówno z licznymi konspiracyjnymi czasopismami, jak i bardziej aktywnym ramieniem Armii Krajowej. Jednym z jego najbardziej znanych utworów jest akrostych *Rym*, w którym pod pretekstem żartobliwego wierszyka uderzającego w domorosłych poetów, przemycił do tzw. prasy „gazinowej” wiadomość „Polacy Sikorski działa”, szerząc nadzieję wśród polskich czytelników.

Opracowanie Jarowieckiego w przystępny i profesjonalny sposób przybliży sylwetkę Eugeniusza Kolanki, osadzając „Barda” w odpowiednim kontekście środowisk, w których funkcjonował oraz działaczy podziemia, z którymi miał styczność, ułatwiając czytelnikowi bez poprzedniej wiedzy w temacie zrozumienie roli, jaką poeta odegrał z pejzażu konspiracyjnym Krakowa, jednocześnie odwołu-

jąc się do szerokiej bibliografii dla bardziej zaawansowanego odbiorcy. *Eugeniusz Kolanko („Bard”), poeta i konspirator* jest dziełem wielu lat, a nawet dekad, jakie Jerzy Jarowiecki włożył w badanie zagadnienia – rozmów z rodzinami i świadkami, poszukiwaniem pamiątek, listów i innych dokumentów pozostałych po Kolance, na których podstawie autorowi udało się do tego stopnia odbudować biografię poety. Świadczą o tym poprzednie publikacje autora w tym temacie, względem których wiedza o poecie jest poszerzana, jak na przykład, wydany w 1999 roku *Eugeniusz Kolanko „Bard”*. Bez tych starań wspomnienie „Barda” zostałoby dzisiaj niewątpliwie zatracone. Oprócz części biograficznej publikacja zawiera opracowanie wierszy Eugeniusza Kolanki. W jego skład wchodzi zarówno utwory, które ukazywały się jeszcze w prasie podziemnej i tomikach poezji współtworzonych przez Kolankę, te, które Jerzy Jarowiecki uprzednio wydał w *Zakonspirowany pejzaż: wiersze wybrane* (1973) oraz niepublikowane dotąd wiersze, odzyskane z różnych źródeł dzięki staraniom prof. Jarowieckiego. Każdy z tych wierszy został opatrzony przez autora komentarzem o okolicznościach powstania oraz sposobie, w jaki trafił do tego wydania.

Eugeniusz Kolanko („Bard”), poeta i konspirator jest pozycją godną polecenia nie tylko ze względu na wartość historyczną oraz literacką. Historia Eugeniusza Kolanki, którego talentom nie było dane w pełni rozkwitnąć za sprawą brutalności hitlerowskiego okupanta, niesie za sobą ważne świadectwo dla każdej osoby aspirującej do podążania pisarską ścieżką. Świadectwo niestrudzonej motywacji do pracy oraz odwagi w stawianiu za tym, co słuszne. W dzisiejszych czasach pokoju te wartości może nie niosą ze sobą takiego ryzyka, jakie każdego dnia towarzyszyło „Bardowi”, jednakże pozostają równie godne kultywowania. Natomiast postaci takie jak Eugeniusz Kolanko są warte pamięci. Właśnie dzięki patriotom jego pokroju polska kultura mogła przetrwać mrok II wojny światowej.

Piotr Gulewski

Nie tylko szkice środowiskowe

Karol Maliszewski, *Poeta jako krytyk (i inne szkice środowiskowe)*, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2025, 356 s.

Nie jest tak prosto napisać o książce, której autorem jest Karol Maliszewski. To krytyk, na którego tekstach uczyłam się czytać i rozumieć poezję od czasu studiów. Chyba każdy, kto kończy polonistykę, zna na wyrywki legendarny tekst *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy*. Krzysztof Siwczyk stwierdził: „Ostra kreska, którą oddzielił autorów o proveniencji herbertowskiej od bardziej zadziornych, punkowych rzeźmieszków, miała w sobie coś z gestu premiera Mazowieckiego”¹. Wywołało to dyskusję, jakiej krytyka literacka później już nie doświadczyła. Także na podwórku lubuskim bardzo ceniony i mający świetne rozeznanie (jurorujący m.in. w Lubuskich Wawrzynach). Nie będzie to zatem typowa recenzja czy ocena, ale raczej próba podziękowania (w swoim imieniu) za to, co Karol Maliszewski robi od kilkudziesięciu lat dla polskiej poezji.

Zamiast skupić się na jednej książce i poddać ją analizie, wypożyczyłam jeszcze kilkanaście innych, pozwalając sobie na niespieszne powroty i doczytywanie dawnych tekstów. Tak chyba powinna wyglądać relacja, którą chciałamby nawiązywać z książkami. Jednak szybko wpadłam w taki stan, kiedy myślałam, że nie jestem gotowa, żeby cokolwiek napisać (przecież nie poznałam jeszcze wielu szkiców²). I tu zdałam sobie sprawę, że trudno ogarnąć tak rozległą twórczość, która nawarstwiała się przez lata. Nie zapominajmy też, że obok krytyki literackiej Karol Maliszewski pisał i wydawał tomiki poetyckie, prozę, a także pracował naukowo (habilitacja uzyskana w 2018 roku). Jednak żaden tytuł naukowy nie był mu tak naprawdę potrzebny w osiągnięciu prestiżu, bo jego autorytet jest ponad tym.

¹ K. Siwczyk, *Trzecia kultura Siwczyka. Karol Maliszewski: Osobowość rosnąca z każdą przeczytaną książką*, <https://www.projektpulsar.pl/struktura/2263345,1,trzecia-kultura-siwczyka-karol-maliszewski-osobowosc-rosnaca-z-kazda-przeczytana-ksiazka.read> [dostęp: 16 sierpnia 2025].

² No właśnie, Karol Maliszewski lubi to określenie – szkic. Pewnie dlatego, że jest lekkie w przeciwieństwie do takich jak: artykuł, rozprawa, synteza.

Relacja z lektury

W końcu też przeczytałam książkę *Poeta jako krytyk (i inne szkice środowiskowe)*. Chodziłam z zamiarem opisanego swojej lektury kilka tygodni, dyskutowałam w myślach, aż w końcu zaczęłam zapominać o jej strukturze, głównych myślach, trochę ją zinteryoryzowałam. I podejrzewam, że dopiero druga lektura pomogła mi zrozumieć poetę-krytyka. Nie jest to kategoria oczywista. Maliszewski już na pierwszych stronach zauważa, że obok ścieżki dziennikarskiej i naukowej (wymienia je Dorota Kozicka, odnosząc się do tekstu Przemysława Czaplińskiego), które mogą prowadzić do krytyki literackiej, jest jeszcze trzecia – poetycka, którą on intuicyjnie wybiera już na początku. Ale Maliszewski postanawia przyjrzeć się w tej książce innym odpowiednikom takich praktyk czytania. Poświęca temu pierwszą część publikacji. Mamy tu przypadek Bogusława Kierca, który pisał o poezji Juliana Przybosa tak, że sam Przybós miał „dreszcze niesamowitości”; jest Henryk Berezka, znany krytyk, który pod koniec życia zaczął pisać wiersze, a więc – jak tłumaczy Maliszewski – prosić o głos, szukać prawdy. Ponadto znajdziemy także analizę lektury wierszy Piotra Sommera, Piotra Matywieckiego, Michała Fostowicza. Po tym rzetelnym spojrzeniu na piszących kolegów z branży (pomijamy krytyczki-poetki, zaznacza to na wstępie), przechodzi do szkiców środowiskowych.

To moja ulubiona część. Bardzo osobista. Maliszewski pisze o Dolnym Śląsku, ale nie jako regionalista, ale ktoś emocjonalnie odczuwający tę przestrzeń, jej podwójną mitologię. Bliżej mu – wyjawia – do czeskich pisarzy z Sudetów niż nieznanym mu kolegów ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie. Lokalność była tym pierwszym doświadczeniem i chyba – w całym rozrachunku – najsilniejszym. Krytyk uświadamia sobie (prowadzi nas przez ten proces), że najwięcej w swoim życiu napisał o książkach i ludziach tutejszych. Pokazuje też, jak odkrywał duchowy charakter miejsca, jego *genius loci*,

i że była to pierwsza lekcja tolerancji i zrozumienia iluzoryczności granic.

Nieco dalej wspomina, jak zaczęła się działalność poetyckiego klubu w Nowej Rudzie „Ogma” w 1990 roku. Regularne spotkania miłośników literatury (kto z nas nie zna tego z autopsji?), podczas których czytano swoje literackie próby, ożywiło znacznie życie literackie w mieście. Wspomnę tylko, że na tych spotkaniach pojawiała się m.in. Olga Tokarczuk, która pracowała wtedy nad swoją debiutancką książką *Podróż ludzi Księgi*. Maliszewski przytacza też inicjatywę zjazdu poetek i poetów z okolic. W maju 1991 roku odbył się I Wspólny Wieczór Zaprzyżnionych Poetów Dolnośląskich (impieza po latach przekształciła się w trwające do dziś Noworudzkie Spotkania z Poezją). Spotkaniom zaczęły towarzyszyć konkursy poetyckie, co przyciągało coraz więcej uczestników. Tak mniej więcej wyglądają początki jego pasji. Maliszewski po nakreśleniu rysu historycznego, przechodzi do omówienia liryki kilkorga dolnośląskich poetek i poetów: Zofii Mirskiej, Da-

vida Magena, Leszka Pułki, Mirki Szychowiak, Tomasza Hrynacza, Grzegorza Tomickiego i Miłosza Kamińskiego. Po tym przeglądzie widać (poza tym, jak różne są to poetyki), w jaki sposób Maliszewski ustawia kąpatrzenia, jakie ścieżki wybiera (za każdym razem inne) i co go różni od sztucznej inteligencji. Otóż poza wnikliwą intelektualną analizą (którą niestety za jakiś czas będzie można łatwo naśladować za pomocą GPT), jest też przeżywanie, wręcz somatyczne odczuwanie literatury, dawanie sobie przestrzeni na wątplenie lub nierozwiązywanie wszystkich spraw. Pewna nieprzewidywalność gestów. Gdzieniegdzie ironia.

W *Aneksie*, który stanowi jedną trzecią książki, kilka ciekawych artykułów. Na początku powraca casus Henryka Berezki, którego pozycja jako krytyka zmieniła się diametralnie po 1989 roku. Został zepchnięty na margines, a jego dorobek – zlekceważony. Maliszewski przypomina jego wstrząsającą spowiedź z 1994 roku na łamach „Nowego Nurtu” i walkę o autonomię literatury. O jego opinię upomniały się w swoim czasie następne pokolenia młodych.

W kolejnym podrozdziale Maliszewski skupia się na czasopiśmie „Nowy Nurt”, jego pokoleniowości oraz zjawisku „krytyki towarzyszącej” (dzieli pod koniec tę kategorię na krytykę towarzyszącą pokoleniową i krytykę towarzyszącą środowiskową). Ciekawe są kulisy bitwy młodziaków i starszaków (lub też dodatkowo średniaków), która rozgrywała się na tle pisma i zorientowanie go na młodoliterackość. Następnie pisze o wierszach dystansujących się od nadmiernego zaangażowania się w sprawy Polski jako tematu poezji. Przytacza m.in. wiersz Marcina Świetlickiego *Polska* oraz Miłosza Biedrzyckiego *Aksłop*. W jego szkicu pojawiają się też inni poeci pytający o Polskę: Jakub Pszoniak, Paweł Podlipniak, Edward Pasewicz, Tomasz Dalasiński. Każdy z nich zasługiwałby na odrębny komentarz.

Wisienką na torcie jest artykuł dotyczący twórczości Olgi Tokarczuk i wiary noblistki w sprawczość literatury. Przedstawia etapy rozwoju światopoglądowego pisarki, jej pierwsze publikacje i wreszcie moment sięgnięcia po esej. To właśnie na trzech książkach eseistycznych Tokarczuk (*Lalka i perła*, *Moment niedźwiedzia* i *Czuły narrator*) skupia się



Maliszewski w tym szkicu, pokazując jej fascynację i duchowe rozumienie naszych czasów. Bardzo ciekawie pisze też o koncepcji metaksy jako mityczno-symboliczno-literackiej krainy.

Czuły krytyk

Myślę, że Maliszewski jako krytyk to przede wszystkim czuły krytyk (na wzór czułego narratora). Pisanie jest w jego przypadku dokładnie tym, o czym przekonuje Tokarczuk: „świadomym, choć może trochę melancholijnym współdzieleniem losu. Czułość jest głębokim przejściem się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu”³. Poeta jako krytyk to zawsze poeta biorący w nawias swoje ego, żeby wyjść naprzeciw innemu poecie. Maliszewski przed laty napisał o swojej metodzie „wnikania” tak: „To kwestia skrócenia dystansu między opisującym a opisywanym. To kwestia intencjonalności, bezpośredniego przenikania, »serdecznego« wysiłku. Nie biorę do ręki kupy zszytego papieru ze słowami zapisanymi w maniakalnych rząd-

kach, biorę do ręki człowieka, który wysyła z głębi swej inności [...] sygnały stanowiące o jego istnieniu, to istnienie scalające”⁴. Nie zajmuje się więc abstrakcją, znakami, wyizolowanym językiem, ale człowiekiem-podmiotem wyrażającym się w tym języku. To duża odpowiedzialność, pamiętajmy, że krytyk wciąż jest jedynie człowiekiem.

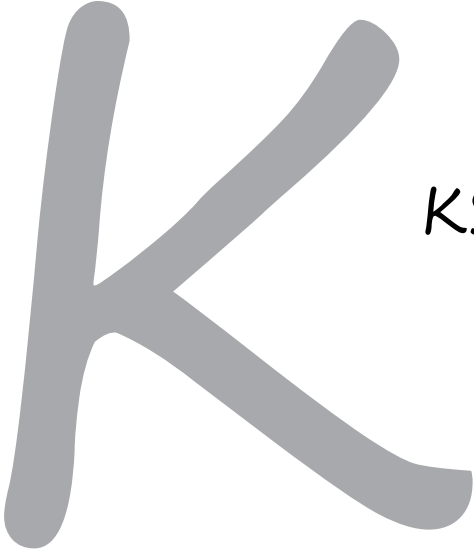
Kiedy czytam książki Maliszewskiego, mam nieodparte wrażenie, że pisze on raczej uniwersalną powieść niż szkice krytycznoliterackie (które zazwyczaj okazują się doraźne i po chwili nieaktualne). Jest ona wciągająca i metarefleksyjna. Stanowi przeciwieństwo pisania aseptycznego, bo w dużej mierze bywa o nim samym.

Na koniec znowu Siwczyk: „Wydaje mi się, że Karolowi polska krytyka literacka nie zwróciła nawet części długu, jaki u niego ma”. Też tak myślę.

Mirosława Szott

³ O. Tokarczuk, *Czuły narrator*, Kraków 2020, s. 288.

⁴ K. Maliszewski, *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy. Szkice o nowej poezji*, Bydgoszcz 1999, s. 5.



KSIAŻKI NADESŁANE

Jarosław Barańczak, *Jeszcze stoimy*, MaMiKo, Nowa Ruda 2025, 57 s.

Tadeusz Biliński, *Wiersze i poematy*, [Oficyna UZ], Zielona Góra 2025, 70 s.

Tatiana Borda, *Camino. Dziennik pielgrzyma*, Dom Sztuk, Zielona Góra 2025, 136 s.

Teresa Czajka, *Droga, którą idę*, Wydawnictwo MajUS s.c., Zielona Góra 2025, 90 s.

Edward Derylak, *Opowieści nad Tanwi*, ZLP Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2025, 212 s.

Władysław Edelman, *Spotkałem siebie na ulicy*, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2025, 80 s.

Jolanta Fainstein, *Balony*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2025, 68 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem. Refleksje zagajane eseistycznie*, Migotania, Gdańsk 2025, 204 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Trze pot ścierany*, Anagram, Warszawa 2025, 54 s.

Elżbieta Hossa-Lenglain, *Książki bez limitu*, Gdańsk 2025, 346 s.

Ryszard Jasiński, *Trzej mędrzy z asztaru. włóczykij grajek i...*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2025, 108 s.

Magdalena Kwiecień, *Opowieści z bagien. Zaśpiewaj dla mnie*, Wydawnictwo Vibe, [Białowice] 2023, 368 s.

Cezary Lewanowicz, *Kronika wypadków*, FONT, Poznań 2025, 52 s.

Piórem w przestrzeni. Antologia twórczości członków Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów na XXX-lecie Stowarzyszenia, Organon, Zielona Góra 2025, 212 s.

Grzegorz Pul, *Blask*, Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2024, 252 s.

AUTORZY NUMERU



Józef Baran

Urodził się w 1947 roku w Borzęcinie. Poeta, laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Wydał kilkadziesiąt tomików wierszy, a także dzienniki, korespondencję ze Sławomirem Mrożkiem. Ostatnio ukazała się książka *Słoneczna ruleta. Wiersze przebrane z lat 1969-2020* (2021) oraz tom wierszy *Pokój i wojna* (2022). Jego teksty wielokrotnie stały się inspiracją dla piosenkarzy i piosenkarek (m.in. dla SDM, Beaty Rybotyckiej, Marka Burskiego, Mirosława Kalisiewicza) oraz były tłumaczone na około dwadzieścia języków. Wiersze znalazły się w podręcznikach szkół podstawowych i średnich. Były też wykorzystywane na maturach. Poeta jest przewodniczącym jury Konkursu Poetyckiego „Źródło”. Mieszka w Krakowie.

Sławomir Bączkowski

Rocznik 1971, mieszka w Pruszkowie, zawodowo związany całe życie ze szkołą (nauczyciel angielskiego). Wśród jego zainteresowań najważniejsze miejsce zajmuje literatura (ulubieni pisarze to: Białoszewski, Bernhard, Sebald, Marai, Kosztolanyi) i muzyka klasyczna. Pisanie opowiadań to jego hobby. Niezależnie od tematu, większość z nich traktuje o naturze ludzkiej. Nakładem wydawnictwa Seqoja ukaże się niebawem jego zbiór opowiadań.

Rafał Blecharz

Urodzony w 1990 roku. Absolwent filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Autor krótkich form literackich publikowanych m.in. w „Twórczości”, „Wyspie”, „Toposie”, „Epea”. Finalista 19. edycji projektu „Połów. Poetyckie i prozatorskie debiuty 2024”. Dyrektor kreatywny i producent w studiu animacji. Laureat polskich nagród graficznych. Aktualnie poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści pt. *Stalker* oraz zbioru opowiadań *Wszyscy papieża świata*.

Anna Błaszczak

Urodzona w 2001 roku, absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej II stopnia na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pisarka. Autorka eseju literackiego *O zawiłości natury ludzkiej* oraz współautorka książek *Piętnaście czarnych sukienek* i *Fotoplastikon*. Interesuje się modą, wierzeniami i kulturą, codziennie odkrywa kolejne pasje.

Michał Borkowski

Urodzony w 1987 roku w Gnieźnie, poeta, filozof, informatyk. Publikował wiersze i eseje, m.in. w „Wydawnictwie”, „Suburbiach”, „eleWatorze”, „Polu”, „Helikopterze”. Wydał tomiki poetyckie: *Wielkopolska* (2017), *Dublinopolis* (2020), *halo halo* (2022). Autor kilku artykułów naukowych i rozdziałów w książkach. Siedmiokrotny maratończyk, hobbystycznie rysownik.

Karol Bosek

Urodził się w 1987 roku w Darłowie. Drukowany w „Lampie”, „Twórczości”, „Więzi” i „Wyspie”. Autor tomiku wierszy *Cytrynówka, Pierwsza cytrynówka*, zbiorów opowiadań *Blisko, ...noc i sen, Święta i Uczucie*, a także nowelektki *Mieścina*. Laureat jednego z konkursów Fundacji Wisławy Szymborskiej.

Beata Czuba

Psycholożka, socjolożka, dr nauk humanistycznych, adiunkt na Wydziale Bezpieczeństwa, Logistyki i Zarządzania w Wojskowej Akademii Technicznej (Warszawa). Autorka pięciu monografii naukowych oraz kilkudziesięciu artykułów. Interesuje się kulturą popularną, w szczególności tym, w jaki sposób odzwierciedla współczesne zjawiska społeczne. Jest miłośniczką filmu, muzyki filmowej oraz literatury. Rodzinnie związana z Żarami.

Edward Derylak

Urodził się w 1953 roku w Harasiukach nad Tanwią. Prozaik. Autor powieści, tomów opowiadań, współautor kilkunastu almanachów i antologii. Publikował w „Pro Libris”, „Aspektach”, „Temacie”, „Własnym Głosem”, „Filologii Polskiej”, „Na Winnicy”. Redaktor i współredaktor. Laureat ponad 40 ogólnopolskich konkursów literackich. Wyróżniony w 2014 roku medalem za Zasługi dla Kultury w Wojsku Polskim. Mieszka i pracuje w Żaganie.

Gaja Fijałkowska

Dziewiętnastoletnia absolwentka liceum ogólnokształcącego o profilu humanistycznym z Łodzi. Hobbyistycznie, od najmłodszych lat, zgłębia poezję, koncentrując się na jej znaczeniu i roli w odkrywaniu sensu ludzkich doświadczeń.

Szymon Florczyk

Urodził się w 1986, pracownik produkcji w IT, od zawsze mieszka w Krakowie. Autor zbioru wierszy *Ciało i zgłoska* (2024) i ilustracji do zbioru haiku Doroty Czerwińskiej *nieboziemia* (2024). Publikował wiersze, m.in. w „Toposie”, „Odrze”, „Afroncie”, „Akcencie”, „eleWatorze/e-eleWatorze”, „Akancie”, „Helikopterze”. Wyróżniony w ogólnopolskich konkursach poetyckich. Jego teksty prezentowano w Polskim Radiu Koszalin i Radiu Plus Radom. Jako amator próbuje się również w muzyce z pogranicza rocka i klasyki (YT: Marquise Project).

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka i pisarka, anglistka, autorka książek dla dzieci, animatorka. Wydała trzy tomiki wierszy i pięć książek dla dzieci. Otrzymała m.in. Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, wyróżnienie Książka Przyjazna Dziecku, nominację do nagrody Książka Roku IBBY, ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów i wyróżnienie FENIKS na Targach Książki w Warszawie. Pochodzi ze Śląska, mieszkała w Krakowie, Londynie i w Beskidach, a od 10 lat mieszka w Zielonej Górze. Od 25 lat organizuje imprezy i inicjatywy kulturalne i społeczne; prowadzi spotkania w kręgu „Dobrostan” w Bibliotece Norwida.

Marcin Głowa

Z wykształcenia inżynier budowy, z zamiłowaniem pasjonat architektury, literatury i folkloru. Najchętniej sięga po klasykę oraz poezję opartą na ludowych wierzeniach, w których nie brakuje humoru i swojskiego klimatu. Laureat nagrody publiczności za humorystykę folklorystyczną pisaną wierszem, uczestnik kilku konkursów literackich. W wolnym czasie podróżuje – od biwaków w namiocie po zwiedzanie zabytków i zdobywanie szczytów gór niskopiennych – oraz słucha muzyki w pełnym spektrum: od Bacha i chorałów gregoriańskich po rap, pop i piosenki z przymrużeniem oka.

Adam Górski

Urodzony w 1976 roku, mieszka i pracuje w Krakowie. Publikuje od 2010 roku. Wydał tomiki: *Stygnące Litery* (2014), *Ślady, kroki* (2016), *Pożegnanie. Wyjaśnienie* (2019), *Notatki do odwróconych spojrzeń* (2022). W 2020 roku nominowany za książkę *Pożegnanie. Wyjaśnienie* do Nagrody im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz (9. edycja). Zamieszczał wiersze m.in. w „Czasie Literatury”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Toposie”. Obecnie pracuje nad tomikiem pod roboczym tytułem *Dźwięki z podwórek*.

Przemysław Grześniński

Nauczyciel języka polskiego i historii w Szkole Podstawowej im. Kornela Makuszyńskiego w Leśniowie Wielkim, właściciel firmy szkoleniowej Eduforia. Absolwent filologii polskiej, filozofii, historii i oligofrenopedagogiki, które studiował na uniwersytetach w Szczecinie, Wrocławiu i w Wyższej Szkole Nauk Pedagogicznych w Warszawie. Przez dziesięć lat związany z działami literackimi Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu i Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze.

Piotr Gulewski

Absolwent filologii angielskiej Uniwersytetu Zielonogórskiej. Prozaik. Mieszka w Sulechowie.

Magdalena Kalinowska

Urodziła się w 1987 roku. Debiutowała w „Pro Libris” (numer „Młodzi”, 2010). Wykonała kilka grafik do tomików poetyckich. Ukończyła filologię polską, architekturę wnętrz ze scenografią na ASP im. E. Gepperta we Wrocławiu oraz studia podyplomowe z tłumaczeń polsko-niemieckich na Uniwersytecie Wrocławskim. Od wielu lat pracuje z dziećmi i młodzieżą w zakresie kompetencji społecznych oraz pedagogiki przeżyć (współpracując z różnymi organizacjami z Polski i Niemiec). W wolnym czasie czyta poezję, czasem maluje, obecnie też pisze. Od niedawna studiuje psychologię. Mieszka w Eichwalde.

Sonia Kamińska-Tarkowska

Urodziła się w 1984 w Wałbrzychu. Filozofka, tłumaczka i popularyzatorka nauki. Absolwentka filozofii i dziennikarstwa. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie filozofii. Pracowała na Uniwersytecie Szczecińskim; w Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, tam: m.in. koordynatorka Honorowego Stypendium im. Leszka Kołakowskiego; w Instytucie Filozofii UJ. Autorka książek (*Spirits in the material world. Aristotle's philosophy of mind, in particular his doctrine of nous poietikos, Brentano i jego Arystoteles. Szkic o relacji Bóstwo-człowiek*) oraz przekładów (m.in. *Franz Brentano, Psychologia Arystotelesa, a w szczególności jego teoria nous poietikos*). <https://soniakaminska.pl/>

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagogka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek, recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała

z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia w konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentka e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

Kuba Kapral

Rocznik '79, autor sztuk teatralnych, opowiadań, słuchowisk, scenariuszy filmowych. Twórca offowych spektakli, happener, wykładowca na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Jego sztuki teatralne realizowały teatry w Szczecinie, Łodzi, Kielcach, Poznaniu oraz Teatroteka. Słuchowiska powstawały w Radiu Merkury (obecnie Radio Poznań), w Estradzie Poznańskiej, dla Festiwalu Słuchowisk oraz platformy Empik Go. Członek grupy Circus Ferus oraz pionu literacko-dramaturgicznego Fonoramy. Publikował w „Twórczości”, „Elewatorze”, „Helikopterze” i „Odrze”.

Justyna Kasprzyk

Mieszka w Rzeszowie. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zawodowo całe życie związana z apteką. Jej wiersze ukazały się m.in. na stronie „Odry” w Pocztówkach Literackich Karola Maliszewskiego, Wydawnictwie J, Ypsilon, Moja Przestrzeń Kultury. Również w radiu internetowym Magma oraz w czasopiśmie „4 Zeszyty And After”.

Agata Kostrzewska

Rocznik 1984. Urodziła się w Gubinie, aktualnie mieszka w Zielonej Górze. Absolwentka filologii polskiej i angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, związana z Lubuską Siłą Krytyczną, recenzentka portalu dzienikteatralny.pl. Uczy języka polskiego i angielskiego. W wolnych chwilach czyta książki, biega i podróżuje.

Katarzyna Krysińska

Absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, w 2019 roku obroniła pracę doktorską z literaturoznawstwa pt. *Poezja lubuska wobec sacrum*. Pracowała głównie w kilku redakcjach wydawniczych. Mieszka w Zielonej Górze.

Mirostaw Kuleba

Urodził się w Kołobrzegu w 1958 roku. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, tłumacz z języka rosyjskiego. Z zawodu inżynier budownictwa lądowego, pracował jako zawodowy myśliwy na Syberii, obecnie prowadzi gospodarstwo sadownicze i winnicę. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996, 1999-2000). Wydał serię książek oraz wiele reportaży o konfliktach zbrojnych. Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa: *Ampelografia Zielonej Góry, Enographia Thalloris, Topografia obiektów winiarskich i winnic Zielonej Góry*. Wydał ponadto zbiór esejów pt. *Enografia mistyczna miasta Thalloris* (2022) oraz monografię mineralogiczną *Prasiolity z Sokołowca na Dolnym Śląsku* (2023).

Łukasz Maciejewski

Dziennikarz, krytyk filmowy, krytyk teatralny. Wykładowca na Wydziale Aktorskim PWSFTviT w Łodzi, wykładowca dziennikarstwa na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny. Zasiada w kapitule Paszportów Polityki w kategorii film oraz w kapitule nagrody im. Stefana Treugutta polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych AICT dla twórcy Teatru TV. Był moderatorem i współorganizatorem kilkuset festiwalu i przeglądów filmowych w Polsce i w Eu-

ropie. Laureat wielu wyróżnień dziennikarskich. Autor kilku książek (tom esejów *Aktorki. Aktorki, Aktorki. Portrety, Wszystko jest lekko dziwne*, wywiad rzeka z Danutą Stenką *Flirtując z życiem*). Od wielu lat współpracuje przy realizacji Kozzi Film Festiwal.

Katarzyna Meller-Rebelska

Rocznik 1990. Doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Jej zainteresowania naukowe krążą wokół teorii krajobrazu kulturowego i lubuskiego winiarstwa. Na co dzień prowadzi dwie firmy w Zielonej Górze.

Julia Mickiewicz

Tłumaczka, dziennikarka, lingwistka i aspirująca pisarka pochodząca z Białorusi. Przez prawie dekadę pracowała w niezależnych mediach, a z powodów politycznych była zmuszona wyjechać z rodziną do Warszawy, gdzie mieszka już od pięciu lat. Tworzy w kilku językach, czerpiąc inspirację z doświadczeń życia na styku różnych kultur. Fascynuje się fotografią i podróżami.

Marcin Waldemar Mielczarek

Urodzony w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zadebiutował opowiadaniem w czasopiśmie literackim „Twórczość”. Od tamtego czasu publikowany w wielu poważnych ogólnopolskich czasopismach. Ostatnie jego książki to *Nad górą wisi zielone słońce* (2023) oraz *Skoczek* (2024) uhonorowany Lubuskim Wawrzynem Literackim 2024 (kategoria proza). Stypendysta Miasta Zielona Góra w dziedzinie literatury. Prowadzi bloga, na którym zamieszcza swoje teksty.

Ewa Mielczarek

Bibliotekoznawczyni, redaktorka, kierowniczka Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, jurorka konkursów literackich. Szefowa wydawnictwa Art-Druk Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze (1999-2004).

Małgorzata Mikołajczak

Prof. zw. dr hab., kierowniczka Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Komitetu Nauko o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, przewodnicząca komitetów okręgowych olimpiady polonistycznej, prezes Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich. Jest autorką monografii poświęconych poezji Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, opracowała wybór poezji Herberta dla Biblioteki Narodowej. Ostatnio wydała książkę pt. *Ramiona Antajosa. Z teorii i historii regionalizmu literackiego w Polsce* (2021).

Anna Naplocha

Doktor nauk humanistycznych, mgr filologii polskiej. Obecnie pracuje jako starszy bibliotekarz w Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. Z zamiłowania przyrodniczka oraz pasjonatka lokalnej historii. Wiersze publikowała w „Filologii Polskiej. Rocznikach Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego” oraz w „Pro Libris”.

Łukasz Nicpan

Urodził się w 1950 roku w Łodzi. Poeta, prozaik, tłumacz literatury anglojęzycznej. Bezpośrednio po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim podjął pracę w ówczesnym dwutygodniku (obecnie mie-

sięczniku) „Nowe Książki”, gdzie już wcześniej zadebiutował recenzjami. Pracował w tej redakcji do stanu wojennego, przez kilka ostatnich lat jako redaktor działu poezji. Wybrany w sierpniu 1980 przez zespół na przewodniczącego koła „Solidarności”, został usunięty z posady mocą decyzji tzw. „komisji weryfikacyjnej” dziennikarzy na początku roku 1982. Jako poeta zadebiutował arkuszem poetyckim zatytułowanym *Podrozdział równiny* w miesięczniku „Nowy Wyrz” w roku 1978. W ostatnich latach wydał tomiki: *Domowa księga rodzaju* (2016, wyróżniona Nagrodą Stowarzyszenia Wydawców Katolickich FENIKS w kategorii literatura), *Przejaśnienia* (2018) i *Apel wieczorny* (2024). W roku 2020 debiutował tomem prozy *Fajerwerki nad otuliną*, a w trzy lata później, także w PIW-ie, wydał zbiór krótkich, na poły autobiograficznych próz *Kawalerka z witrażem*. Mieszka z żoną na wsi w otulinie Puszczy Kampinoskiej.

Andrzej Nowak

Aktor, były zastępca dyrektora Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Wykładowca sztuki scenicznej dla studentów UZ. Były kierownik mediатеki Góra Mediów w Bibliotece Norwida.

Andrzej Olewnik

Urodził się w 1960 roku w Dobryszycach k. Radomska. Absolwent Szkoły Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku, Wydz. Pedagogiczny. W latach 1985-2010 pracował jako nauczyciel w Zespole Szkół Rolniczych (obecnie Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego im. Macieja Rataja w Mieczysławowie). W latach 80. XX wieku kolporter podziemnych wydawnictw, współredaktor pisma „Gazeta Podziemna” Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Ziemi Kutnowskiej, 1987-1989 członek Komisji Historycznej RKW, współzałożyciel Kutnowskiej Rodziny Katyńskiej, członek Rodziny Policyjnej 1939 r. i Związku Sybiraków, opiekun kutnowskich Kresowian. Od 2008 roku pracuje jako st. kustosz w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej im. Stefana Żeromskiego w Kutnie. Współautor m.in. książki *Katyńscy Ziemi Kutnowskiej* (Kutno 1993) i *37 Pułk Piechoty. Historia fotografii opowiedziana* (Kutno 2024). Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2023) i Krzyżem Wolności i Solidarności (2013).

Agnieszka Olszewska

Specjalistka psychologii klinicznej, neurologopedka i pedagożka. Prowadzi praktykę diagnostyczno-terapeutyczną w Żarach oraz szkolenia z zakresu neurotechnologii i neurodydaktyki. Dotychczas publikowała głównie artykuły naukowe oraz materiały edukacyjno-terapeutyczne. Aktywnością literacką dzieli się od listopada 2024 roku. Debiutowała, zdobywając wyróżnienie w konkursie „Wiersz z Drewna” organizowanym przez Bibliotekę Norwida w Zielonej Górze. Była uczestniczką programu „Transport Literacki” Biura Literackiego (Pracownia Przed Debiutem Prozą, edycja 2025). W literaturze dostrzega szanse na uchwycenie wielogłosu człowieczego, który ujawnia się poprzez różnorodność narracji i perspektyw.

Aleksandra Piątkowska

Urodzona w 2005 roku, studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zafascynowana sztuką malarską, filmowo-teatralną oraz motoryzacją. Inspiracje odnajduje w jesiennym klimacie, gdzie mgła, kolor liści i zapach kawy splatają się w cichą opowieść codzienności.

Piotr Prusinowski

Urodził się w 1987 roku w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych w dyscyplinie literaturoznawstwo. Absolwent filologii polskiej w zakresie filmoznawstwa, telewizji i kultury medialnej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. W 2008

roku otrzymał wyróżnienie w Konkursie dla Młodych Krytyków Filmowych im. Krzysztofa Mętraka. W latach 2021-2024 pracował w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze. Obecnie pracuje w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Grzegorz Pul

Urodził się w 1973 roku. Mieszka w Białymstoku. W 2021 roku Instytut Literatury wydał jego debiut *Ni szagu nazad czyli sztuka łowienia wspomnień*, co było efektem zdobycia wyróżnienia w trzeciej edycji konkursu „Nowego Dokumentu Tekstowego”. Publikuje w „Helikopterze” i TY.TU.Le.

Zuzanna Puls

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Tomasz Ratajczak

Prof. UZ dr hab., pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, kierownik tamtejszej Pracowni Badań nad Książką. Wykłada m.in. nauki pomocnicze literaturoznawstwa i językoznawstwa oraz prowadzi zajęcia z zakresu bytu symbolicznego Internetu.

Paweł Sójkowski

Urodzony w 1986 roku w Warszawie, gdzie mieszka całe życie. Absolwent slawistyki, uwielbia Bałkany i dobre historie, raczej te smutne. Z wykształcenia kulturoznawca, więc pracuje poza zawodem – obecnie jako redaktor w redakcji sportowej. Może i nie debiutował wcześniej, ale wychodzi z założenia, że lepiej późno niż później.

Czesław Sobkowiak

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 roku. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Laureat wielu prestiżowych nagród. Trzykrotny laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1996, 2002, 2014), Nagrody Literackiej ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2023). Uprawia także krytykę literacką. Mieszka w Zawadzie w Zielonej Górze.

Mirosława Szott

Poetka, krytyczka literacka, doktor nauk humanistycznych, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku, Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Członkini redakcji „Pro Libris” w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, zastępczyni redaktora naczelnego rocznika naukowego „Filologia Polska” (wydawanego przez Uniwersytet Zielonogórski). Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie. Teksty krytycznoliterackie publikowała m.in. w „Twórczości”, „Odrze”, „Toposie”, „Frazie”, „Śląsku”.

Radosław Szyber

Autor ośmiu monografii, ponad siedemdziesięciu rozpraw naukowych, ogłoszonych w tomach zbiorowych bądź czasopismach. Wydawca kilkunastu komentowanych wznowień zabytków pisanych z XVII w. Dyplom doktorski otrzymał w 2000 roku (Poznań), habilitacyjny zaś – w 2013 roku (Kraków). Od roku 2014 (2015) redaktor naczelný zielonogórskiego rocznika polonistycznego.

Karolina Talaga

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Pasjonatka sztuki wszelakiej: skończyła renowację zabytków, szkołę muzyczną w klasie wiolonczeli i fortepianu; występowała na deskach Teatru Wybrzeże w Gdańsku, ale to literatura jest jej najbliższą formą sztuki. Z zawodu dziennikarka, redaktorka, creative- i copywriterka.

Mikołaj Talarczyk

Japonista, biolog, pilot wycieczek zagranicznych i przewodnik Białowieskiego Parku Narodowego. Stary poeta z długą brodą, ale bez dorobku.

Marceli Tureczek

Dr hab., prof. UZ. Jest autorem blisko 230 publikacji naukowych (24 książek autorskich), m.in. specjalistycznych opracowań zabytkoznawczych i edycji źródłowych z zakresu kampanologii i epigrafiki oraz redaktorem monografii naukowych i prac popularnych oraz programów opieki nad zabytkami. Od 2024 roku jest dyrektorem Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego. W 2015 roku za badania i popularyzację zabytków, w tym polskich strat wojennych, został wyróżniony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego złotą odznaką „Za opiekę nad zabytkami”.

Iza Uroda

Autorka tekstów, w których więcej jest pytań niż odpowiedzi. Zajmuje się tematyką psychologii, psychiatrii i kognitywistyki, ale pisze przede wszystkim o emocjach – tych nazwanych „za dużymi” i „przesadzonymi”. Jej historie nie oceniają – rozplątują, pokazując światło w cieniu i ciemność w świetle. Autorka podcastu „Ja vs dorosłe ADHD”.

Magdalena Wijatkowska

Mgr inż. inżynierii środowiska, na co dzień pracuje w biurze. Po godzinach bawi się słowem – wyłącznie z okazji imienin tworzy akrostychy układane od imienia solenizanta. W kilku wersach, z lekkością i humorem, szkicuje trafny portret „właściciela” imienia.

Marcin Wróblewski

Urodzony w 1980 roku. Poeta. Pochodzi ze Zwolenia, mieszka pod Naęczowem. Publikował w „Toposie”, „Odrze”, „Epei”, „Suburbii” i wielu innych pismach literackich. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich (m.in. 46. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Limesu” 2023, dwukrotny laureat Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Georga Trakla 2023 i 2024; 56. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej). Wydał trzy książki poetyckie: *Zimne Ognie* (2023), *Brama* (2023), *Widać Nóż* (2025).

Patryk Żelazny

Urodzony w 2001 roku, pisarz, miłośnik dobrych historii wszelakich, redaktor online i księgarz. Przekształca swoje myśli w słowa pisane, bo w ten sposób najłatwiej komunikować mu się ze światem – nie widzi się w żadnym innym miejscu. Większa od ambicji jest tylko liczba jego osobowości. Kocha też zwierzęta, żelki i patrzeć w gwiazdy.

12—21
11.2025

BIO GRAFIE

i nie tylko...

15. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

PROGRAM

- **12.11 /środa/**
17.00 / INAUGURACJA FESTIWALU
PROJEKCJA FILMOWA
NIEPARZYSTA.
ANNA TOKARSKA
Koordynator projektu Robert Rudiak
Zielona Góra 2018
- **12.11 /środa/**
18.00 / SPOTKANIE AUTORSKIE
MICHAŁ WITKOWSKI
Promocja książki „Wiara. Autobiografia”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9
- **13.11 /czwartek/**
17.00 / SPOTKANIE AUTORSKIE
JAROSŁAW BARAŃCZAK
Promocja tomu „Jeszcze stoimy”
Pro Libris Café im. Andrzeja K. Waśkiewicza
al. Wojska Polskiego 9
- **13.11 /czwartek/**
18.30 / SPOTKANIE AUTORSKIE
MAŁGORZATA CZYŃSKA
Promocja książki „Zgiełk serca. Opowieść
o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9
- **14.11 /piątek/**
18.00 / SPOTKANIE AUTORSKIE
JUSTYNA SOBOLEWSKA
Promocja książki
„Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9

- **15.11 /sobota/**
17.00 / GoŚĆ SPECJALNY
ANDRZEJ FRANASZEK
Autor książek: „Miłosz. Biografia”,
„Herbert Biografia (I) Niepokój”,
„Herbert Biografia (II) Pan Cogito”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9

- **17.11 /poniedziałek/**
18.00 / SPOTKANIE AUTORSKIE
MARTA
BYCZKOWSKA-NOWAK
Promocja książki „Nieocalony.
Tadeusz Borowski. Biografia”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9

- **18.11 /wtorek/**
18.00 / SPOTKANIE AUTORSKIE
MAGDALENA
GRZEBAŁKOWSKA
Promocja książki „Dezorientacja.
Biografia Marii Konopnickiej”
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9

- **20.11 /czwartek/**
17.00
PROMOCJA NR. 92-94/2025
„PRO LIBRIS” DESIGN
- **20.11 /czwartek/**
18.30 / SPOTKANIE AUTORSKIE
KONRAD WOJTYŁA
Promocja książki „Plany na przyszłość”
Jubileusz 25 lat od debiutu
Pro Libris Café
im. Andrzeja K. Waśkiewicza
al. Wojska Polskiego 9
- **21.11 /piątek/**
18.00 / SPEKTAKL
GINCZANKA
Przepis na prostotę życia
Monodram w wykonaniu
Agnieszki Przepiórskiej
Reżyseria Anna Gryskówna
Tekst Piotr Rowicki
BILETY 50 zł: abilet.pl
oraz Mediateka Góra Mediów
Sala im. Janusza Koniusza
al. Wojska Polskiego 9
- **21.11 /piątek/**
19.30 / GRA KRYMINALNA
KRADZIEŻ W KLUBIE
BIAŁYCH KRUKÓW
Interaktywny wieczór detektywistyczny
w Mediatece Góra Mediów z udziałem
Grupy Improwizacyjnej Huragan
Mediateka Góra Mediów
al. Wojska Polskiego 9

BIBLIOTEKA
NOR
WID



Organizator festiwalu
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Cyrylana Norwida w Zielonej Górze
al. Wojska Polskiego 9

www.biblioteka.zgora.pl

facebook.com/biblioteka.norwida

facebook.com/literacki.norwid



 Pomorze
Zachodnie

